

42 439

77
JERZY KENNAN.

SYBERYA

przełożył

autor „Wspomnień więźnia“.

Józef Twardożyński

~~~~~  
Wydanie trzecie.  
~~~~~

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149791

L W O W.

NAKŁADEM TŁOMACZA.

1 8 9 1.

<http://rcin.org.pl>

als all

Z drukarni W. A. Szykowskiego, ulica Kopernika 1, 5.



42439

<http://rcin.org.pl>

PAN ake v. 10/67

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Kilka słów tłumacza	I
Przedmowa autora	III
I. Granice rosyjskie	7
II. Równiny i więzienia w zachodniej Syberyi	29
III. Stepy Irtyzskie	54
IV. Pierwsze spotkanie się z wygnańcami politycznymi	77
V. Wygnanie porządkiem administracyjnym	102
VI. Więzienie etapowe w Tomsku	126
VII. Wygnańcy polityczni i zwykli przestępcy w Tomsku	148
VIII. Życie przy głównym gościńcu sybirskim	173
IX. Życie wygnańców administracyjnych	197
X. Wygnańcy w Irkucku	222

Kilka słów tłumacza.

Gdy w ostatnich dziesiątkach lat, niewolnicza Rossja, poczęła z wnętrza swego wyłaniać żywioły, które uświadamianiem warstw społecznych w przynależnych im prawach, zwróciły na siebie podejrzenie rządu rossyjskiego; wówczas rząd ów, użył przeciwko nim tych samych środków represyjnych, jakie zwykł był praktykować od wieku na nienawistnych mu Polakach. Odtąd wolność każdego uczciwszego obywatela kraju pozostawała na łasce pierwszego lepszego policjanta; zbiorowe areszty wystąpiły na porządek dzienny; więzienia zapełniły się ofiarami prześladowań; zaskrzypiały szubienice; pustynie sybirskie zaludnili wygnańcy, a katownie tameczne stały się znów widownią grozą przejmujących obrazów.

Długi czas okrucieństwa rządowe, zostawały dla świata tajemnicą, ofiary zaś zwierzęcej brutalności i wyrafinowanego cynizmu satrapów sybirskich ginęły i giną męczeńską śmiercią bez uznania, współczucia, a kamienie potępienia zaznaczają ich mogiły.

Jest to prawie bezprzykładnem, ażeby ludzie stanowiący czoło inteligencji narodu, którzy swą wolność osobistą, życie, pracę i mienie poświęcili dla polepszenia opłakanej doli ludu i wolności swej ojczyzny, i z których pewna część tylko uczuła się zmuszoną odpowiedzieć — na terroryzm rządowy — terroryzmem; —

ażebym ludzie tacy, w oczach cywilizowanego świata uważani byli za niosących wszystkiemu zagładę, »nihilistów«. A jednak tak zapatrywały się na przeciwrządowe rosyjskie stronnictwo cywilizowane społeczeństwa; tak zapatrują się one i dzisiaj jeszcze... Taką o stronnictwie tem opinią, przejęty był autor niniejszego dzieła, występujący już raz publicznie w Nowym Jorku, w obronie rządu rosyjskiego. Podejmując podróż po Syberyi, był on tego przekonania, że zebrane na miejscu fakta uzasadnią tylko jego dotychczasową korzystną o rządzie rosyjskim opinię. Jakie zaś rezultaty wyniósł z swej podróży po Syberyi, ów sumienny badacz i przyjaciel ludzkości, o tem czytelnik dowie się najlepiej z toku niniejszego dzieła.

Podając w polskim przekładzie szacowne i ze wszęch miar pożyteczne dzieło Jerzego Kennana, mam to głębokie przeświadczenie, że spełniam życzenie czciwego autora, i że przyczynieniem się do dania świadectwa wprawdzie, wywiązuję się poniekąd z przyrzeczenia danego dręczonym po dzień dzisiejszy w katorżniach sybirskich. moim współtowarzyszom niewoli, dla których żywię w sobie głębokie uznanie i uczucie serdecznej życzliwości.

Przedmowa autora.

Pracę moją o Syberyi i systemie deportacyjnym poprzedzić muszę krótką wzmianką o okolicznościach, towarzyszących mojej podróży, tudzież o mojem ówczesnem zapatrywaniu się na wewnętrzne stosunki państwa rosyjskiego. Myśl, zwiedzenia mało dotąd znanych części Syberyi i gruntownego zapoznania się z systemem deportacyjnym, tak ściśle stojącym w związku z tym krajem, opanowała mnie jeszcze w r. 1879. Spostrzeżenia dokonane w ciągu 3½ letniego pobytu mojego w Rosyi, tudzież ostatnia 5000 wiorstowa moja podróż lądem do Petersburga utrwaliły mnie w przekonaniu, że Syberya przedstawia dla istotnego badacza bardzo zajmujące i wdzięczne pole badania. Rossyanom wprawdzie, będącym od wieku przeszło w posiadaniu Syberyi, kraje te stosunkowo są dobrze znane, dla zwykłego jednak Amerykanina jest ona po dziś dzień, podobnie jak północna Afryka lub Tybet, ziemią zupełnie obcą. Zabójstwo Aleksandra II. w roku 1881 i wygnanie znacznej liczby rosyjskich rewolucjonistów do kopalń zabajkalskich, potęgując moją ciekawość, obudziły zarazem we mnie żywe życzenie, zapoznania się na miejscu z systemem deportacyjnym, a zarazem, zbadania charakteru ruchu rewolucyjnego rosyjskiego. Ażeby więc dojść do zamierzonego celu, należało mi udać się w strony cesarstwa, będące główną siedzibą wygnańców politycznych. Poszukiwania nihilistów w Moskwie lub w Petersburgu, albo też zaciąganie tam wiadomości o interesujących mnie objawach socyalnych nie zdawały mi się prowadzić do żadnego celu. Wy-

IV

datniejsze osobistości, przyjmujące udział w rewolucyjnym dramacie od r. 1878 do 1879. znajdowały się na wygnaniu, dalsze zaś śledzenia policyi za małą garstką, uszły z pod ich ręki, z pewnością były daremne.

Przeróżne okoliczności, brak czasu i środków materialnych, nie pozwoliły mi przystąpić do spełnienia powziętego zamiaru, i dopiero latem 1884 r. wydawca „Century Magazine”, zainteresowany moim projektem, zrobił mi propozycję odbycia podróży po Syberyi, i ogłoszenia publicznie wyniesionych ztamtąd rezultatów. Zamierzoną podróż uprzedziłem krótką wycieczką do Petersburga w celu zebrania materyałów jako też dla przekonania się, czy zamiar mój nie napotka na przeszkody ze strony rządu rosyjskiego. W październiku wróciłem napowrót z tem zapewnieniem, że rząd nie ma nic przeciwko mojemu zamiarowi, że nie widzi potrzeby skrywania się w Syberyi z tem, co mnie obchodzić może; że wreszcie rząd patrząc na mnie, jako na literata, podejmującego podróż po Syberyi w celu zbierania tamecznych stosunków, — wcale przychylnem okiem, przyczyni się sam do zapoznania mnie z tem wszystkim, co stanowić może przedmiot mojego badania. — Owczesne moje zdanie o systemie deportacyjnym w Syberyi i postępowaniu rządu rosyjskiego z politycznymi przestępcami wypowiedziane zostało publicznie w r. 1882 w towarzystwie geograficznem w Nowym Jorku; wywołało ono nawet żywą polemikę w ówczesnych czasopismach. Wtedy ja sam byłem tego przekonania, że niektórzy rosyjscy pisarze, jak Stepaniak i książę Krapotkin, rozmyślnie oczerniają rząd, przedstawianiem systemu deportacyjnego w nadto czarnych barwach. Mniemałem więc, że Syberya nie jest ziemią tak znowu straszną, jak to sobie przedstawiają Amerykanie i że opis kopalń i więzień, podany w dziełku ks. Henry Landsella jest zupełnie wiarogodny. Wszystkich nihilistów, terorystów i malkontentów politycznych, będących postrachem dla Rossyi, uznawałem za niedoświadczonych zagorzałych fanatyków, dających się podciągnąć pod jeden wspólny typ, z przed-

stawicielami którego mieliśmy nieprzyjemność zawiązania stosunków znajomości w Nowym Jorku. Mówiąc jednym słowem, byłem z rządem, a przeciw rewolucjonistom. Kładę tu umyślnie nacisk, i to nie tylko z tego względu, bym miał przywiązywać jakieś szczególne znaczenie do ówczesnego mojego sądu, ale głównie z tego względu, że rezultat każdego spostrzeżenia o tyle zasługuje na uznanie, o ile wolnym jest zarówno od uprzedzeń, jako też osobistych sympatyj, samego badacza. Nacisk ten kładę jeszcze dla tego, że ówczesnemu mojemu przychylnemu usposobieniu dla rządu rosyjskiego przypisywać należy jego życzliwe w obec mnie zachowanie się, wynikiem którego było udzielenie mi pozwolenia zwiedzenia więzień i kopalń sybirskich z narażeniem się na małe stosunkowo nieprzyjemności nawet w tych razach, gdzie bliższe stykanie się moje z wygnańcami politycznymi mogło istotnie budzić przeciwko mnie podejrzenie u miejscowych władz sybirskich. Powątpiewać należy, czyby obcokrajowcowi, nieznanemu oficjalnie z jego przychylności dla rządu, pozwolono wtajemniczać się w stosunki, dotyczące systemu deportacyjnego; lub też czyby patrzano obojętnie na jego ścisłą znajomość z przestępcami politycznymi. Istotnie, tylko list ministra spraw wewnętrznych ochraniał mnie, w czasie tak częstego stykania się z władzami rządowymi po wsiach i miastach sybirskich od aresztu tudzież uwięzienia, i temu to wyłącznie listowi zawdzięczam, iż w ciągu całej podróży nie poważono się ani razu rewidować mojej osoby ani też rzeczy, co nieodwołalnie narażało mnie na wydalenie za granicę cesarstwa i utratę moich notatek i dokumentów. Nie byłbym zaś nigdy w posiadaniu owego listu, będącego dla mnie wśród nawałnic ostatnią deską ratunku, gdyby kilkakrotnie, publiczne moje wystąpienie w obronie rządu rosyjskiego nie było mu wiadomem i gdyby ów rząd nie miał na względzie tej także okoliczności, że w razie nawet znalezienia więzień w złym stosunkowo stanie, ambicyja moja własna nie pozwoliła by mi zrobić użytku z wyniesionych złąd spostrzeżeń.

Kończąc moją przedmowę, pragnąłbym złożyć najszersze i najserdeczniejsze dziękczynienie tym wszystkim przyjaciółom moim, tudzież znajomym i życzliwym osobom, które w różny sposób udzieleniem mi odpowiednich materyałów przyczyniły się do uzupełnienia niniejszej mej pracy. Jedni z tych, jako wygnańcy polityczni, podając mi opis swego życia, rzucali na kartę i tak już oplakaną swoją przyszłość; inni, oficerowie wchodzący w skład personalu administracyjnego, dzielili się ze mną wynikami swych wieloletnich spostrzeżeń, ufając mojemu honorowi i dyskrecyi; inni znów, prawi i uczciwi urzędnicy, przekonani doświadczeniem, że wszystkie ich dotychczasowe starania, upominania i przedstawienia, wnoszone do rządu względem polepszenia oplakanego położenia więźniów i wygnańców nie osiągają żadnego skutku, nie taili przedemną złego stanu rzeczy, spodziewając się, że zwróceniem uwagi narodów i rządów na dziejące się tam nadużycia, choć w części zdołają im zapobiedz. Nazwisk większej ilości tych ludzi, zasługujących na uznanie i szacunek, podać tu nie mogę z tego mianowicie względu, iż zamieszkują oni w kraju, gdzie sama myśl otwarcie wypowiedziana, ściągą na osobę podejrzenie rządu, zaś dążenie do jakichkolwiek ulepszeń uważane jest za zbrodnię. — Wymieniać osoby te z nazwiska, było by zwrócić na nich podejrzenie rządu a tem samem pozbawić ich mocy świadczenia dobrego. Moje uznanie dla tych osób za położone we mnie zaufanie, wyrazić mogę jedynie zapewnieniem, że powierzone mi objaśnienia zużytkowane zostały w interesie ludzkości, wolności i poprawy rządu. Dla Rossyi i ludu rossyjskiego żywię w sobie istotną sympatyę i życzliwość, a największą nagrodą za poniesione trudy byłoby to przeświadczenie moralne, że praca niniejsza przyczyni się choć czemkolwiek do polepszenia oplakanego losu tych »nieszczęśliwych«, dla których »Bóg za wysoko, a Car za daleko«.

Jerzy Kennan.

I.

Granice rosyjskie.

Ekspedycja sybirską „Century Magazine” wyruszyła 2-go maja 1885 r. z Nowego Jorku do Liwerpola. Uczestniczyli w niej pan George A. Frost, artysta z Bostonu i ja. Obadwaj będąc już poprzednio w Syberyi, władaliśmy językiem rosyjskim; ja zaś już po raz czwarty zwiedzałem Carstwo. Pozostając przez lat $3\frac{1}{2}$ w służbie towarzystwa telegraficznego rosyjsko-amerykańskiego, przewidywaliśmy trudności i niewygody, na jakie naraża podróżnych dłuższy pobyt w Azji północnej. Plan naszego działania został przez naszych zlecodawców w zupełności przyjętym, a choć misja nasza miała wcale poważny charakter, to jednak nie traciliśmy nadziei należytego jej spełnienia. W sobotę 10 maja stanęliśmy w Londynie, zaś 30-go udaliśmy się przez Dover, Ostendę, Hanower, Berlin i Eidkuny do Petersburga. Mając na widoku krótkotrwałe lato sybirskie, postanowiliśmy podróż tę odbyć w jak najkrótszym czasie, ograniczając nasz pobyt w stolicy rosyjskiej do dni pięciu. Na nieszczęście przypadające podówczas uroczyste święta, stanąwszy przeszkodą w załatwieniu naszych interesów, zmusiły nas do zatrzymania się w Petersburgu przez dni dziesięć.

Uzyskawszy audyencyę u pana Vlangellego, sekretarza ministra spraw zewnętrznych, wręczyłem mu

moje listy rekomendacyjne, wykazując zarazem powody, skłaniające nas do podjęcia tak odległej podróży. Powiedziałem mu otwarcie, że podług mego sposobu widzenia, niektórzy literaci rossyjscy, powodowani uprzedzeniami lub też złą wolą, przedstawiają Syberyę i system wygnania w nadto złem świetle; że skreślenie wierne stosunków tamiecznych kopalń i więzień wypadło by na korzyść rossyjskiego rządu; wreszcie, gdyby wykonanie powziętego przezemnie zamiaru nie obudziło przeciwko mnie podejrzenia, to gotów jestem, po zbadaniu stanu rzeczy na miejscu, wystąpić publicznie w obronie rządu. To moje wyznanie, wpływające z przekonania, zdawało się przychylnie usposabiać dla mnie p. Vlangellego. Po 20 minutowej rozmowie oznajmił mi on, że mogę liczyć na otrzymanie pozwolenia zwiedzenia Syberyi; że on sam wedle możliwości będzie starał się życzeniu mojemu zadośćuczynić; że opatrzy nas listami polecającymi do gubernatorów sybirskich, a prócz tego pismem odręcznem ministra spraw wewnętrznych. Na zapytanie moje, czy listy rzeczzone ułatwią nam wstęp do więzień, odpowiedział p. Vlangelli przecząco, gdyż podobnego rodzaju pozwolenia wydawać zwykli tylko gubernatorzy prowincjonalni. Powstrzymywał on się widocznie od wyjawienia własnego swego zapatrywania, z czego mogłem wnioskować, że rząd nie darzy nas nieograniczonem zaufaniem, lecz oddając nas pod nieprzyjacielską kontrolę, ułatwi lub utrudni nam wstęp do więzień w miarę własnego uznania. Przewidywałem wyniknąć mogące stąd dla nas przeszkody, roztropność jednak nie pozwoliła mi się upominać o żadne ustępstwa; podziękowawszy tedy za łaskawe i uprzejme przyjęcie, wyszedłem.

W parę dni później miałem powtórna audjencyę u p. Vlangellego. Tą razą wręczając mi obiecane listy polecające, wyraził życzenie bym w przejeździe przez Moskwę, przedstawił się znanemu redaktorowi „Moskowskich Wiedomostiej” panu Katkowowi. Otrzymałem też list polecający do cesarskiego archiwisty, ba-

rona Buhlera, który miał mnie zaprowadzić do p. Katkowa. Charakter i koleje życia tego wielkiego szermierza autokratyzmu nie zupełnie były mi obce, a chociaż zdawałem się być na tropie myśli kierującej życzeniem p. Vlangellego, to wszelako rad byłem z nastrożającą się okazyi poznania p. Katkowa w jego własnej osobie. Szło tu głównie o to, aby ów uzdolniony i tak wysokie zajmujący stanowisko człowiek, udzieleniem mi swych własnych uwag nad ustrojem państwowym, utrwalił mnie w dotychczasowej mej korzystnej o rządzie opinji, która w danych razach miała posłużyć mi za tarczę przeciw zgubnym wpływom osiedlonych w Syberji nihilistów.

Przezorność ta jednak była zbytęzną, gdyż niekorzystne moje ówczesne zdanie o nihilistach, przewyższało z pewnością życzenie samego rządu. Zwierzenie się moje przed wysokim urzędnikiem rosyjskim było szczere; to co mówiłem, wypływało z mego przekonania. Prosząc o pozwolenie zwiedzenia Syberji, nie miałem na myśli zwracania się do jakichkolwiek bądź forteli. Jeżeli zaś moje ówczesne, a wyjawione p. Vlangellemu zapatrywania uległy zmianom, to tylko na podstawie faktów uderzającej doniosłości.

Zaopatrzeni w aparat fotograficzny, niezbędne książki, i przynajmniej w pięćdziesiąt listów polecających do profesorów, inżynierów górniczych i urzędników całej Syberji, wyruszyliśmy 31. maja wprost do Moskwy. Stolica caratu leży w odległości 1600 mil (2570 km) od granicy sybirskiej, trakt zaś główny, uczęszczany najwięcej przez kupców, a bezwarunkowo przez wszystkich wygnańców, prowadzi na Moskwę, Niżnij-Nowgorod, Kazań, Permę i Jekaterynburg. Sieć wschodnich kolei żelaznych rosyjskich kończy się w Niżnim-Nowgorodzie. Latem jednak, miasto to z Permą łączy komunikacya wodna. Z Permy do Jekaterynburgu prowadzi linia kolei żelaznej Uralskiej; linia ta 180 milowej długości (360 km), nie mająca żadnego związku z innemi kolejami, przerzyna gory

uralskie, i łączy przerwana komunikację wodną po rzekach Obie i Wołdze. *)

Zaraz po przybyciu do Moskwy wręczyłem list polecający bar. Buhlerowi, skąd udałem się do redakcyi «Moskowskich Wiedomostiej». Dowiedziawszy się tu, że p. Katkow wyjechał na kilka tygodni, postanowiliśmy powrotu jego nie czekać, udając się koleją żelazną do Niżnego Nowgoroda, gdzieśmy stanęli 4. czerwca w czwartek o godzinie 11. przed południem.

Każdy z podróżnych, zwiedzający po raz pierwszy Niżny-Nowgorod, kierując się z dworca kolejowego od brzegów Oki ku Wołdze, uledz musi pewnemu zdumieniu a raczej trwodze. Ujrzy on czysto utrzymane brukowane ulice, w długie szeregi wyciągnięte domy i kamienice, bulwar wysadzony brzoza i topolami, kanał poprzerynany mostami, wspaniałą katedrę Aleksandra Newskiego, teatr, hotele, rynki, ale — ni śladu życia. — Na zarosłych trawą i zielskiem ulicach panuje głucha cisza. Na drzewach ocieniających pusty bulwar, świergocze ptastwo, sklepy i magazyny zaryglowane, milczą dzwony cerkiewne, a zdumiony wędrowiec może przez długie godziny błądzić od domu do domu, nie ujrzawszy żadnych drzwi otwartych, żadnej istoty żyjącej. — Jeżeli mu zaś pamięć podszeptnie o sławie jarmarcznej Niżnego Nowgorodu, to przekona się, że tu tą sławną siedzibą jarmarczną jest zupełnie bezлюдna część miasta. I rzeczywiście zdumi go myśl, że miasto, pozostające przez całych dziewięć miesięcy w stanie zupełnego odrętwienia, ożywia się tylko w porze jarmarcznej. Miasto jarmarczne leży na niskim półwyspie pomiędzy Oką i Wołgą, przy złączeniu się ze sobą obydwóch rzek; stare zaś miasto rozciąga się na płaskim, urwistem wybrzeżu Wołgi. Miasto jarmarczne

*) W czasie naszego pobytu w Syberyi, ukończono właśnie drogę żelazną pomiędzy Tiumeniem i jakąś rzeką, wpadającą do Obu. Komunikacja więc wodna pomiędzy Petersburgiem, Siemipalatynskiem i Omskiem była już otwarta.

mające wygląd ogromnego handlowego karawan-seraju sprowadza tu corocznie 500 kupców, zbywających i nabywających wszelkie możebne towary. We wrześniu liczba mieszkańców dochodzi do 100.000 dusz, zaś nagromadzony towar przedstawia wartość 75,000.000 dolarów (300 milionów marek). W styczniu, lutym i marcu liczba mieszkańców tak dalece się zmniejsza, że wszyscy pozostali mogą się pomieścić w jednym hotelu, towary zaś w jednym magazynie.

Zdaje się niemożliwem do uwierzenia, ażeby tak wielkie miasto z cerkwiami, meczetami, teatrami, rynkami, bankami, hotelami, giełdą i liczące około 700 sklepów i tyleż domów mieszkalnych, odgrywało tylko rolę przejściową, a po odbytych rocznym jarmarku stało pustką. — Gdym po raz pierwszy zwiedzał Niżny-Nowgorod w styczniu 1868 roku wydał mi się on zupełnem pustkowiem. Miesiąc oświecał długie, głuche, śniegiem zasypane ulice, srebrząc białe mury i kopuły starej katedry. W jego łagodnem świetle kąpały się zasy śniegu i tysiące białym całunem pokrytych dachów. Miasto zdawało się nie tylko bezludnem, ale z jego murów wiał duch samotności i lodów arktycznych.

W jesieni 1870 r. w porze jarmarcznej, toż samo miasto było do niepoznania; otaczał je las masztów; przeraźliwy świst parostatków przedzierał się przez kurzem i parą wodną przesycone powietrze; w sklepach przybrzeżnych mieściło się towaru na 125,000.000 rs., budynki wszystkie napchane, ciżba; codziennie około 60.000 osób przeciskało się po moście ku staremu miastu; na wielkim bulwarze przed domem gubernatora muzyka wojskowa grała operetki Offenbacha, a z wszystkich ulic, po długotrwałym śnie zbudzonego miasta, spieszyli gromadnie ludzie, ożywieni jedną myślą handlu.

W r. 1885 w czerwcu nawiedziłem znów miasto jarmarczne, znalazłszy je tą razą znacznie na korzyść zmienionem. Całe rzędy dawniejszych sklepów drewnianych zastąpiły obecnie budynki murowane, wiele ulic nowo brukowanych, liczba składów towarowych zna-

cznie zwiększona, a w niższym końcu półwyspu wzrosła się wspaniała katedra Aleksandra Newskiego.

Mniemano, że rozszerzająca się z każdym rokiem sieć kolei żelaznych, przyczyni się z czasem do upadku miasta jarmarcznego. Tak się jednak nie stało. Od roku 1868 do 1881 wartość towaru jarmarcznego z 120 milionów rs. wzrosła do 246 milionów, zaś ilość sklepów z 5738 doszło do 6298. Obecnie podczas dwumiesięcznego jarmarku, nagromadzony na rynkach towar przedstawiał wartość 225 milionów rs., liczba zaś sklepów doszła do 7000. Stacya kol. żelaznej Moskiewsko-Niżnio-Nowgorodzkiej, leżąca w obrębie miasta, na lewym brzegu Oki, połączona jest ze starem miastem wiszącym mostem a prócz tego latem kursują tu parostatki.

Stare miasto rozłożone na urwistej 400 stóp po nad poziom rzeki wzniesionej równinie, nader malowniczy przedstawia widok. Ulice wjazdowe głęboko w ziemię werżnięte, gdzieś tam pokratowane wazkimi, bujnie trawą porośniętymi tarasami, na których pośród cienistych drzew wznoszą się mury cerkwi i klasztorów. Na płaskim wzgórzu rozsiadła się bizantyjska cerkiew, której różnobarwne, wylęcane kopyty unoszą się malowniczo po nad zielenią zastanymi tarasami; spadziste błonia, tu i owdzie dotykające koryta rzeki — wszystko to przy jasnej, pięknej pogodzie czerwcowej malowniczy przedstawia krajobraz. Na zakręcie Wołgi sterczy forteca, opierająca się murami o samą rzekę, a baszty jej i sklepienia przenoszą widza w czasy średniowieczne. Przed 350 laty twierdza ta uchodziła za niezdobytą. W ciągu całego stulecia służyła ona za schronienie mieszkańcom miasta przed napadami dzikich hord tatarskich. Baszty jej sięgające pierwotnie do wysokości 100 stóp, dzisiaj sterczą ruiną, a z murów obwodowych nie pozostałoby ani szczątka, gdyby nie wspierały się na tak szerokich i trwałych fundamentach. Na mnie forteca ta nierównie silniejsze wywarła wrażenie, niżeli ów sławny moskiewski Kremlin. — Ulokowawszy się w jednym z hoteli starego miasta, po

oddaniu paszportów, przechadzaliśmy się wzdłuż murów fortecznych ku brzegom rzeki. Pomiedzy urwistem wzgórzem, a samą rzeką, na wąskiej równinie, leży część miasta zwana „Starym bazarem”. Jakaż malownicza różnorodność! Mieszą się tu z sobą domy przeróżnych kształtów i rozmiarów. Obok nowomodnych, wykwinnych magazynów z wyłaczanymi szyldami i zwierciadlanymi szybami, stoją z desek zbite stragany; hotele, sklepy; agencye parostatkowe mieszą się z kramikami i tandytne budkami, a w najmniej spodziewanem miejscu napotyka się fantastycznie malowaną cerkiew, sięgającą minionych stuleci. Na całej drodze pomiędzy rzeką a wzniesieniem, stoi mnóstwo najróżnorodniejszych sklepików, w których dostać można wszystkiego, co się tylko podoba: szpilki, grzebienie, suszone grzyby, kotwice okrętowe, dzwony kościelne i maszyny parowe. W jednym sklepie na dolnym bazarze widziałem wystawione: garnitur mebli salonowych, dwa z łożiny plecione wózeckiz dziecinne, fotel ogrodowy, dwie piły, pół tuzina starych samowarów, kołyskę, parową maszynę, parę rogów łosiowych, trzy stare kotły, zbiór teleskopów, krzyż żelazny, kościelny, sześć do ośmiu zegarów, wasąg brykowy, skrzydła do zamiatania kurzu. lornetki, łańcuszki, postumenta do zegarków, warsztat stolarski, stare buty, kaukazki sztylet, dzwonki do sanek, liny okrętowe, węzownice sikawkowe, chomonta, kowadło, poduszki powozowe, złożone bransoletki, obręcze żelazne do beczek, kufry, kilka waz obiadowych wypełnionych gwoźdźmi i śrubami, noże, trzonki, śrubszlaki, szybry do pieców, rewolwery, siodło, pozytywki, skrzynkę pełną biszkoptów angielskich i wannę kąpielową. Spis ten zrobiony doraźnie nie mieści w sobie ani jednej trzeciej części nagromadzonego w tym sklepiku towaru; na skompletowanie go brakło mi czasu. Sklep ten może posłużyć jako typ wszystkich innych, mieszczących się w „Dolnym bazarze”. Uderza tu przede wszystkim różnorodna konstrukcyja domów mieszkalnych i sklepowych. Wzdłuż całego brzegu rzeki czernią się

parostatki i pomosty. Ruch handlowy gromadzi tu ludzi ze wszystkich stron carstwa. Niemal co godzina odpływają parostatki w dół Wołgi, do granic sybirskich i do morza Kaspijskiego; chmary flisaków Tatarów wyładowują wielkie czarne barki a mnóstwo jednokonnych niezdarnych wozów, mających pozór wzdłuż przeciętych na czterech kołach osadzonych beczek, rozwożą złożone na brzegach rzeki towary. worki, skrzynki, kosze; po całej szerokiej ulicy wśród tumanów kurzu snują się wciąż kupcy, włościanie, pielgrzymi, żebracy i włóczęgi.

Wszechwładny duch handlu zda się nawet opanował tu niedorostków i dzieci. Przypatrząc się ożywionemu ruchowi na brzegu rzeki, zoczyłem przeciskającego się przez tłum jakiegoś obdartego dziewięcioletniego dzieciaka, którego cały towar składał się z kilku wianków suszonych grzybów. Ów dzieciak, ukazując swój towar wrzeszczał na całe gardło: grzyby! piękne grzyby! Popierajcie panowie handel! kupujcie moje grzyby! popierajcie handel!

Na jarmarku czerwcowym, nie spotyka się jeszcze takiej różnorodności typów ludowych, jak na sierpniowym; co się tyczy jednak ubiorów, to te oryginalnością swoją zwrócić muszą uwagę każdego cudzoziemcy. Tu spocznie oko na czarno-brunatnym Tatarze w okrągłej czapce i długim chałacie; tam na rosyjskim chłopie, przyodzianym w barani kożuch, w postołach splecionych z łożyny i wiązanych tykiem. Podejrzanymi się wydają długowłose i wielkobrode postacie mnichów, zbierających jałmużnę dla szpitali i kościołów. Wyciągają oni po datek drewniane wazki deseczki pokryte czarnym pluszem, a ofiarowany pieniądz chowają do zawieszonych na szyi, na klucz zamykanych skarboniek. Tu przekupień zachwala swój przewyborny kwas, miód, sorbet, i przeróżne pięknie zabarwione trunki, tam znów sztuczne biżuterje, solone ogórki, suszone grzyby, chustki do nosa z wydrukowanymi kartami kolei żelaznych rosyjskich. Dodać należy, że oprócz miejscowych handlarzy, wloką się tu całymi

stadami kupcy i kupczyki z wszystkich okolic nadwołżańskich.

Podróżującego obcokrajowca zadziwić musi nadzwyczajna produkcja południowo-wschodniej Rosyi, obfitość płodów surowych i panujący na wszystkich liniach komunikacyjnych gorączkowy ruch handlowy. Zwykłemu amerykaninowi, południowo-wschodnia Rosya wydaje się być w części pastwiskiem, w części gruntem ornym, wystarczającym wprawdzie na zaspokojenie potrzeb niewielkiej liczby półcywilizowanych mieszkańców, we względzie handlowym jednak, nie zdolnej wytrzymać konkurencyi z najmniej nawet produkcyjną stroną Stanów zjednoczonych. Zdziwi się on nie mniej, zoczywszy w Niżnym-Nowgorodzie cały brzeg rzeki na długości 6 do 8 mil ang. zaległy parostatkami i galarami. Do jakiego stopnia rozwoju doszedł tu ruch wodny, świadczy najlepiej ta okoliczność, że dla uregulowania żeglugi istnieje oddzielna izba sądowa ze swoją własną jurysdykcją. Przystań zostaje pod kontrolą urzędnika, naznaczonego przez Ministerstwo handlu, któremu do pomocy przeznacza się cały sztab podwładnych. Liczba parostatków, kursujących po Wołdze i wpadających do niej rzekach, większa jest niż na Mississipi; wartość zaś dowozowego rocznie towaru z jednej rzeki Kamy dochodzi do 15 milionów dolarów, a wody należące do systemu Wołgi, noszą co-rocennie na swych falach 5 milionów ton towaru, który to transport zajmuje 7.000 parostatków i 200.000 wioślarzy.

Rankiem 6 czerwca siedliśmy na parostatek braci Kamińskich i popłynęli po Wołdze i Kamie do Permy, odległej od Niżnego-Nowgorodu o 1600 km. Jeżeli, jak powiadają, okolice Nilu są śpichlerzem dla całego Egiptu, to nadwołżańskie, — dla całej wschodniej Rosyi. Na etnograficzny skład ludności wpłynęła przeważnie rzeka Wołga. Poczynając od lat zwyż 1000, cała historia Rosyi stoi w ścisłym związku z tą rzeką; wpływała ona na rozwój życia i charakter całego szerepu wschodnio-rosyjskiego a dzisiaj, dobrobyt przeszło 10 milionów ludzi od niej zależy. W tym wzglę-

dzie Wołgę należy uważać za jedną z najważniejszych rzek. Długość jej od Wałdaju do morza Kaspjskiego wynosi 2300 mil (3700 km.); w czasie zaś wezbrania rozlewa się pod Carycynem na szerokość 30 mil (45 km.); oko więc żeglarza, przepływającego rzekę, gubi się w przestrzeni, nie dostrzegając brzegu przeciwnego. Wołga przepływa dziewięć gubernij Caratu, a na brzegach jej rozłożyło się 39 miast i wyż tysiąc wsi i siół. Najdonioślejszego znaczenia jest część Wołgi pomiędzy Niżnym-Nowgorodem a połączeniem się jej z Kamą, na której to przestrzeni wodnej w czasie otwarcia żeglugi kursuje częstokroć po 450 parostatków. Okolice nadwołżańskie aż do zagięcia się koryta rzeczno nad Samarą, przedstawiają obraz życia czynnego; widać tu mnóstwo parowców, barek, holowników, ogromnych łodzi obładowanych towarem rosyjskim, sybirskim i średnio-azyatyckim. Same już okolice Wołgi dostarczają ogrom płodów ziemnych. Wiele wsi przybrzeżnych, wydających się zdala małym siółami, jak n. p. leżące pomiędzy Niżnym Nowgorodem i Kazaniem Łysakowo, obładowuje rocznie swem zbożem aż 700 parostatków. Lewy brzeg Wołgi jest przeważnie niski i mało przedstawia interesu; prawy jednak wznosi się nagle na wysokość 400 do 500 stóp, i w przerwach dwu do trzech milowych odchylając się pasmem wzgórz od brzegu koryta, tworzy małe zlewające się z sobą jeziora, w których zwierciadło odbijają się ciemno zielone bory dziewicze, to znów nadbrzeżne, kształtne wzgórza; tu i owdzie na wierzchołku góry w cieniu drzew bieleje cerkiew z błyszczącymi cymbi kopułami i kunsztownie rzeźbionym pomalowanym szczytem. Po przez głębokie parowy, przerzynające wały przyrzeczne, ukazują się w dali żyzne urodzajne doliny; niekiedy występuje na widownię tulący się samotnie do stóp góry i ocieniony dzewami klasztor. Parowiec płynie częstokroć pół godziny samym środkiem rzeki, a w ciągu całego tego czasu malowniczy obraz prawego brzegu rzeki przesuwają się przed oczyma przepyszną, 10 mil w dal sięgającą panoramą; gdy

zas wymijając skałę nagle zwróci się ku lądowi, wtedy owa obszerna panorama ścieśnia się, zamykając w swych ramach obrazek małego rosyjskiego siola. Czasami tak bliźniętka podpływa do brzegu, że można rozróżnić rysy twarzy chichocących i powiewających chustkami dziewcząt, albo też chwycić uchem rozmowy leżących przed cerkwią na murawie odzianych w czerwone koszule parobczaków. Widoki tak szybko mijały przed naszymi oczyma, że trudno było je pochwycić. Śledzisz za szczegółami charakteryzującymi rosyjski krajobraz, a ten już zniknął ci z przed oczu; statek zabiegł już w kolano rzeki, której jeden brzeg skalisty, drugi zaś pokryty gąszczem leśnym, niedotkniętą stopą ludzką.

Podziwiając malowniczą piękność majestatycznej rzeki i wciąż zmieniające się widoki, siedzieliśmy na pokładzie jak przykuci, nie opuszczając go dopóty, dopóki ciemności nocne nie przysłoniły nam oczów. Powietrze przepełnione było wonią kwiatów łąkowych i orzeźwiającym chłodem leśnych dolin; rzeka snuła się między brzegami wspinała błyszczącą wstęgą, której światła lamp wśród nieprzeniknionych ciemności dodawały jeszcze więcej uroku; a z odległej dali dochodził ucha głos każdemu żeglarzowi rosyjskiemu tak miłej pieśni o matce Wołdze (»W nisz po matuszkie, po Wołgie«). Znalazłszy się w naszej małej, ale miłutkiej kujucie, wypiliśmy po kilka szklanek wybornej herbaty, powyjmowali z zawiniątek kołdry i poduszki i za przykładem rosyjskich podróżnych położyliśmy się na długich skórzanych ławkach, zajmujących w rosyjskich statkach większą część przestrzeni.

Około godziny 5-tej rano zbudził mnie przeraźliwy świst parostatku; zatrzymał się on u przystani, zaczęto z łoskotem wyładowywać bagaże, a nad naszymi głowami powtarzało się wciąż jakieś mocne stukanie i tupanie. Domyśliwszy się że jesteśmy w Kazaniu, udałem się na pokład. Słońce już od godziny kroczyło po niebie, a rzeka przemykała jakby strumieniem płynącego srebra pomiędzy naszym statkiem a pochyłością

brzegu, zaślaną przepyszną zielenią. Licznie pozatykane na przystani flagi witały nadchodzące statki. Powyżej na jałowym, piaszczystym wybrzeżu, rozsiadły się szeregiem drewniane sklepy i domy mieszkalne z różnobarwnymi dachami i ścianami, zaś w dali na wzgórzu widać było mury, baszty, minarety i błyszczące cerkiewne kopuły, co wszystko odnowiło spoczywający w mej pamięci od lat dziecinnych obraz miasta próżności w Bunyan z podróży pielgrzyma. Obecnie mieliśmy przed oczyma sławne miasto tatarskie — Kazań. Ongi przed wiekami wzgórze, na którym wznosi się twierdza kazańska, odpływała Wołga, obecnie przez zmianę łożyska leży ono w odległości 3 do 4 mil ang. od rzeki. Miasto Kazań widziałem tylko w przelocie, pobudza ono wyobraźnię i zaostcza ciekawość. Stojąc w przystani przypatrywałem się różnobarwnie malowanym domom. Jak długotrwałe działanie wywiera ta pstrokacizna na nerwy wzrokowe mieszkańców, tego nie umiem powiedzieć, nie dziwi mnie jednak, że w rosyjskim języku zamiast pięknie, mówi się *prekrasno*, ani też — że rosyjscy pisarze o istotnie pięknej dziewczycy wyrażają się *krasnaja dziewica*. Rozmyślając o tem na kazańskiej przystani słupiałem z podziwu, że rosyjska mowa nie opiewa o *«czerwono-zielonej dziewczycy»* *«szkarłatno-niebieskiej melodyi»* lub też o *«pásowo żółtej i czekoladowo-brunatnej poezyi»*. Byłaby to, że tak powiem, czerwono-biało-niebieska przyjemność wyrażać swe podziwienie barwami i dla wykazania najwyższego stopnia zachwyty pod ręką całą skalę możebnych kolorów.

O godzinie 7-mej rano zjawily się w przystani dorożki, odwożące posażerów, o 8-mej zaś odbiliśmy od brzegu. Dzień był tak piękny i ciepły, że nie chciało się nam schodzić z pokładu; ożywieni promieniami słonecznymi i kołysaniem parostatku, wdychaliśmy błogą woń lasów, pokrywających wzgórze lewego brzegu, robiliśmy notatki, szkicowali od czasu do czasu spotykane na rzece przeróżnych kształtów barki, łodzie holowce, co już bez oglądania nadbrzeżnych okolic,

charakteryzowało Wołgę jako rzekę rosyjską. Na wstępie ukazał się ogromny holownik, wlokący za sobą poważny szereg czarnych barek, mających pozór ogołoconych z żagli parostatków; za nim kroczyła zwolna jakaś osobliwsza barka z kabłąkowatym, wysokim przodem. Barka ta, zaopatrzona liną długą nawijającą się na wał, do końca której przytwierdzona była ciężka kotwica, posuwała się przeciw prądowi w ten sposób, iż kilku ludzi idąc brzegiem zarzucali kotwicę na ląd podczas gdy inni nawijając linę na wał, statek ów wprowadzali w ruch. Wreszcie spotkaliśmy jakąś olbrzymią tratwę około 500 stóp długą a 100 szeroką, wiozącą na sprzedaż w okolice Wołgi ogołocone z lasów, ku morzu Kaspijskiemu, gotowe domy drewniane z niekształtnymi dachami. Mieszkańcy tego pływającego sioła z odkrytymi głowami, w czerwonych i niebieskich koszulach, rozłożyli się około żywo płonącego na tratwie ognia, popijając herbatę. Zdawało się, jakby owe sioło ocalone cudownym sposobem z powodzi, pływało spokojnie po rzece. Od prawego brzegu dochodził uszu naszych odgłos dzwonów, nieopodal położonej, złotokulistej cerkwi, do której na mszę spieszyli w łodziach sześciowiosłowych, jaskrawo przystrojeni mężczyźni i kobiety.

Około godziny 11-tej przed południem rozstaliśmy się z Wołgą, wpływając w koryto bystrej, posępnej Kamy. Rzeka ta, biorąca swój początek w Uralu od granicy sybirskiej przed ujściem swem do Wołgi, poniżej Kazania przyjmuje kierunek południowo-zachodni. Wszystko wydaje się tu nieswojskiem, nawet dzikiem. Brzegi Kamy mniej zaludnione, niż Wołgi; nie spotkać tu już bielejących się murów klasztornych, owej ozdoby krajobrazów nadwołżańskich, zwłaszcza pomiędzy Niżnym-Nowgorodem i Kazaniem: niezdarne statki wodne z drewnianymi czerwono lub niebiesko malowanymi poręczami i wysokimi masztami, ubiory włościan, kręcących się po przystani, oryginalnego kroju i tak jaskrawe, że cudzoziemcowi wydawać się muszą okolice za niedostępne dla wszelkich możebnych wpływów cywilizacyjnych. Może ową pstrokacizną odzna-

czają się tylko ubiory świąteczne, ale bądź co bądź w całej Rosyi nie spotkaliśmy tylu parobków w niebieskich, purpurowych, różowych i fioletowych koszulach, ani dziewcząt w cytrynowo-żółtych spodnicach, pasowych fartuchach, różowych stanikach i liliowych chustkach.

Aczkolwiek w ciągu całej podróży po Kamie, niespotkaliśmy się z niczem osobliwym, to zawsze nie była ona dla nas bez pewnego powabu. Przesuwające się wśród cudownej czerwcowej pogody przed oczyma naszymi krajobrazy, nęciły swą dziką pięknością; topole, osiki i srebrzyste brzozy, zdobiące stromy brzeg rzeki, gdzieniegdzie tak nisko opuszczały nad wodę bujnie liściem pokryte gałęzie, że te ocieniały pokład przemykającego się parostatku. Na każdej przystani przynosiły nam dzieci wiejskie równianki kwiatów, tak że mała nasza jadalnia przesycona była błogą wonią tych zwiastunów wiosny. Powietrze, okolica i wegetacya nie przypominały nam w niczem bliskości Syberyi; zdawało się raczej, że zbliżamy się do Kalifornji; wszędzie widzieliśmy obfitość kwiecia, każdej nocy dochodził nas z nadbrzeżnych krzewów śpiew słowików; przesiadywaliśmy też razem z innymi podróżnymi na pokładzie statku długie wieczorne godziny, pijąc herbatę, gawędząc, póty ostatnie zorze wieczorne nie zgasły za górami. Nasza podróż po Kamie wydała mi się tak przyjemną, wygodną i pełną swobody, że dobiwszy dnia 10 czerwca do Permy, z prawdziwym żalem rostawaliśmy się z naszym małym parostatkiem „Aleksander”.

Perma, gdzieśmy zatrzymali się na nocleg, pozostała dla nas pamiętną pierwszem zejściem z rosyjską policją. Aczkolwiek ów wypadek małej jest doniosłości, to wszakże przytaczam go w celu zwrócenia uwagi na nieograniczoną władzę rosyjskiej policji, oraz wykazania, na jak wielkie nieprzyjemności może narazić się obcokrajowiec podróżujący po gościnnych sybirskich. Bezzwłocznie po przybyciu do Permy, udaliśmy się z panem Frostem na przechadzkę,

szukając odpowiedniego pagórka, z którego by można było zdjąć ołówkiem kilka widoków miasta. Idąc, znaleźliśmy się trafem około więzienia, a że to było pierwsze na gościńcu sybirskim, przeto oglądaliśmy je z pewnem zajęciem. Przekonawszy się jednak, że od upatrzonego pagórka dzieli nas dość znaczna odległość, odłożyliśmy zamiar nasz ze względu na spóźnioną porę do dnia następnego. Wracając zbliżyliśmy się znowu pod więzienie, zaś nazajutrz poszliśmy szkicować miasto. P. Frost odrysował miasto z przedmieściami, i niebawem skierowaliśmy się ku domowi. Przechodząc przez szerokie błonia w pobliżu więzienia, spotkaliśmy jadących dwoma dorożkami czterech oficerów w pełnych uniformach z pałaszami i rewolwerami przy boku. Pierwsi dwaj oficerowie, zdawali się zwracać na nas szczególniejszą uwagę; nie znając jednak podówczas mundurów rosyjskiej policji i żandarmeryi, wziąłem owych uzbrojonych ludzi za wojskowych. Nie dojeżdżając do nas, obaj oficerowie, wysiadłszy z dorożki rozeszli się w strony przeciwne na odległość jakich 50 kroków, po czem zwracając się jednocześnie zabiegli nam drogę. Wtedy minęła mi myśl, że obudziliśmy podejrzenie policji, która w osobach owych czterech urzędników przybyła nas aresztować. Otoczyli nas, a jeden z pośród nich, oficer żandarmeryi, przystojny, około 30 lat liczący mężczyzna, skłoniwszy się oznajmił: Pozwólcie panowie zapytać się kto jesteście? — Jesteśmy podróżującymi amerykańkami — odpowiedziałem. — Kiedyście panowie przybyli do Permy? — Wczoraj. — Skąd jedziecie? — Z Niżnego - Nowgorodu. — Gdzie się udajecie? — Do Syberyi. — W jakim celu, jeżeli można wiedzieć? — Jako podróżnicy. — »Turyści« — zawołał z przekąsem — nie jeżdżą po Syberyi, — cel panów podróży musi być inny. Jakiż to cel? — Tłumaczyłem mu, że amerykańscy podróżni, nie koniecznie zaś turyści, zwykli podróżować po całym świecie, a celem ich jest zwiedzanie i poznawanie rozmaitych krajów i okolic. Te moje wyjaśnienia nie zdawały się

go zadowalać, począł mnie zasypywać różnemi pytaniami; w końcu oznajmił z pewnym naciskiem: — panowie przechadzaliście się wczoraj około więzienia? — Tak jest — odpowiedziałem. — Po co? — Wytlumaczyłem mu powody: — Panowie oglądaliście więzienie z szczególną uwagą. — Tak jest. — Cóż was do tego skłaniało? — Objaśniłem mu rzecz ponownie. — Ależ panowie nie wstępowaliście wcale na wzgórze, a tylko podchodziliście wciąż pod same więzienie, obserwując go z szczególniejszą uwagą i z pewnym celem. A i dzisiaj rano skierowaliście wasze kroki znowu ku więzieniu.

Gotów byłem parsknąć śmiechem w oczy owemu oficerowi. widząc jednak, że naszym strażnikom nie zbiera się wcale na śmiech, lecz owszem sprawę ową oględzin więzienia biorą na seryo, zacząłem ponownie rzecz wyjaśniać. Oficer żandarmeryi, któremu słowa moje nie zdawały się trafiać do przekonania, zażądał od nas paszportów, a dowiedziawszy się, że te pozostały w hotelu, oznajmił, że zmuszony jest nas aresztować do czasu sprawdzenia tożsamości osób i wykazania się z właściwego celu podróży. Frost podążył tedy pod opieką oficera żandarmeryi, mnie zaś towarzyszył siwobrody urzędnik, którego miałem za prezydenta policyi. Widocznie uznano nas za spiskowców, przybyłych do Permy w celu wykradzenia kogoś z tamecznego więzienia. Skoro weszliśmy do hotelu, przyjąłem towarzyszących nam panów z całą uprzejmością i przedstawivszy im nasze dokumenta podróżne zaprosiłem na herbatę. Ów młody oficer, w czasie przeglądania papierów, mierzył nas wciąż podejrziwzm wzrokiem, jakby miał przed sobą jakiś nowy rodzaj niepodgatunkowanych jeszcze niebezpiecznych przestępców, przed którymi należało się mieć na szczególnej baczności. Paszporta nasze okazały się niedostatecznymi dowodami. list jednak ministra spraw wewnętrznych położył rychły koniec całej tej komedii. Oficer żandarmeryi poczerwieniał w czasie czytania tego listu i porozumiawszy się szeptem z prezydentem policyi, z pewnym

zakłopotaniem zbliżył się do mnie, prosząc o przebaczenie za zaszłe nieporozumienie. Pokazało się, że policya upatrując w naszych osobach, śledzonych przez nią dwóch przestępców politycznych, niemców, aresztowaniem nas, miała na myśli spełnienie ciężącego na niej obowiązku. W dowód przebaczenia za zaszłe nieporozumienie, oficer ów poprosił o podanie ręki i skłoniwszy się nisko, pożegnał nas. Ta mała przygoda, charakteryzująca sposób postępowania rosyjskiej policyi, stała się dla mnie ostrzegającą wskazówką na przyszłość. Jeżeli jeszcze przed przekroczeniem granicy sybirskiej za same oględziny więzienia zostaliśmy aresztowani, to na jakąż odpowiedzialność narazić nas mogło samo spełnienie powyższego zamiaru!

Dnia 11 czerwca wieczorem opuściliśmy Permę, kierując się koleją żelazną uralską do Jekaterynburga. Znużeni ostatnimi przygodami podróży, oddaliśmy się w objęcia snu, budząc się dopiero nazajutrz o godzinie 8 na stacyi Bissior. Dzień był przesłiczny, zapach żywicznych lasów i kwiecica przepępniał powietrze, z wysokich brzoź rozlegało się kukanie kukutek, jednym słowem wczesne lato rozwijało cały swój urok. Frost botanizował wzdłuż linii kolei, spotykając tu róże alpejskie, bratki, stokrocie i wiele innych kwiatów mnie nieznanych. Poczynając od Bisioru, pociąg nasz wciąż wspinał się po lesistych pagórkach, to znów spieszył po przez gęste świerkowe lasy, niedostępne dla stopy ludzkiej; niekiedy przejeżdżaliśmy koło rzek, gdzie setki mężczyzn i kobiet przemysłowali złotonośny piasek; tu i owdzie nęciły oczy przepyszne leśne dąbrowy z malowniczo grupującymi się drzewami. A wszędzie taka obfitość kwiecica: konwalij, róż, fiołków, pozioemek i t. d.

Nie mało nas także zdziwiło spotkanie w tej dzikiej okolicy tak trwale, wybornie a nawet zbytkownie zbudowanej linii kolei żelaznej. Budynki kolejowe pomiędzy Permą i Jekaterynburgiem należą do najlepszych w całej Rosyi, wagony zaś mogły by ubiegać się o pierwszeństwo z pierwszorzędnymi kolejami ro-

syjskimi. Dworce, magazyny, nawet strażnice, wszystko wykonane niezwykle starannie, nawet na zdobnych mozaiką słupach milowych zaznaczono odległość w wiorstach.

Stacya »Niżny Tagł«, gdzieśmy zatrzymali się na obiad, leżąca już na stronie azyatyckiej mogłaby przynieść zaszczyt pierwszorzędnym kolejom. Fundamentalnie zbudowany dworzec kolejowy, mający 100 stóp długości i 20 stóp szerokości, z peronem krytym, żelaznym malowanym dachem, otoczony jest przepyszny parkiem, z trawnikami, kłabami, pełnymi wonnego kwiecia, a wśród wieńca srebrzystych róż wytryska fontanna. W sali jadalnej, posadzka dębowa gustownie taflowana, ściany do połowy wysokości szalowane dębem, a powyż wybite deseniowanym salianem. Wielki stół obiadowy zastany śnieżnej bieli obrusem i serwetami, mieścił na sobie przepyszna porcelanę i podziwu godne serwisy kryształowe, wazon y z bukietami a w dodatku akwaryum. Prócz kunsztownie rzeźbionych krzeseł, stał na pięknie brązowanym piecu kosztowny zegar. Ubiór służby nie pozostawiał nic do życzenia, nawet kucharz w pełnej bieli nosił na głowie białą, czworograniastą czapkę. Jadalnię tę mogę bez wszelkiej przesady zaliczyć do najwytworniejszych jakie kiedykolwiek spotykałem w życiu, a gdy w dodatku podano obiad, składający się z wytwornych czterech potraw, wtedy istotnie nie mogłem uwierzyć, że jestem na pograniczu dzikiej Azji. Było to rzeczywiście ostatnie nasze zetknięcie się ze zbytkiem cywilizacyjnym, bo w ciągu uciążliwej, wielomiesięcznej podróży nie spotykaliśmy się już więcej z koleją żelazną.

W piątek 12 lipca przybyliśmy do Jekaterynburga, miasta, położonego na wschodniej pochyłości Uralu, a odległego o 150 mil ang. od granicy sybirskiej. Ponieważ droga żelazna do Tiumena nie była jeszcze wykończoną, przeto zmuszeni byliśmy jechać końmi, przebywszy tym sposobem w ciągu dziewięciu miesięcy tam i z powrotem około 8000 mil ang. (12870 km.). Na trasie łączącym Jekaterynburg z Tiumeniem

kursowały wówczas poczty pośpieszne, tak, że podróż tę odbyliśmy w ciągu 48 godzin. Towarzystwo prywatne, wydzierżawiające od rządu prawo przewożenia pasażerów na całej tej linii, obowiązane było, za pobraniem oznaczonej taryfą taksy, odstawiać ich końmi rozstawionymi do wskazanej miejscowości. Ekwipażem używanym tu powszechnie jest tarantas, składający się z wasagu koczowego, półkrytego, spoczywającego na dwóch lub czterech długich drażkach, łączących osie i zastępujących powozowe resory. W czasie zaś słoty, zakrywa się on od przodu skórzaną osłoną. Ponieważ w tarantasach nie ma żadnego siedzenia, podróżny przeto składa swe rzeczy na same dno bryki, zapycha nierówności słomą i pokrywając to wszystko dywanikiem lub derką, sadowi się, zabezpieczając swe plecy od potłuczenia poduszkami. Opatrzeni biletami jazdy, dnia 13. czerwca wgramoliliśmy się do naszego tarantasu, zajmując wcale niewygodne siedzenia na kufrze pana Frosta. Nasz siwobrody kuczer ująwszy w rękę dwie pary powrozianych lejców, zawołał donośnym głosem: »a no przyjaciele!« i wśród odgłosu dwóch nieharmonijnych dzwonków, przytwardzonych do długi konia hołoblowego, przemknęliśmy bystro plac parady, i minawszy dwa czworograniaste słupy z dwugłowymi orłami, znaleźliśmy się wkrótce w ciemnym, gęstym lesie. Był to właśnie główny szlak sybirski, ciągnący się pomiędzy Uralem i Amurem na długości 3000 mil ang. czyli 4830 km.

Długie szeregi wozów, obładowanych towarami, przekonały nas na wstępie, że dotychczasowe mniemanie nasze o Syberii jako o kraju nieprodukcyjnym, były mylne. Wozów tych nie spotka się nigdzie samopas jadących, lecz złączonych w pewne oddziały czyli grupy zwane obozami. Obóz taki składa się z kilkudziesięciu jednokonnych, dobrze wyładowanych kibitek, posuwających się gęsiego. W ciągu niespełna godziny, napotkaliśmy 538 takich wyładowanych kibitek, pierwszego zaś dnia naliczyłem ich 1445. Sam więc ów ruch produktów dowodzi, że Syberya nie jest pu-

stynią. Z pustyni nie wywozi się dziennie półtora tysiąca tonn produktów handlowych.

Około północy, wśród zwiększających się ciemności, karawana zatrzymała się na spoczynek. Wkrótce też oczom naszym przedstawił się bardzo malowniczy obraz: na zrębie lasu w kwadracie sformowanym z uszeregowanych w cztery rzędy kibitek, biwakowali przy żywo płonących ogniach ludzie, prowadzący karawanę, podczas gdy wyprężone i popętane konie pasły się pod drzewami na łące. Żywo gorejące ognie obozowe, iskrzącą łuną, oświecały stopy posępnej leśnej gęstwiny, podczas gdy nocna zorza smugami matowego światła rozwidniała wierzchołki. Mimo dość dobrej drogi, nie robiliśmy w godzinę więcej nad mil 8, zatrzymując się na stacyach tylko dla zmiany koni. Słońce zachodziło w tej porze o godzinie $\frac{1}{2}$ 10, wchodziło zaś o $\frac{1}{2}$ 3 rano, nocie przeto były dość widne. Częstoż przejeżdżaliśmy przez bardzo wielkie wsie; domy były wszędzie drewniane, wyciągnięte w dwa rzędy wzdłuż gościńca i odgródzone od siebie płotami. Nigdzie nie było widać drzew, ni krzewów. Niektóre wsie ciągnęły się wzdłuż gościńca na 5 mil ang., każda zaś leżała wśród ogrodzonego błonia, zajmującego przestrzeń około 200 do 3000 akrów kwadrat.; w miejscu, gdzie gościniec przerzynał zagrodę, znajdowały się wrota tudzież buda dla stróża. Ci stróże, są to zwykle starzy, sponiewierani przestępcy. Obowiązkiem ich jest strzedz pasącego się w zagrodzie bydła i otwierać w każdej porze wrót przejezdny, za co pobierają od gminy po 3 do 4 rs. miesięcznie i zamieszkują w nędznych, zawsze pełnych dymu lepiankach.

Jeszcze w dzień wyjazdu naszego z Jekaterynburga widzieliśmy po raz pierwszy dom etapowy i spotkaliśmy transport więźniów w drodze do Syberyi. Z ustaleniem komunikacji wodnej pomiędzy Niżnym-Nowgorodem i Permą tudzież z wykończeniem linii kolei żelaznej uralskiej, wygnańcy z wszystkich miejscowości na wschód Uralu położonych, z więzień: moskiewskiego, niżnionowgorodzkiego i kazańskiego wy-

sełani są parostatkami i koleją żelazną do Jekaterynburga. Na drugiej stronie Uralu następuje rozdział więźniów na oddziały i stąd już wszyscy zmuszeni są pieszo wędrować do miejsc imznaczonych. Wyjątek stanowią ludzie zaliczeni do klasy uprzywilejowanej, jakoteż chorzy i mocno wycieńczeni, którzy wloką się za etapem w jednokonnym kibitkach. Ponieważ po za Tomskiem miałem sposobność podróżowania z takim etapem wygnańców, przeto opisanie ich sposobu życia w czasie marszu pozostawiam na później.

Drugiego dnia naszej podróży z Jekaterynburga pomiędzy wsiami Markowa i Tugulińskaja, wśród rzadkiego lasu, woźnica nasz powstrzymawszy nagle konie zawołał: »Tu granica!«. Wskoczywszy z tarantasu zoczyliśmy przy gościńcu czworograniasty 10 do 12 stóp wysoki, słup murowany, opatrzony z jednej strony herbem europejskiej guberni permskiej, z drugiej zaś azyatyckiej — tobołskiej. To był znak graniczny sybirski. Poczynając od Petersburga do oceanu Spokojnego, do żadnej miejscowości nie przywiązuje się tyle bolesnych wspomnień: żadna z nich nie przedstawia dla przejezdnego tyle przykrego zajęcia jak ten kawałek przerzedzonego lasu z owym bólem, żalością i łzami uświęconym słupem.

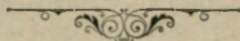
Żaden inny znak graniczny na całej powierzchni ziemi nie był świadkiem tak wielkiej nędzy ludzkiej; około żadnego z nich nie przechodziła taka mnogość istot z poszarpanem i starganem boleścią sercem. Już od r. 1878 przewędrowało tedy 170.000 wygnańców, od początku zaś bieżącego stulecia — zwyż pół miliona. Ponieważ ów kamień graniczny stoi pomiędzy dwoma krańcowymi stacyami: rossyjską i sybirską pozwolono jest wygnańcom wytchnąć tu chwilę, i ostatniem słowem pożegnać dom ojczysty i ziemię rodzinną: chłop rossyjski choćby zbrodniarz nawet, nosi w sobie gorącą miłość do ojczystej ziemi, to też przy tym słupie granicznym odbywają się nieraz sceny rozdzierające serce. Wielu, nie mogąc się rozstać z szarpiącym ich bólem, noszą go wciąż z sobą i w sobie; inni szukają w łzach

pociechy; niektórzy rzucają się na kolana, zwracając twarz ku ziemi rodzinnej, lub też przytulają usta do zimnego murowanego słupa, jakby on był dla nich symbolem tego, co ukochali, a z czem rozłączają się może na zawsze.

»Formować szereg! brzmi rozkaz podoficera prowadzącego kolumnę. Na komendę: »naprzód marsz!« wygnańcy i przestępcy robią spieszenie znak krzyża, i przy głuchym brzęku kajdan, partya powolnym krokiem rusza ku granicy sybirskiej.

Na słupie tym widocznie było wiele napisów, słów pożegnalnych, nazwisk i t. d. W czasie naszych nawiedzin powłoka cementowa prawie ze szczerem odpadła; bardzo więc mało pozostało napisów rozrzewniających lub obudzających zajęcie. W jednym miejscu przeczytałem napis: Bądź zdrowa, Maryo! Dla wygnańca piszącego te ostatnie słowa pożegnalne na słupie granicznym, owa Marya musiała być wszystkim na świecie; przestąpienie więc granicy, było pozbawieniem go ojczyzny, strzechy rodzinnej i miłości.

Zatknąwszy kilka kwiatów u podnóża słupa granicznego, siedliśmy do tarantasu i powiedziawszy Europie za przykładem setek tysięcy: »bądź zdrowa!«, podążyliśmy do Syberyi.



II.

Równiny i więzienia w zachodniej Syberyi.

Przekroczwszy granicę sybirską pomiędzy Permą i Tobolskiem, zapuściliśmy się w głąb owej carskiej prowincyi, która ze względu na obszar i produkcję przechodzi przypisywane jej dotąd znaczenie. Syberya rozciąga się od południa ku północy od Siemireczyńska i przylądku Czeluińskiego aż pod 30° szerokości geograficznej, i od Urala do zatoki Berynga; zaś od zachodu na wschód, do 130° długości geograficznej. Na tej więc ogromnej przestrzenin pomieściłby się mogły całe Stany zjednoczone północnej Ameryki, poczynając od Mainu do Kalifornii, i od górnych mórz europejskich do Gólfu i Meksyku razem z Alaską i ze wszystkimi państwami europejskimi z wyjątkiem Rosyi, a prócz tego pozostałoby jeszcze dość miejsca wolnego dla połowy cesarstwa niemieckiego.

Łatwo pojąć, że kraj obejmujący przestrzeń $5\frac{1}{2}$ milionów mil kwadrat., czyli 12 milionów km. kwadratowych, ze względów klimatycznych, etnograficznych i wegetacyjnych przedstawiać musi rażące różnice, i że nie może on być cały jałową, arktyczną pustynią. Rzucawszy okiem na kartę geograficzną widzimy, że najważniejsza część zachodniej Syberyi leży więcej ku południowi niż Nizza, Medyolan i Wenecya, a zaś granica południowa Siemireczyńskiej prowincyi, sięga bliżej równika niż Neapol. Średnia temperatura niektórych miej-

scowości prowincyi Iakuckiej dochodzi w Styczniu — 50° (Farenheita), podczas gdy w Siemipałatyńsku podnosi się ona do $+ 72^{\circ}$ (Farenheita); zdarza się zaś nieraz, że w cieniu średnia temperatura dochodzi do 95° a nawet 100° Farenheita. Na półwyspie Taimurze, ziemia wśród lata nawet nie taje głębiej jak na kilka cali, całą zaś tamęcną wegetacyę stanowią krzewy i mchy, podczas gdy południowe części zachodniej Syberyi obfitują mnóstwem dojrzałych kawonów, melonów i wieloma gatunkami tytoniu.

Zima w ogóle w całej Syberyi, jest bardzo surowa, zaś lato stosunkowo nader gorące. Na całym pasie żyźnej, uprawionej ziemi, 400—500 mil szerokim, przecinającym Azyę środkową, wzdłuż granicy mongolskiej, leży szereg miast, których średnia temperatura w czerwcu, lipcu i sierpniu przewyższa temperaturę Londynu. Średnia temperatura Irkucka przewyższa o 5° temperaturę Dublina; Tobolsk cieplejszym jest o 4° od Londynu; temperatura Siemipałatyńska wyrównywa w sam raz temperaturze Bostonu; zaś lato w mieście Wiernyj jest równie gorące jak w Chicago.

Ktokolwiek znalazł się w porze letniej po raz pierwszy za Uralem, tego wprowadzić musi w podziw ciepło słoneczne i bogactwo flory syberyjskiej. Aczkolwiek byliśmy przygotowani podróżą po Kamie na spotkanie się z czemś niezwykle, to mimo to krajobrazy, flora zachodnio-syberyjska i pogoda, przeszły nasze oczekiwania. Niebo było czyste, pogodne; drzewa oblicie przystrojone zielenią: na zasłanych kwiatami łąkach brzęczały pszczoły; z srebrno-białych brzoź odzianych bujnym liściem dochodził świergot ptactwa: powietrze przesycone było wonią kwiatów i ziół, a słońce czerwcowe tak szczerze darzyło swymi promieniami, że z pogodniejszym dniem trudno byłoby się spotkać w najłagodniejszej miejscowości sfery umiarkowanej. Pomiedzy stacyami Czeremińskaja i Sugatskaja, ziemia urodzajna i dobrze uprawiona. Bezleśne, lekko wzdęte płaszczyny gdzie niegdzie poprzerzynane borkami lub też brzozowo-osikowymi gajami. Pomiedzy długie niwy

obsiane żytem i pszenicą, wciskały się smugi świeżo zoranej nowiny albo też obszerne bujne łąki, zasłane kaczynćem, brodownikiem, pierwiosnkami, na których pały się krowy i owce. Różnobarwne ubiory pracujących w polu wieśniaków i wieśniaczek urozmaicały kraj-obraz. Gościńiec niekiedy wprowadzał nas w chłodne lasy, lub snuł się po bezmiernych łąkach, jakby umyślnie zasianych niezabudkami. Wszędzie kwiaty i kwiaty, a jakże rozmaite; jaka ich obfitość! Step zmienił się w morze kwiatów, — trawy nie widać było nawet, tak gęsto pokrywało ją kwiecie złoto-żółtego podróznika. Wielomilowa przestrzeń niebieska od mnóstwa niezapominajek, zdawała się wód oceanem, w którego zwierciadle przeglądały się niebiosy.

Gościńiec jekaterinbursko-tiumeński na całej swej długości, z wyjątkiem okolic leśnych, jest wysadzony po obu stronach przepysznymi, płaczącymi brzozy, które splatając się wzajemnie gałęziami, tworzą sklepienie, nieprzepuszczające promieni słonecznych. Milowe odległości przebywaliśmy często pod tym zielonym baldachimem, wspierającym się na srebrno-białych kolumnach. Zdawało mi się koniecznie, że nie jestem na sybirskim gościńcu, lecz w jakimś starannie utrzymanym parku i oczekiwałem wciąż spotkania się tutaj z angielskim zamkiem lub też przepyszną willą.

Podanie niesie, że brzozy te posadzono z rozkazu Katarzyny II, stąd też część ta gościńca sybirskiego nazywa się »aleją jekateryńską«. Nie wchodzę w to, czy caryca kierowała się tu myślą ułatwienia wygnańcom pochodu w czasie lata, lub też zwiększenia napływu ludności do kraju, jakbądź jednak, aleje te uwieczniły jej pamięć i tysiące strudzonych wędrowców, znajdujących schronienie przed żarem słonecznym pod konarami tych brzóz, nie przestają błogosławić jej imienia.

Każdego podróżującego po zachodniej Syberyi Amerykanina, uderzyć musi na wstępie zupełny brak w tym kraju domów wieśniaczych i ogrodzeń. Grunt orny rozdzielono tu wprawdzie na parcele, ale nigdzie

nie ma ogrodzenia, tak, że na wielomilowych przestrzeniach uprawnej ziemi, oko nie spotka się z jednym nawet kołkiem. Przyczyną zupełnego braku płotów w zachodniej Syberyi jest przyjęty tu powszechnie zwyczaj, wypuszczania bydła na wspólne pastwisko, położone w obrębie wsi. Brak zaś domów mieszkalnych tłumaczy się tem, że włościanin sybirski, będąc czasowym tylko posiadaczem gruntu, nie widzi potrzeby zabudowywania się na nim. W ogóle grunta tamtejsze są wyłączną własnością rządu, i aczkolwiek gmina upoważniona jest do darzenia każdego swojego członka kawałkiem ziemi, to wszelako przy każdym nowym podziale, dotychczasowy jej posiadacz może być wywłaszczonym, a w danym razie i wyrzuconym z własnej swej chałupy.

Drugą charakterystyczną cechą zachodniej Syberyi jest lichy stan budynków gospodarskich po wsiach, a nawet ich zupełny niedostatek, co w obec ogromu gminnych gruntów i dobrobytu krajowego rażąco przedstawia przeciwieństwo. Każdą wieś sybirską składają dwa rzędy wzdłuż gościńca wyciągniętych domów drewnianych, z ogrodzonymi podwórkami, mieszczącymi stajnie, szopę, stodołę i szpichlerz. Domy mieszkalne, mimo szczytowych sztukateryi, są przeważnie niezgrabne, często wpół zbutwiałe, drewniane chłopskie chałupy. Jedna i jedyna ulica wiejska, będąca zarazem głównym gościńcem, przekształca się w czasie deszczów w wielką kałużę. W całej wsi nie widać ani jednego drzewa, krzewu lub kawałka łąki. Włochate, obwalane świnie tarzają się w błocie, lub też uganiają po ulicy za żerem, co wszystko świadczy o ubóstwie i braku zamyłowania do porządku. Na szczęście jednak nie wszędzie tak jest, przeciwnie, większość mieszkańców lubi wygodę i cieszy się dobrobytem. Wieśniaka sybirskiego mało obchodzi powierzchowność jego siedziby; nie stara się ją upiększyć, ani też utrzymać w należytych porządku. Natura zda się odmówiła mu zmysłu towarzyskiego jako też ducha przedsiębiorczego. Do czasu gotów on patrzeć na wszystko z założonymi rękoma,

dopiero przyparty koniecznością bierze się do pracy. Pozorna ta obojętność, jest po części niewątpliwie wynikiem przeszkód, stawianych ze strony ojcowskich rządów. Niepodobna jest nawet wymagać od włościan dbałości o dobro gminne tam, gdzie każdy zamiar skierowany ku temu, w samym zarodku zostaje przez rząd ubezwładnionym, gdzie przeprowadzenie lada jakiej nawet melioracji zawisło od widzimisię pierwszego lepszego policyjnego urzędnika. W obec takich nieprzyjaznych okoliczności, włościaninowi sybirskiemu nie pozostaje nic więcej jak słuchać ślepo władzy urzędowej, oddać się na jej łaskę, i dziękować Bogu że tak jest jak jest, bo mogłoby być gorzej.

Zmysł estetyczny wieśniaków zachodnio-sybirskich znamionuje się wyłącznie w zamiłowaniu do kwiatów. W całej wsi nie widać ani jednego drzewa ani żdźbła trawy, ale za to w oknach pełno fuksyi, oleandrów, kaktusów, geranij, róż herbacianych i gwoździków. Zbiór kwiatów, znajdujących się u ubogiego nawet włościanina sybirskiego, przyniosłby zaszczyt cieplarni istotnego amatora. Szkło używane tu powszechnie do szyb, z przyczyny szczególnego swego składu chemicznego lub też innych, natury fizycznej, pod wpływem promieni słonecznych nabiera z czasem własności opalizujących, mieniając się tęczowymi barwy, co przy poczerńniętych futrynach okien taki sam wywołuje kontrast, jak owe pyszne kwiaty w obec błotnistej, ogołoconej z drzew ulicy.

Na dojeździe do Tiumenia, owe podziwiane przez nas obszerne, żyzne, uprawne równiny ustępują miejsca zimnym, bagnistym, nieprzepuszczalnym podlesiom. Gościniec dotychczas stosunkowo równy i suchy, zmienia się w jakieś czerniejące, błotniste stawisko, po którym ciężki nasz tarantas grzęźnie po same osie tak, że w ciągu czterech godzin przebyliśmy ledwie 18 mil ang. czyli 25 km. Próbowano w niektórych miejscach poprawić ów błotnisty gościniec nakładaniem kłoców, drzewo jednak nie przeciwstawiało należytego oporu gniotowi toczących się po nim tysięcy wyładowanych

wozów; zamiast tedy poprawy, potworzyły się na gościńcu tak wielkie wyboje, że przejazd stał się zupełnie utrudnionym. Tarantas nasz tak nieznośnie podrzucał, że woleliśmy wysiąść i iść piechotą; dręczeni jednak skwarem słonecznym i jadowitymi muszkami sybirskimi, zmuszeni byliśmy po upływie niespełna 20 minut wsiaść do tarantasu z pokąsanymi do krwi twarzami. Jedynym owocem tego spaceru była wiązanka zebranych przez nas kwiatów. Gdybyśmy z panem Frostem pierwsi byli odkryli ten kraj, to o nazwie jego rozstrzygałyby kwiaty lub też złośliwe muszki; nosiłby więc miano: Floryda albo Kuleksia.

Na dojeździe do ostatniej wsi przed Tiumentiem, powitał nas donośny głos dzwonka, żywo przypominający licytację. Zatrzymawszy się w samych wrotach, zoczyliśmy przed sobą człowieka w czarnej, długiej kápocie, z długimi spadającymi na ramiona płowymi włosami, ze skarbonką na szyi i dzwonkiem w ręku, ukazującego na jakiś ciemny obraz w złożonych ramach, przedstawiający zapewne jakiegoś świętego rosyjskiego. Nareszcie człowiek ów, usiłujący ciągłymi pokłonami i żegnaniem się, sprowadzić na nas boskie błogosławieństwo, poprosił o datek dla tuż obok wrót stojącej cerkwi. Ów dzwonek licytacyjny, obraz świętego, kopytkowe i żebrak kościelny, wszystko to razem tak się wydało pociesznem panu Frostowi, że spytał: czy gościńiec po którym jedziemy należy do świętego i czy on jest poborcą kopytkowym. Strażnik odpowiedział, że święty nic nie ma z gościńcem wspólnego, ale że cerkiew jego uboga a dobrzy panowie przejeżdżając tedy starają się ją wspierać i nie zapominają także o biednym stróżu. Rozumie się, że obaj szlachetni panowie z pokąsanymi twarzami, rozczochranymi włosy, siedzący w całej swej dostojności w zabłoconym tarantasie na kufrze, mieli nadto delikatnego uczucia, by podobnej prośbie odmówić. Rzuciliśmy tedy owemu stróżowi kilka miedziaków z tem zastrzeżeniem, aby połowę tego datku włożył do skarbonki świętego; po uiszczeniu zaś daniny dwom wielkim rosyjskim

instytucjom, cerkwi i szynkowi, ruszyliśmy w dalszą drogę.

We czwartek 18. czerwca, gdy opuszczając las wjechaliśmy na szerokie błotniste łąki, jakby umyślnie zasiane ostronieczem, woźnica nasz ukazując przed siebie biczem, zawołał: »tam leży Tiumeń!« Jakoż w dali zarysował się przed nami długi szereg dachów drewnianych, poprzegradzany gdzie niegdzie bielejącymi się murami cerkwi lub budynków rządowych. Na wjeździe do miasta zoczyliśmy czworokątną marmurową kolumnę, wystawioną przez mieszczan tiumeńskich w roku 1868 na pamiątkę bytności wielkiego księcia Włodzimierza; spotkaliśmy oddział żołnierzy idących na ćwiczenia strzelnicze, i minawszy długi szereg niskich drewnianych stodół, otoczonych mnóstwem, płótnem krytych kibitek używanych do przewozu wygnańców, wjechaliśmy w środek miasta.

W Tiumeniu są dwa czy też trzy hotele; idąc za radą naszego woźnicy zajechaliśmy do Kowalskiego, utrzymującego tam w wynajętym domu pokoje gościnne. Stanęliśmy przed tym domem o godzinie 6, ale tak znużeni tą ostatnią 40-godzinną podróżą, że z trudnością przyszło nam się wygramolić z tarantasu. Co do mnie, czułem się tak dalece wyczerpanym z sił, że nie byłbym w stanie nagiąć mego grzbietu nawet przed samym carem wszech-Rossyi: z trudem wywindowaliśmy się na pierwsze piętro i zaspokoiwszy dopominające się posiłku żołądki, legliśmy do snu.

Tiumeń, od którego rozpoczęliśmy właściwie nasze badania nad systemem deportacyjnym, leży na wschód Petersburga w odległości 1700 mil czyli 2740 km. nad rzeką Turą, powyżej złączenia się jej z Tobolem. Miało to, zarówno jak i jego okolice, pod względem handlowym ma doniosłe znaczenie. Zatrzymam się dłużej na tym przedmiocie, w celu przytoczenia dat statystycznych, mających uzasadnić wygłaszane już poprzednio moje uwagi nad tytoniem, roślinami storczykowymi w Syberyi i tamecznymi wielbłędami, które to uwagi zdawały się dla wielu przesadzonymi a nawet

śmiesznymi. Gubernia tobolska, z którą na wstępie spotkać się musi każdy podróżny zmierzający z Europy do Syberyi, rozciąga się od wybrzeży oceanu Łodowatego aż o żarem słonecznym wypalonych stepów akmolińskich i siemipałatyńskich; zaś od Uralu, — do granic gubernii Jenissejskiej i Tomskiej. Zajmuje ona przestrzeń 59.000 mil kwadratowych (152.743.979 ha), z której przypada 270.000.000 akrów (10.926.000 ha) na grunt orny; ma ośm miast, liczących z osobna od 3000 do 20.000 mieszkańców; ludność zaś całej gubernii wynosi 1.200.000 dusz. Podług wykazów statystycznych gubernia Tobolska produkuje rocznie 30.044.800 czetwereków (zwyż $10\frac{1}{2}$ milionów hektolitrów) zboża, 3.778.230 czetw. kartosli, i posiada 2.647.000 sztuk bydła rogatego. Przestrzenie te dostarczają Rossyi ogromną ilość płodów surowych jako to: skór, łoju, sierści, futer, pieprzu, lnu; corocznie wysyła się stąd do Konstantynopola 2.000.000 funtów masła, a na targach miejscowych wymieniają lub sprzedają masła tiumeńskiego za 35.000.000 rs. Przemysł handlowy będący tu jeszcze w kolebce, zatrudnia 6352 przedsiębiorców i dostarcza na jarmarki towarów w wartości 8.517.000 rs. Prócz robotników fabrycznych zamieszkuje w mieście 27.000 mechaników i rękodzielników. Domowy przemysł tej gubernii doszedł równie do weale znacznego stopnia rozwoju, — wyrabiają bowiem tu rocznie 50.000 dywaników i derek wełnianych; 1.500.000 motków (sześciostopowych) szpagatu na sieci rybackie, 50.000 beczek drewnianych, 70.000 kibitek, powózek i sań skóry wyprawiane w tutejszych garbarniach przedstawiają wartość 50.000.000 rs., a oprócz rzeczonych towarów wyrabiają tu jeszcze znaczną ilość kożuchów, rękawic, pończoch, pasów, koronek i kunsztownie wyszywanej bielizny. Rzeka Ob i wpadające do niej inne, dostarczają rocznie zwyż 8.000 beczek ryb, do zasolenia których zużywa się 3000 beczek soli. Tiumeń, najważniejsze z miast całej guberni Tobolskiej, złączony jest wodną komunikacją przez rzekę Turę z wszystkimi rzekami wpadającemi do Ob, a zatem —

z przeważną częścią zachodniej Syberyi, poczynając od Tomska i Siemipalatynska po same wybrzeża oceanu Lodowatego; z liczby 58 parostatków kursujących po rzece Ob i innych do niej wpadających, przeważna ich część krąży pomiędzy Tomskiem i Tiumeniem, towar zaś transportowany przez te dwa miasta, przedstawia wartość 30 do 40 milionów rs.

Syberya dowozi corocznie na jarmark w Niżnym-Nowgorodzie płodów na 16 milionów rubli, natomiast otrzymuje z Rosyi 300.000 tonn wyrobów rękodzielniczych. Te statystyczne daty wykazują, że Syberya niekoniecznie jest lodową pustynią, za jaką zwykła powszechnie uchodzić.

W Tiumeniu mieliśmy najlepszą sposobność przekonania się o zmienności klimatu sybirskiego; po pięknym łagodnym dniu, zerwał się nagle od oceanu Lodowatego zimny, przenikliwy wicher z gwałtownym deszczem, zmieniając niebrukowane ulice miejskie w błotniste jeziora; faktycznie, nie można było zrobić kroku za drzwi domu. Przywoławszy dorożkę, ledwie nam się udało dobrać do poczty i z powrotem do domu, gdzie już resztę dnia spędziliśmy na czytaniu otrzymanych z kraju 18 listów i pisanu odpowiedzi. — W sobotę, korzystając z chwilowej pogody, postanowiliśmy zwiedzić miasto, jednakowoż niepodobna było się wyruszyć, gdyż na niebrukowanych ulicach stały kałuże; tak, że miasto nie różniło się od zwykłych przydrożnych osad wiejskich, chyba tylko stosunkowo większymi domami mieszkalnymi i błotnistymi chodnikami. Zarówno tam jak tutaj nie widno było drzew ni krzewów, a jedyne urozmaicenie stanowiły zielone kopty cerkiewne.

Z licznych listów polecających, jakimi nas zaopatrzone w Petersburgu, pozostał tylko jeden do dyrektora szkoły realnej w Tiumeniu pana Słowcowa. W niedzielę po południu błysnęło słońce, z czego też korzystając udaliśmy się do mieszkania tego pana, gdzie doznaliśmy najserdeczniejszego przyjęcia. Szkoła, której był dyrektorem, zajmowała największy i najpię-

knieszy budynek подарowany miastu Tiumeniowi przez tamecznych kupców, a kosztujący ich 85.000 dolarów; mieściło się tu kilka oddziałów, mianowicie: mechaniczny z maszynami parowymi, tokarnią i różnymi warsztatami; nauk przyrodniczych zaopatrzone przeszlicznymi aparatami fizycznymi a nawet telefonami Bella, Edisona i Dobleara, fonografem, a prócz tego znajdowało się tu wzorowo urządzone laboratorium chemiczne; dalej, — oddział mechaniczno-artystycznorysunkowy, dobra biblioteka, wytworne muzeum i 900 okazów roślin dziko rosnących w okolicach Tiumenia. Jednem słowem szkoła ta przynieść by mogła zaszczyt każdemu równorzędnemu miastu świata cywilizowanego.

Pan Słowcow dał nam adres pewnego Szkota p. Jakóba R. Vardroppera, zamieszkałego od zwyż 20 lat w Syberyi, przemysłowca, do którego udaliśmy się wprost i przyjęci z całą serdecznością, zaraz na wstępie uczuliliśmy się jak we własnym domu.

Tiumień mieści w sobie jedno z największych więzień etapowych w całej Syberyi; zatrzymują się tu wszystkie transporta wygnańców i skazanych w ciężkie roboty. W biurze administracyjnem sporządzają się wszystkie protokoły i wykazy statystyczne, dotyczące systemu deportacyjnego. Okupiwszy w Permie samą tylko chęć przyjrzenia się więzieniu chwilowym, osobistym aresztem, nader małą tylko mogliśmy mieć nadzieję na pomyślny skutek naszej prośby względem zwiedzenia tutejszego więzienia. Pan Vardropper wszakże będący innego zdania, udał się nazajutrz z nami do naczelnika okręgu p. Krassina, który odczytawszy doręczony mu przezemnie list ministra rossyjskiego, przyjął nas z przechodzącą wszelkie oczekiwanie serdecznością. Poprosiwszy nas na śniadanie, oznajmił p. Krassin, że o przejeździe naszym przez Syberyę zdawna był uprzedzonym urzędownie jako też listami prywatnymi, i że jest do naszych usług. Wypowiedziawszy swe obawy ze względu na ciasnotę panującą w więzieniu, i złe warunki sanitarne, bez wszelkiego

wachania pozwolił nam obejrzeć więzienie, a w dodatku przyrzekł w tej wyprawie nazajutrz osobiście nam towarzyszyć.

Nagła słabosć p. Krassina stanęła na przeszkodzie w dotrzymaniu danego przyrzeczenia, o czym uprzedziwszy nas, nadesłał zarazem list polecający do rządcy więzienia.

W środę więc rano około godziny 10. skierowaliśmy się w towarzystwie pp. Vardoppera i Ignatowa b. członka komitetu nadzorczego, ku bramie więzienia etapowego. Jestto budynek murowany, otynkowany, około 75 stóp długi, a 50 stóp szeroki, pokryty blachą cynkową i obwiedziony murowanym parkanem, strzeżonym przez żołnierzy uzbrojonych karabinami systemu Berdana; po prawej stronie bramy stał mały budynek mieszczący kancelaryę więzienną i odwach. Przed więzieniem siedziało kilkanaście przekupek sprzedających więźniom chleb żytny, zimne mięso, jaja solone, mleko i pirogi nadziewane rybą. Węzienie tiumeńskie zbudowane pierwotnie na 500 tylko aresztantów, obecnie zwiększone dwoma przystawionymi drewnianymi barakami, miało mieścić ogółem 800, tymczasem zastaliśmy tam, jak to wykazywała wisząca nad bramą tabliczka, 1741 dusz. W bramie zatrzymał nas szyldwach; zawiadomiony on jednak o dozwołonym nam wstępie do więzienia, zawołał: „starszyj!"; bezzwłocznie pojawił się podoficer, z szablą przy boku i pistoletem u pasa, i odebrawszy z rąk moich list polecający, poniósł go do rządcy więzienia. Po chwili wpuszczono nas w podwórze, po którym włościło się kilkudziesięciu aresztantów w szarych, długich chałatach z żółtymi kwadratami na plecach; bielizna na nich była z grubego płótna, a głowy pokrywały szerokodenne, szare czapki. Prawie wszyscy byli okuci w kajdany brzęcząc nimi, jakby wielkimi pękami kluczy.

„Kamera“ czyli cela do której nas wprowadzono, mieściła się w jednopiętrowej, drewnianej przystawce.

Ściany tej celi, około 35 stóp długiej, 25 szerokiej, a 12 wysokiej, czernły się od brudu; podłoga pokryta była skorupą zaschniętego błota, światła zaś dziennego dostarczały skąpo trzy okratowane i na dziedziniec wychodzące okna. W samym środku stały naryczyli wielkie ławy drewniane 30 stóp długie a 12 szerokie, na których kładą się więźniowie w dwa ściśnione rzędy, zwróceniem do siebie głowami. Oprócz tego jedyne go sprzętu, znanego w więzieniach syberyjskich, mieścił się jeszcze wielki, drewniany kubek na odchody. Pościeli nie otrzymują więźniowie żadnej, śpiąc na gołych deskach, okryci aresztanckimi chałatami. Gdyśmy wchodzili do tej celi, więźniowie zerwawszy się z swych legowisk wśród brzęku łańcuchów i obnażywszy głowy, stanęli w milczeniu wyciągnięci w jeden szereg. — Jak się macie zuchy? — Spytał rzadca. — Życzymy zdrowia Waszej Mości — zawołało sto głosów chórem. Więzienie jest bardzo przepełnione, — mówił rzadca, ot n. p. ta cela mająca 25 stóp długości, mieścić powinna 35 a najwyżej 40 ludzi. — Wieleż was tu nocowało dzisiaj? — spytał zwracając się ku więźniom. — Stusześćdziesięciu — zaintonowało razem pół tuzina głosów. — W tej celi oznajmił on — mieści się cztery razy więcej ludzi, niż być powinno. Tak samo dzieje się w całym więzieniu. — Nie dostrzegłem nigdzie śladów wentylacji, a powietrze było tak zepsute, że prawdziwie tamowało oddech. W następnych sześciu celach tenże ścisk co tutaj, w każdej z nich mieściło się cztery razy więcej ludzi nad liczbę przepisaną. W wielu celach była taka ciasnota, że mimo możebnego kupienia się aresztantów, znaczna ich część nie znajdując pomieszczenia na narach, wałała się po podłodze. W jednej zaś, zoczyłem kilku ludzi tak dalece wycieńczonych, że nie mogli utrzymać się na nogach.

Po zwiedzeniu baraków, czyli przystawek drewnianych, weszliśmy do głównego budynku więziennego mieszczącego kuchnię, warsztaty, szpital i inne jeszcze cele, znajdujące się ze względów sanitarnych w gorszych nierównie warunkach, niżeli już przez nas

zwiedzone. P. Ignatów, któremu jako b. członkowi komitetu nadzorczego nadto dobrze znany był opłakany stan tiumeńskiego więzienia, powstrzymał się od towarzyszenia nam w dalszych oględzinach. Po obu stronach ciemnego, brudnego, wilgotnego korytarza ukazywały się szeregi ciężkich drzwi, prowadzących do cel o przestrzeni 80—150 stóp kwadratowych a mieszczących od 60 do 30 aresztantów. Nary tych cel zupełnie też same co w poprzednich, okienka gęsto okratowane, wentylacyi zupełnie żadnej; w niektórych celach zamieszkiwało po 8 do 10 osób, należących do inteligencyi, w obec których rządca więzienia zdejmował czapkę. Musieli być to więźniowie polityczni, bo ta część więzienia, jak mi mówiono, dla nich była przeznaczoną. Powietrze w korytarzach, jakoteż w celach, było istotnie zabójcze: zawierało ono w sobie jak najmniej atomów tlenu, będąc przesycone wyziewami febrycznymi, rozchodzącymi się po więzieniu z nigdy nie wentylowanych izb lazaretowych, gdzie prócz wszelkich innych nieczystości, można było widzieć przepełnione wydzielinami drewniane naczynia. Tamowałem oddech dopóki tego siły pozwalały, każdorazowe bowiem wciągnięcie w pierś owego zgnitego powietrza, oddziaływało na mnie trująco, tak że nogi zaczęły chwiać się podemną. Zauważywszy to rządca, rzekł do mnie: „nie jesteś pan przyzwyczajony do powietrza więziennego: zapal tymczasowo cygaro, a skoro zajdziemy do apteki poprosimy o wino, po którym uczujesz się pan lepiej“. Usłuchawszy jego rady towarzyszyłem mu dalej. Zaszliśmy teraz na drugie piętro. zwiedziwszy tam warsztaty ustawione w dwóch małych celkach, nie odpowiadających bynajmniej swemu przeznaczeniu; w jednej z tych celek kilku aresztantów szyło obuwie, w drugiej zaś odbywały się próby stolarskie bez pomocy odpowiednich jednak narzędzi i instruktora. Było istotnie śmiesznem, mianować te celki warsztatami. W suterenach więziennych mieściła się brudna kuchnia, gdzie kilku obnażonych po pas ludzi zagniatła żytnie ciasto, inni krzatali się

około zatłuszczonego drewnianego kotła, w którym gotowano zupę. Spróbowałszy owej zupy, przy pomocy podanej mi drewnianej łyżki, znalazłem ją dość pożywną. Chleb był czarny i kwaśny, ale nie gorszy od używanego powszechnie przez rosyjskich włościan. Porcja dzienna każdego aresztanta składa się z $2\frac{1}{2}$ funtów czarnego chleba, sześciu uncji gotowanego mięsa, trzech do dwóch uncji owsianej lub jęczmiennej kaszy, tudzież szklanki rosyjskiego kwasu.*)

Po zwiedzeniu warsztatów, kuchni, jakoteż cel pierwszo- i drugopiętrowych, rządca więzienia spytał czy nie życzymy sobie obejrzeć lazaretu. — Dobrze, odpowiedziałem — obejrzymy już wszystko, cokolwiek jest do widzenia. — Ciekawość ta moja zdawała się mu niezrozumiałą; powstrzymawszy się jednak od zrobienia mi jakiegokolwiek uwagi, wstrząsnął ramionami i powiodł nas na trzecie piętro, zajmowane wyłącznie przez chorych. Cele szpitalowe były nierównie większe od właściwych więziennych i przytem widniejsze, nie mogłem jednak zauważyć tu nigdzie nawet śladów wentylacji. Przesyczone chorobliwymi wyziewami powietrze świadczyło, że środki desinfekcyjne są tu wcale nieznane. Podług mego zdania, powietrze to w ciągu ośmiu dni mogłoby zabić zdrowego nawet człowieka; nie pojmowałem też, jakim sposobem chorzy mogą odzyskiwać tu zdrowie. W każdej z tych cel mieściło się 12 do 15 uszeregowanych w trzy rzędy żelaznych łóżek. Pościel składała się z cienkiego materacyka, częściej zaś z szarego siennika, jednej poduszki, grubej szarej kołdry, lub też płachty pozszywanej z łachmanów. Pan Frost utrzymuje że na niektórych łózkach widział szare. płócienne prześcieradła i także powłóczki na poduszkach, czego ja jednak przypomnieć sobie nie mogę. Nad głowami każdego chorego przybita była

*) Podług sprawozdania inspektora traktu za r. 1884. utrzymanie dzienne każdego zwykłego aresztanta w więzieniu kosztuje rząd 7 kop., zaś zaliczonego do klasy uprzywilejowanej 10 kop.

czarna tabliczka z napisem: nazwy choroby pacyenta, i daty wstąpienia jego do szpitala. Panującymi tu chorobami były: szkorbut, tyfus, gastryczna febra, bronchitis, reumatyzm i syfilis. Chorzy na tyfus mieścili się w osobnej izbie, tych jednak nie klasyfikowano podług stopnia i rodzaju choroby. Dano chorym miejsce do spoczynku i to stanowiło całą kurację. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć więcej wybladłych, wynędzniałych i przygnębionych moralnie twarzy jak w szpitalu tiumeńskim. Chorych nie tylko trawiło zwątpienie, ale nadto boleść zdawała się rozrywać ich serca. Czyż ludzie, w obec tak strasznej nędzy i wśród tak zabójczych warunków istnienia mogą wyglądać inaczej?! Nad drzwiami tego szpitala powinien tkwić napis: «Wy którzy tu wchodzicie, pozostawcie za sobą wasze nadzieje». *)

Po zwiedzeniu oddziału chorych dotkniętych tyfusem, dalszem oględzinom więzienia dałem za wygrane, trawiony jedynem życzeniem odetchnienia świeżem powietrzem. Rządca poprowadził nas do apteki więziennej, gdzie poczęstowano nas jakimś mocnym napitkiem, a następnie skropiono odzież naszą rozcieńczonym kwasem karbolowym, co też istotnie podziałało dobrze. Znalazszy się na dziedzińcu, odetchnąłem całą pierś z tem błogiem uczuciem, jakiego doświadcza człowiek wyciągnięty z pod wody.

— Jak wiele więźniów umiera rocznie w szpitalu — spytałem rządce.

— Około 300 — odpowiedział on. — Każdej prawie jesieni panuje tu tyfus, i czyż może być inaczej, jeżeli w budynku, przeznaczonym na 800 osób, mieści się ich aż 1800? Tak przepełnione więzienie nie może być nigdy utrzymanem w czystości: przekonałeś się pan naocznie, jakim powietrzem oddychają więźniowie.

*) Koszta utrzymania i leczenia wynosiły w r. 1884 od każdego chorego 27 cent. dziennie; zaś pogrzebanie zmarłego 1 dolar 57 cent. (sprawozdanie inspektora traktu za r. 1884).

W jesieni bywa jeszcze gorzej; wśród lata można przynajmniej odświeżać powietrze otwieraniem okien, podczas burzy jednak i zimna muszą być one zamknięte. Pod tym względem my wszyscy cierpiemy na równi z więźniami. Mój asystent, zaraziwszy się na służbie tyfusem, przez całe sześć tygodni nie wstawał z łóżka. Władze tutejsze już niejednokrotnie zwracały się z prośbą do rządu, by przez wprowadzenie odpowiednich zmian w kursie parostatków przewożących aresztantów, uwolnił tutejsze więzienie od praktykowanego dotychczas natłoku; jednakowoż dotychczas nic więcej nie uczyniono, prócz przystawienia dwóch drewnianych baraków.*)

Rządca opowiadał z całą otwartością fakta wiadome każdemu mieszkańcowi tiumeńskiemu, nie widząc potrzeby ukrywania się z nimi przed cudzoziemcem zwiedzającym więzienia.

Opuściwszy dziedziniec, udaliśmy się do więzienia kobiecego, położonego na drugiej stronie ulicy i obwiedzonego sztachetami. Mało się ono różniło powierzchnością od zwiedzonych już przez nas baraków. W celach zajmujących przestrzeń 125—130 stóp kwadrat., mieściło się po 30 do 40 chorych. Cele te były widne i czysto utrzymane, podłogi i tapczany wymyte, tu i owdzie widać było rozesłane na łóżach dywaniki, a nawet kwiatki w doniczkach. Tutaj jednak, zarówno jak w innych celach, kobiety leżały na gołych deskach bez kołder i poduszek, powietrze wszakże zdawało się czystsze. Przeważna część aresztantek, o ile wnioskować mogłem z rysów twarzy, były to wieśniaczki a niektóre z nich razem z dziećmi. W końcu zaszliśmy do drewnianego baraku, około 30 stóp długiego, ogrodzonego sztachetami, w którym mieszcili się wygnańcy razem ze swymi rodzinami. Liczba mieszkań-

*) W r. 1884 w ciągu pory przewozowej, trwającej 151 dni, więzienie tiumeńskie przepełnione było aresztantami przez dni 133. (Raport inspektora traku za r. 1884).

ców dochodziła 300 dusz. Powietrze tu było bardzo zepsute a przytem wielka ciżba; dzieci trawione głodem wrzeszczały o pokarm, na twarzach kobiet i mężczyzn malowała się nędza, największe udręczenie i bezsenność. Kobiety tu więzione nie należały do kategorii przestępców, lecz tylko dobrowolnie dzieliły dolę swych mężów.

Oględziny te nasze trwały aż do godziny 1-szej, poczem udałem się z p. p. Frostem, Vardropperem i Ignatowem na śniadanie. Wiedząc że nasz gospodarz jest przedsiębiorcą barek transportowych i zarazem członkiem komitetu nadzorczego więzienia etapowego, spytałem go, czy zarząd centralny w Petersburgu uwiadomiony jest o opłakanym stanie więzienia tiumeńskiego. Dowiedziałem się od niego, że władze miejscowe, komitet nadzorczy i inspektor traktu zachodniej Syberyi składają władzom wyższym bezwarunkowo corocznie raporta o stanie więzienia. Rząd sam uznaje potrzebę wystawienia nowych więzień w Rosyi i Syberyi, ale że podobnego rodzaju reorganizacya wymaga sumy 10 milionów, przeto odłożono ją dla braku funduszów, do lat przyszłych.

Pan Ignatów przedstawił w całej rzeczywistości okrutny stan tiumeńskiego więzienia, nalegając na urządzenie nowego szpitala, a gdy odmówiono jego słusznym żądaniom, wtedy wystąpił z komitetu.

Wszystko to co nam opowiadali pan Ignatów i rządcą o podjętych przez nich staraniach względem ulepszenia więzienia, było rzetelną prawdą, stwierdzoną słowami innych urzędników i mieszkańców miasta Tiumenia. Z raportów składanych corocznie przez oddział lekarski ministerstwu spraw wewnętrznych okazuje się, że w ciągu roku 1884 z ogólnej liczby przetrzymywanych w więzieniu tiumeńskim aresztantów odchorowało ich tam aż 28%; a więc trzecia część ogółu powinna była znaleźć pomieszczenie w szpitalu. Zważywszy teraz, że w więzieniu tiumeńskim zatrzymuje się corocznie 17 do 19.000 aresztantów, z których większa część, ciężko chorych, nie oglądając ni-

gdy szpitalu, przebywa swą słabość w celach więziennych. to nie trudno będzie sobie wyrobić choć ogólne pojęcie o okrutnej nędzy ludzkiej, której widownią jest to więzienie. Dla dokładnego zrozumienia celu systemu deportacyjnego i doniosłej zarazem roli jaką tu odgrywa więzienie tiumeńskie, należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że w całym carstwie rossyjskiem nie ma nigdzie domów poprawczych. Przestępca więc, zasądzony na karę poniżej lat czterech, odsiaduje ją w więzieniach wewnątrz carstwa położonych, gdyż wygnanie na tak krótki czas na Syberyę nie opłaca się skarbowi. W latach 1823—1887 wytransportowano na Syberyę 772.979 osób.

Od	1823 - 1832	=	98.725
"	1833 - 1842	=	86.550
"	1843 - 1852	=	69.764
"	1853 - 1862	=	101.238
"	1863 - 1872	=	146.380
"	1873 - 1877	=	91.257
W roku	1878	=	17.790
"	"	1879	= 18.255
"	"	1880	= 17.660
"	"	1881	= 17.183
"	"	1882	= 16.945
"	"	1883	= 19.314
"	"	1884	= 17.824
"	"	1885	= 18.843
"	"	1886	= 17.477
"	"	1887	= 17.774
<hr/>			
Razem *) 772.979			

Deportowani na Sybir, stosownie do zapadłych nań sądowych wyroków, dzielą się na 4 klasy. 1. Katorżników skazanych na roboty przymusowe w kopal-

*) Daty statystyczne jako też fakty tu przytoczone czerpałem ze źródeł oficjalnych.

niach. 2. Osiedleńców zawyrokowanych. 3. Zwykłych wygnańców. Pod czwartą klasę możnaby podciągnąć kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie swym ojcom lub mężom. Wszyscy przestępcy zaliczeni do 1. i 2. klasy pozbawieni są praw stanu i skazani na dożywotne osiedlenie w Syberyi. Wygnańcy należący do klasy 3. pozbawieni są tylko niektórych praw stanu, nadto, po przebyciu w Syberyi naznaczonego wyrokiem terminu, dozwolony im jest powrót do kraju. Przestępcy pozbawieni praw stanu, zmuszeni są w ciągu lat 5. nosić kajdany i golić jedną połowę głowy. Do wygnańców 3. klasy należą:

- a) Włóczęgi czyli brodiagi (ludzie nie mający paszportów) wachający się udowodnić tożsamości swych osób.
- b) Osoby, wydalone wyrokiem sądów.
- c) Osoby, wydalone przez gminy wiejskie.
- d) Osoby, wydalone z rozkazu ministra spraw wewnętrznych.

Niżej zamieszczona tablica wykazuje wzajemny stosunek tych klas za r. 1885.

K L A S A	Męż- czyzn	Kobiet	Ogółem
1. Katorżniki, skazani wyrokiem sądu do ciężkich robót, zbrodniarze	1440	111	1551
2. Osiedleńcy, osadzeni za wyrokiem	2526	133	2659
3. Wygnańcy:			
a) włóczęgi (brodiagi)	1646	73	1719
b) wydalen z umowy sądowej	172	10	182
c) wydalen na żądanie gmin	3535	216	3751
d) wydalen drogą administracyjną	300	68	368
4. Dobrowolni (towarzyszący krewnym	2068	3468	5536
Razem	11687	4079	15766

Cyfry te wykazują, że najliczniejszą klasę stanowią kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie na Sybir ojcom rodziny. Według sprawozdania zarządu transportowego stosunek kobiet i dzieci idących dobrowolnie na Syberję jest następujący:

Rok	Deportowani	Kobiety i dzieci	Odsetki
1882	16.945	5.276	31
1883	19.314	6.311	33
1884	17.824	6.067	34
1885	18.885	5.536	28
	72.926	23.190	31

Okazuje się dalej, że z 1023 osób wygnanych do Syberyi w charakterze przestępców, tylko 4392, a zatem mniejszą część stanowią wydaleny z wyroków sądowych, pozostałych zaś 3858 idą na wygnanie drogą administracyjną t. j. z rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Od r. 1867—1876 wysłano na Sybir 151.585 wygnańców, z których 48.80% zawyrokowanych, zaś 51.20% drogą administracyjną. Od roku 1880 do 1886 włącznie w więzieniu etapowem tiumeńskim przebywało czasowo 120.065 wygnańców, z których 64.513 a zatem 53.7% zawyrokowanych przez sądy, zaś 55.552 czyli 46.3% wydanych z rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Według sprawozdania komisji reformującej więzienia, ustanowionej przez Aleksandra II w drugiej połowie ostatniego dziesiątka lat, wypada na każdych 100 wygnańców 45.6% zawyrokowanych a 54.4% wydanych drogą administracyjną. Z tych zaś ostatnich zwyż $\frac{1}{3}$ część wysyła się na Sybir na żądanie gmin, a nie z rozporządzenia rządu.

Każdy »mir« czyli gmina w Rossyi jest w prawie wykluczania i wydawania tych wszystkich swoich członków, którzy są jej ciężarem, lub też złem swem zachowaniem, przynoszą szkodę innym; podobnież gmina odmówić może przyjęcia osobom powracającym z wygnania, które należąc już do niej, wydalone zostały bądź za wyrokiem sądu, bądź też drogą administracyjną.

Polityczni wygnańcy nie tworzą żadnej oddzielnej klasy, lecz podciągają się pod wszystkie wyż wymienione. Liczba ich nie jest tak znaczna, jak to powszechnie utrzymują, nie przewyższa ona rocznie 150 ludzi. W r. 1884 przebywało w więzieniu tiumeńskim 140 transportowanych politycznych wygnańców, a w czasie mojej tam bytności w r. 1885 przechodziło wszystkiego 60 osób.

Ponieważ dopiero od niedawna wprowadzono w rejestrach więziennych oddzielną rubrykę dla politycznych, trudno jest przeto ściśle oznaczyć stosunek ich liczby do ogółu wygnańców. Zdaje mi się, że nie powinien przechodzić 1%.

W czasie naszych pierwszych oględzin więzienia tiumeńskiego miałem sposobność obserwowania całego oddziału wygnańców, transportowanych do Jałutorowska. Zabierając się do odszkicowania i fotografowania budynków więziennych, zoczyliśmy na dziedzińcu mnóstwo skupionych w jedną gromadę ludzi; składała się ona z około 100 kobiet i dzieci w płóciennych różnobarwnych sukniach, tudzież z 250 mężczyzn w szarych areztanckich ubiorach. Całą tę gromadę otaczali uzbrojeni żołnierze, a nieopodal stało 15 do 20 jednokonnych kibitek, z których kilka było wyładowanych workami płóciennymi, zawierającymi różne drobiazgi, będące własnością osobistą wygnańców; na pozostałych zaś kibitkach, mieścili się chorzy, tudzież kobiety, mężczyźni i dzieci, uznani przez lekarza ze względu na wiek lub zbyt słabe osłabienie za niezdolnych do odbywania podróży piechotą. Nie mogłem prawdziwie pojąć, ażeby ci ludzie po kilkotygodniowym pobyciu w więzieniu, mogli się jeszcze poruszać. Wśród przerywanego szmeru i gwaru tłuszczy, dochodził uszu naszych od kibitek płacz chorego dziecięcia, głuszony brzękiem kajdan arezstantów, którzy umęczeni długotrwałem stanem, szukali sobie wypoczynku na ziemi. Oficer komenderujący etapem, barczysty mężczyzna z rudawym zarostem, niebieskimi oczyma, nieznacznych rysów twarzy, zajął miejsce



przy kibitkach. obojętnie przyjmując prośby otaczających go kobiet i dzieci.

— Bądź pan łaskaw, pozwól mojemu dziewczęciu przysiąść na kibitce, nie skończyła ona jeszcze lat dziecięciu a przytem nie może władać nogą — prosiła błagalnie jakaś wynędzniała kobieta. — Cóż jej jest w nogę? — spytał oficer, wpatrując się w obnażoną schudzoną nóżkę dziecięcia. — Nie wiem; ale ją bardzo dolega, zlituj się pan, na miłość Boga — odpowiedziała matka. — Nie można, nie ma miejsca — odrzekł oficer z coraz większą niecierpliwością; — nie jest z nią tak źle, a przytem wydaje mi się starszą. Idź piechotą — odezwał się ponuro do dziecięcia — lepiej ci będzie zrywać kwiaty.

Matki z dziećmi odeszły nie pisnawszy ni słowa, oficer zaś widocznie unikając dalszych prośb zakomenderował: — formować szereg! Nastąpiła głucha cisza, przerywana tylko dzwonieniem łańcuchów: żołnierze wzięli broń na ramiona, wygnańcy zaś zwróceni twarzami ku kaplicy więziennej, pokłonili się, przeżegnali i na komendę: — Naprzód marsz! — cała kolumna ruszyła z miejsca. Na samym przodzie widziałem trzech kozaków w ciemnozielonych mundurach, tuż za nimi postępowali w nieporządku ściśnieni w jedną kupę mężczyźni, niewiasty i dzieci pod strażą po obu stronach idących żołnierzy; za kolumną wlokły się eskortowane przez kozaków, nabite chorymi i dziećmi jednokonne kibitki, koniec zaś kolumny stanowiło kilka kibitek wyładowanych bagażem. Za chwil kilka cały ten orszak zginął nam z widnokregu. o uszy tylko nasze odbijał się dźwięk kajdan, lub też głos kozaków, napominających dzieci, by nie wysuwały się po za łańcuch straży. Wygnańcy ci, byli to prawie wyłącznie zawyrokowani osiedleńcy, lub też osoby wydalone z gmin wiejskich: obecnem miejscem ich zamieszkania były wsie i miasteczka, położone w południowych częściach tobołskiej guberni.

Po wyruszeniu owego transportu, skierowaliśmy się w niedzielę po południu ku przystani, by przyjrzyć

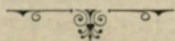
się partyi 700 wygnańców ekspedowanych na barce do Tomsku. Barka ta przypominająca zwykły parostatek, zdawała mi się nieco płytszą i pozbawioną przyrządu ruchu. Żelazny, czarno malowany korpus tej barki, mający około 220 stóp długości a 30 szerokości, opatrzony był po ohydwoch stronach prostokątnymi otworami, stanowiącymi okna kajut sypialnych. Na pokładzie wznosiły się w odstępach 75 stóp, dwa kryte, żółto malowane domki, z których jeden mieścił kilka oddziałów dla chorych i aptekę, drugi zaś — kajutę oficarską i kilka innych schowków dla wygnańców należących do klas uprzywilejowanych. Pozostała część środkowa po kładu, pokryta dachem i po bokach okratowana mocnym, żelaznym drutem, tworzyła 75 stóp długą i 30 stóp szeroką klatkę, do której w oznaczonych godzinach wpuszczano aresztantów dla odetchnięcia świeżym powietrzem. Klatka ta, zwana przez nich „kojcem“, przedzieloną była kratami żelaznymi na dwie nierówne części, z których mniejsza przeznaczona dla kobiet i dzieci, większa zaś dla mężczyzn. Statek ów mieścił w sobie trzy do czterech kajut sypialnych, mających 30 stóp szerokości 7 stóp wysokości i 30 do 60 długości. Jedną z tych kajut zajmowały kobiety, zaś pozostałe — mężczyźni. Wzdłuż kajut, jako też całej barki, stały mocne, podwójne nary drewniane, na których kupili się wygnańcy istotnie jak śledzie w beczce. Powietrze zdawało się dość świeże, bowiem gotującą się do podróży barcę dobrze wymyło i dezynfekcyonowano. Aresztanci, schodząc z stromego, piaszczystego brzegu po balach, ułożonych w zygzak, dostawali się na pomost, a stamtąd na barcę. Żołnierze pilnujący więźniów, rozstawili się w różnych punktach brzegu rzeki, podoficerowie zaś strzegli pomostu. Obecny tej wyprawie inspektor traktu zachodniej Syberyi p. Winokurów, udzieliwszy nam pozwolenia odfotografowania barki i wygnańców, dał rozkaz wpuszczenia partyi na statek. Wtedy aresztanci zarzuciwszy na ramiona swe szare worki, zstępowali gęsiego po dylach, a następnie po moście wchodzili na barcę. Przynajmniej czwarta część więźniów była okutą

na nogi tak, że brzek łańcuchów w ciągu jakiej godziny odbijał się wciąż o moje uszy. Ponieważ w zbiorowisku tem znajdowali się ludzie z różnych okolic carstwa, przeto mimo wspólnej wszystkim szarej odzieży, uwydatniało się tu wiele typów odrębnych. Obok zdziczałych górali dagestańskich, których zaprowadziła w katorgę żądza krwawej zemsty, widzieć można było ogorzałych nadwołżańskich Tatarów, Turków z półwyspu krymskiego, w żywo odbijających od szarych chałatów, czerwonych fezach; -- przebiegłych żydków podolskich skazanych na wygnanie za szwarcowanie towarów, wreszcie włóścian rossyjskich z różnych stron carstwa. Na twarzach skazańców przebiegała się dobroduszość; najgorsi z nich nawet nie wydawali mi się zapamiętałymi zbrodniarzami, lecz raczej bezmyślnymi głupcami. Nakoniec wszyscy znaleźli się na pokładzie statku; zamknięto drzwi wchodowe, okratowanego kojca i zaryglowano je. Teraz rozpoczął się formalny jarmark. Tu niedorośle dziewczę wtyka przez drucianne kratki twardo gotowane jaja, tam znów jakaś staruszka wlewa przez rurkę mleko do podanego jej czajnika; wszyscy zajęci skwapliwie kupnem chleba, solonych ogórków i ryby. Przekupki, widocznie ślepe pokładając zaufanie w rzetelność wygnańców, pozwalają im zabierać towar bez uiszczenia z góry należności. Żołnierze utrzymujący straż, dorodni parobczacy, pośredniczą niezmordowanie w zakupnie wiktuałów, podając je aresztantom, to znów odliczając przekupniom wypłaconą na ich ręce przez kupujących należność, lub wreszcie od czasu do czasu odsuwają drzwi kojca, by ułatwić dostawę większych przedmiotów n. p. bochenków chleba, nie dających się precyzyjnie przez otwory kratowe

W czasie tej ożywionej akcyi, zoczyliśmy zmierzającego ku barce popa w długiej czarnej sutannie, i czarnym filcowym kapeluszu. Towarzyszący mu djak niósł w jednym ręku brewiarz w drugim szaty kościelne. Po kilku minutach pop ów przebrany w ornat, z dygniącą kadzielnicą i otwartym brewiarzem zaszedł do

kajuty zamieszkałej przez kobiety. Przejęte skrucą padały one na kolana i żegnając się biły pokłony. Po tej dla oka odbytej ceremonii, pop poruszył parę razy kadzielnicą i wyniósł się do kajuty męskiej. Tutaj jednak sługę bożego przyjęto dość obojętnie, wygnańcy i żołnierze pozdejmowali wprawdzie czapki, jednakże w modłach bardzo słaby przyjmowali udział, a po chwili przerwany na statku targ, wystąpił znowu na widownię w całej pełni. Donośny śpiew popa, brzęk kajdan, gwar targowy, rozkazy nawoływujących się żołnierzy, wszystko to wydawało mi się jakimś osobiwem zjawiskiem. Po odśpiewaniu modłów, pop przywdziałwszy sutannę, złożył komendantowi życzenia szczęśliwej podróży i poszedł do miasta, ja zaś z p. Frostem przechadzając się po przystani, przyglądaliśmy się z zajęciem twarzom wygnańców. Z małymi wyjątkami, zdawali się oni wszyscy weseli i zadowoleni; z różnych stron klatki dochodziły nas śmiechy, żarciki i żywe rozmowy. Pan Frost wydobywszy notatkę począł szkicować ołówkiem wybitniejsze typy, co zauważywszy skazańcy, uśmiechając się i dowcipkując, wysunęli z pomiędzy siebie na czoło tych, których uznawali godnymi ołówka artysty. Ci zaś wybrańcy, przystroiwszy fantastycznie głowy czerwonymi fezami, i przyjmując malownicze pozy, udzielali artyście, doniosłym głosem, odpowiednich objaśnień. Słyszac śmiechy tych ludzi i ich dowcipy, zdawało mi się koniecznie, że patrzę nie na przestępców, lecz na młodzież szkolną jadącą na wakacje.

Przed samym zachodem słońca podpłynął parostatek pod barękę; na dany rozkaz odwiązano liny, wygnańcy skupili się wszyscy przy kracie, by po raz ostatni pożegnać Tiumeń, i wielkie czarno-żółte pływające więzienie, wprowadzone na otwartą wodę, rozpoczęło swą długotrwałą podróż do Tomsku.



III.

Stepy Irtyszskie.

Po głębszym namyśle postanowiłem jechać do Tomska przez stepy irtyszskie, Omsk, Pawłodar, Siemipałatyńsk, Uść-kamienogórsk i Barnauł. Droga ta przerynająca najurodzajniejsze okolice gubernii Tobolskiej i Tomskiej i prowadząca wprost do okolic najczęściej zamieszkałych przez wygnańców politycznych, nastęczała nam nietylko sposobność poznania koczującego plemienia kirgizkiego, ale nadto zwiedzenia części Altaju, owej malowniczej górskiej krainy, którą nam pewien rosyjski oficer, w uniesieniu opisał jako sybirską Szwajcaryę.

Był jeszcze inny ważny powód skłaniający nas do zboczenia z głównego gościńca pocztowego. Otóż. na wyjeździe z Petersburga mniemałem, że podróż naszą z Tiumenta do Tomska odbędziemy parostatkiem lub końmi po gościńcu głównym. Utwierdzony w tej wierze minister spraw wewnętrznych, zawiadomił o naszym przejeździe wszystkie władze urzędowe na całej tej linii, dołączając pewne, dotyczące przyjazdu tego instrukcyje. Jakie były te instrukcyje, tego właściwie wiedzieć nie mogę, jednakże doświadczyliśmy ich skutków na wszystkich punktach głównego gościńca sybirskiego, poczynając od Tiumenta aż do stolicy ziemi zabajkałskiej. Przejazd nasz przez zachodnią Syberyę od wielu miesięcy wszystkim tamiecznym władzom był wiadomy: w Tiumentu wizycie naszej nadano charakter urzęd-

dowy; a że właśnie to przychylnie usposobienie dla nas rządu przyczynić się mogło do zwicnięcia moich zamiarów względem politycznych wygnańców, wypuszczając tedy umyślnie gościniec główny, skierowałem się w te strony, gdzie władze o przejeździe naszym wiedzieć nie nie mogły. Okazało się później, że ta zmiana projektu wypadła na naszą korzyść. Po złożeniu naszych wizyt pożegnalnych, kupiliśmy tarantas i zaopatrzeni «podorożną» skierowaliśmy się pocztą rządową z Tiumentia do Siemipałatyńska. Z wszystkich poczty całego świata, rossyjska extra-pocztą osobowa jest najlepiej zorganizowaną i sięga aż do największych odległości państwa. Poczynając od krańców południowej Kamczatki do najdalej wysuniętej wsi findlandzkiej, — od burzliwych wybrzeży Lodowatego oceanu do gorących, piaszczystych pustyń środkowo-azyatyckich, całe państwo rossyjskie pokryte jest siecią dróg pocztowych. Podróżny spakowawszy swój tłumoczek w Niżnym-Nowgorodzie, udaje się z «podorożną» do urzędu pocztowego, i puszcza się stamtąd choćby nawet do przystani Pietropawłowskiej w Kamczatce (w odległości 10000 km.) z tą pewnością, że na całej tej ogromnej linii, na każdej stacyi pocztowej zastanie już konie, psy, jelenie, i bez straty chwili czasu, nocą i dniem spieszyc będzie do oznaczonego miejsca. Powozów pocztowych w Rosyi nie ma, każdy z podróżnych zwykł jechać swym własnym, zmieniając na stacyach konie. Podróżny, podług swego życzenia może w ciągu 38 godzin przebyć 280 km., lub też w 280 godzinach 38 km.; może on zatrzymać się na każdej stacyi tak długo, jak mu się tylko podoba, lub jechać dalej, a każdej chwili znajdzie konie gotowe na swoje usługi. Każdy więc wybierający się w podróż po Rosyi, bez względu na miejscowość, wyśła swą «podorożną» do najbliższego urzędu pocztowego, zjawia się tam w ciągu 20 minut sam lub też z swoim towarzyszem i ruszywszy ze stacyi, znajduje na wszystkich następnych, konie zawsze gotowe. Cena jazdy w zachodniej Syberyi jest nadzwyczaj niską: za każdego konia poczto-

wego płaci się $1\frac{1}{2}$ kopijek na 1 km. włączając w to napiwek woźnicy: czyli za trójkę pocztową $3\frac{3}{8}$ centów $41\frac{1}{2}$ kopijek. — Dwie więc lub trzy osoby, w swym własnym powozie, przebywają trójką pocztową odległość 10 milową (32 km.) za opłatą 68 centów (1 rs. 44 kop.; 1 złr. 98 ct.).

Wstyd mi niejednokrotnie było płacić woźnicy za jazdę 32 km. trójką koni wśród ciemnej, dżdżystej nocy po błotnistym gościńcu, nędzną kwotę 68 centów (niespełna 2 złr. w. a.); jednakże i to maluczkie wynadgrócenie dla chłopów tamtejszych wydaje się dość znacznem, bowiem wypowiadają konkurencyę rządowi, i każdy podróżny ma na zawołanie całe setki tak zwanych „wolnych” furmanek. Ponieważ zaś konie „wolne” są zwykle więcej wypoczęte i lepiej utrzymane niż pocztowe, przeto w wielu razach korzystnie jest nimi się posługiwać. Podług zwyczaju, woźnica na dojeździe do wsi, zapytuje podróżnego czy ma zajechać na pocztę, czy też do którego z swych przyjaciół. Zgadza się podróżny na tę ostatnią propozycyę, to osiąga tę korzyść, że stanawszy u włościanina, łatwiej przychodzi mu się zapoznać ze sybirskimi zwyczajami i sposobem życia wiejskiego, niżli w urzędzie pocztowym.

Początkowa podróż nasza z Tiumenia do Omska nie wzbudzała wiele zajęcia; gościniec pocztowy snuł się wciąż po błotnistej, obfitej w jeziora równinie, porośłej gdzie niegdzie wierzbina, olchą, zgurbią sosną, świerkiem lub brzezina, co wszystko zasłaniając widnokrąg nie dawało oku swobodnego pola widzenia. Zdaje się, że część ta gubernii Tomskiej była w odległych czasach dnem śródmorza, łączącego morze Kaspijskie i Aralskie z oceanem Lodowatym, skierowaniem przez dolinę przerziętą obecnie rzekami Obem i Irtyszem. Piaszczyste ławy, solanki, pokłady gliny i bagniste jeziora tak licznie tu spotykane. świadczą wymownie, iż okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, stanowiła ongi dno morza.

W odległości niespełna 100 wiorst za Tiumeniem, nie dojeżdżając do wsi Zawadowo-Ukowskaja, zajecha-

liśmy na kilkogodzinny wypoczynek do pewnego zamownego fabrykanta sybirskiego, pana Kołmakowa, do którego mieliśmy list polecający. Na samym wstępie wprowadził nas w zdumienie przepych i wygody, z jakimi tu spotkaliśmy się. Drewniany, jednopiętrowy gustownie zbudowany dom, pod względem wewnętrznego rozkładu i wygod nie pozostawiał nic do życzenia. Widok z okien rozciągał się na ogród, upiększony sadzawką, cienistymi altanami, krzewami i kwiatowymi kłębami. W głębi ogrodu stała oranżerya pełna gieranji, werbeny hortensyi, kaktusów, drzew pomarańczowych i cytrynowych, tudzież przeróżnych krzewów podzwrotnikowych; a tuż obok oranżeryi obszerne inspekta z ogórkami, kawonami i melonami. Szczególną uwagę zwracał, stojący w samym środku ogrodu, szklany domeczek. Był to istny kryształowy pałacyk zagajony wewnątrz palmami, bananami, obok których prowadziły ścieżyny, brzeżone różnobarwnem kwieciem; wśród przepysznego tego gaju rozstawione były wygodne ławeczki i fotele: krzewy zaś i drzewka nie wyrastały z doniczek lecz wprost ze ziemi. Znalazłszy się w owym gaju, zdawało się koniecznie, że jakaś niewidzialna siła przeniosła nas nagle w okolice podzwrotnikowe. — Ktoż mógł się spodziewać — odezwał się p. Frost, siadając na krześle tuż przy kłębie lśniącem werbenami, — że w Syberyi odpoczywać będziemy w cieniu palm i bananów. — Zwiedziwszy jeszcze park, stykający się z ogrodem, wróciliśmy do domu, gdzie oczekiwała nas zastawiona już wieczerza, składająca się z kawioru, przyprawionych grzybów, płastwa, salami, bułek, ciast, jagód, wódki, trzech gatunków win i herbaty.

Około godziny 11 w nocy, nadeszły zamówione dla nas z sąsiedniej wsi konie: pożegnawszy tedy gościnnych naszych gospodarzy, ruszyliśmy w drogę. Nieszutrowany gościniec pocztowy, po długotrwałych deszczach zmienił się w błotnistą kałużę. Woznica nasz, nie zwracający na to żadnej uwagi, pędził jak szalony; podskakując wciąż po wybojach tarantas darzył nas

takimi szturkańcami, że zamiast myśleć o drzemce, trzeba się było mieć na baczności by karków nie połamać. Zmęczeni bezsennością, zbici i wycieńczeni na siłach, rankiem dopiero zatrzymaliśmy się we wsi Nowo-Zainskaja, w domu jednego z przyjaciół naszego woźnicy, gdzie położywszy się na podłodze, w połowie już zaległej przez jakie pół tuzina śpiących członków rodziny, po kilku bezsennych godzinach zapomnieliśmy o wycieńczeniu fizycznym i nieprzyjemnościach podróży.

Całą następną dobę jechaliśmy bez odpoczynku i to po jak najgorszym gościńcu, dotarłszy dopiero w czwartek rankiem wśród ulewnego deszczu do okręgowego miasta Iszyma. Kto sam nie doświadczał, ten nie może mieć pojęcia o udręczeniach cielesnych, jakimi nabawia podróżnego ta wściekła jazda po gościńcach sybirskich. Ujehawszy w ciągu 35 godzin, z kwandran-sowymi ledwie przerwami 200 mil. (320 km.) uczuliśmy się tak strzęsieni, że nie było w nas i jednej niezbole-łej kosteczki; z niemałym też trudem przyszło na ostatniej stacyi wydostać się z tarantasu.

W Iszymiu zamierzaliśmy wypocząć dłużej, przewidując jednak, że nieustanne deszcze zepsują drogę do reszty, wypiliśmy w jakiejś nadrzecznej chłopskiej chałupie po kilka szklanek herbaty i ruszyli dalej.

W pewnej odległości za miastem, na wjeździe do rzadkiego lasu, spotkaliśmy brodzącą po błotnistym gościńcu jakąś gromadę; -- byli to przeważnie chłopci w długich butach, ogorzałe wieśniaczki w różnokolorowych chustkach na głowach, niedorostki, dzieci i jeszcze jacyś wędrowcy w strojach europejskich z parasolami w rękach.

W dalszym ciągu, w odległości 9 klm. od miasta, natknęliśmy na drugą, większą jeszcze gromadę kobiet i mężczyzn, brodzących środkiem błotnistej gościńca z trójramiennymi krzyżami, różnobarwnymi chorągwiemi i palącymi się latarniami, osadzonymi na długich drzewcach.

W miarę zbliżania, zarysował się przed oczyma naszymi, coraz to wyraźniej wśród tłumu jakiś obraz

oprawny w błyszczące ramy. Obraz ten, przytwierdzony do końca wysokiego drążka, osadzonego w kwadratowym postumencie, musiał mieć ramy szczerozłote lub srebrne wyłacane, gdyż z trudem go dźwigało sześciu tegich parobczaków.

Przed obrazem szedł pop z obnażoną głową, z książką w reku, a obok niego kilku diakonów w długich sutannach, niosących trójramienne wyłacane krzyże, jedwabne chorągwie i jarzące się świece. Pop, diakoni, i jakaś część orszaku, towarzyszącego obrazowi, śpiewali jednym ciągiem jakieś monotonne pieśni, podczas gdy stu innych od czasu do czasu wtórowali śpiewom. Wielu chłopów brodziło po błocie na bosaka, a wszystko to zdawało się tak na wskroś przyjęte doniosłością tego obrzędu, że nie zwracano żadnej uwagi na ulewny deszcz, smagający ich ogorzałe twarze i nie pozostawiający na nikim jednej suchej nitki.

Gromadę tę liczącą 400 do 500 głów, złożoną przeważnie z kobiet, zwiększali ściągający się ze wszech stron nowi przybysze.

W ciągu całego mojego pobytu w Syberyi, po raz pierwszy spotkałem się z czemś tak niezwykłym, napominającym czasy średniowieczne. Zdawało mi się w istocie, że nagle znalazłem się wśród jakiejs gminy chrześcijańskiej, która sfanatyzowana krasomówstwem Piotra z Amiens, podążyła na wyprawę krzyżową. Po dłuższej chwili, gdy utraciliśmy już z przed oczu ostatki wlokących się za orszakiem marud-rów, udało mi się dowiedzieć od naszego woźnicy, że obraz ten Bogarodzicy zaliczony do cudownych i mający swą stałą siedzibę w cerkwi w Iszymie, corocznie obnoszony bywa z wielką uroczystością po całej okolicy. Obecnie, po odbytej już wielomilowej podróży, powracał on do Iszyma. Wypadek ów streścił nasz woźnica w następnych słowach: „Boga-rodzica wraca do swego domu”.

Mimo nieustającego deszczu posuwaliśmy się wciąż naprzód, zmieniając konie pocztowe na stacyach w Bo-

rowsku, Tiukalińsku, Tusznolobowie, Abatsku i Kamy-szowej. Czując się nadto zmęczeni tą 60-godzinną podróżą, przedrzemaliśmy się godzin cztery w Orłowej, skąd znów dalej; — w nocy zaczęło się przecierać a nazajutrz na oczyszczonych z chmur niebiosach ukazało się słońce; powietrze przepełniał zapach orzeźwiający ziół i kwiatów.

Gościniec pocztowy dość znośny, prowadził nas w coraz piękniejszą okolicę, a przed południem roztoczyła się przed oczyma naszymi żyzna, urodzajna, po krańce niebios sięgająca równina, upstrzona gdzieś olchą, wierzbą i gajami brzozowymi. Step pokrywał kobierzec kwiecisty; tu i tam czerniące się długie pasy świeżo zoranej ziemi, tudzież falujące łąny zbóż, zapowiadały bliskość oczekiwanej niecierpliwie przez nas wsi. Życzeniom naszym wkrótce stało się zadość. Nasz woźnica nagle ująwszy konie krótko w lejce, przysiadł mocno na samym brzegu kozła i smagnawszy po koniach wysoko w powietrzu rozpuszczonym harapem, krzyknął rażno: heckh-ja-a-a! Cała czwórka puściła się cwałem, tak aż mi tchu w piersiach nie stało; rozpędzony tarantas zatoczywszy się w głęboką jamę, z takim gwałtem z niej wyskoczył, że mnie aż podrzucił na siedzeniu. Niewątpliwie mieliśmy wieść przed sobą; woźnica bowiem sybirski na dojeździe do stacyi zwykł wyprawiać z swymi końmi wszelkie możliwe sztuki; daremnie wychylając głowy z tarantasu krzyčeliśmy »wolniej!« »stój!«; woźnica ani myślał zwracać uwagi na nasze krzyki, a konie widząc bliski kres swej drogi, stuliwszy tylko uszy rwały się bez pamięci, jak gdyby cały step stanął w płomieniach »la-a-wa! Aj durak! Nu-u-u! heek-a-ja«, wrzeszczał dziko woźnica, rozpuszczając harap w powietrzu. Nie pozostawało nic innego tylko milczeć i zamknawszy oczy oddać się losowi. Błoto wyrrywające się z pod kopyt czterech cwałujących koni, gradem otrzaskiwało nasz tarantas, mnie zaś w chwili, gdy wychylił głowę ku woźnicy, omal że bryła błota gęby nie zawałiła. Wreszcie ukazał się wyciągnięty po obu stronach gościńca

z gałęzi pleciony parkan, obejmujący wieś z przyległym do niej pastwiskiem. Przy wrotach, które prze-mineliśmy z chyżością błyskawicy, stała wgłębiona w ziemię buda, pokryta gałęziami, z której ukazał się wychodzący jakiś siwobrody starzec w łachmanach z wywiedłą twarzą i opuchniętymi oczyma. Zaledwie ów starzec, przypominający mi przebudzonego po 20-letnim śnie Rip Van-Vinkela, zdołał zdjąć z swej głowy opłakane szczątki byłego niegdyś kapelusza, zostawiliśmy go już zdala za sobą. Oba też żałowaliśmy mocno, że minęła nas okazyja ofdfotografowania owej w ziemi stojącej budy i jej gospodarza. Za wrotami stał słup milowy z czarną tablicą, mieszczącą napis: Wieś Krutaja; odległość od Petersburga 2992 wiorst; odległość od Moskwy 2520; domów 42; mieszkańców płci męskiej 97. W około wsi rozciągały się szerokie gminne błonia, na których pały się stada krów, wołów i owiec. Tu i owdzie wznosiły się czteroskrzydłowe, deskami lub słomą kryte wiatraki. Wzdłuż błotnistej gościńca, po którym wciąż cwałowaliśmy, ciągnęły się dwa rzędy drewnianych domów. Krzyk woźnicy i turkot tarantasu sprowadzały do okien wszystkich mieszkańców, nie wątpiono, że wjeżdżający z takim gwałtem, muszą być generał-gubernatorami lub też wysłańcami samego cara. Przed domem jednego z swych przyjaciół woźnica nasz wstrzymawszy zgonione i spienione konie, krzyknął na całe gardło: »dawaj łoszadi!« (dawaj konie). Teraz zaczęła się schodzić cała gromada gapjów, oglądających z ciekawością zabłocony nasz tarantas. Były to prawdziwie typowe, godne pędzla postacie, z przestraszonymi twarzami, rozczochranymi lub też zbitymi w kołtun włosami i długimi, szorstkimi, posiwiątymi brodami. Jedni bez czapek, drudzy boso, w kożuchach pozszywanych z kawałków baranich skór, przesiąkłych na wskroś tłuszczem, inni znów w długich butach i chałatach orzechowego koloru, przepasanych na biodrach szerokimi rzemieniami lub też brudnymi szalikami. W czasie tych oględzin, woźnica nasz zeskokczywszy z wysokiego kozła, wziął się do wy-

przegania koni. Niebawem zbliżył się do nas gospodarz domu, pytając czy nie życzymy napić się herbaty, usłyszawszy zaś że jedziemy dalej, zawołał na swego syna: »Andruszka, spiesz na łąkę po konie«. Andruszek dosiadł natychmiast konia na oklep i pocwałował na pastwisko. Tłum, otaczający tarantas, wpatrywał się w nas ciekawie, śledząc za każdym niemal naszym ruchem; krytykowano nasz nowomodny tarantas, dopytując się furmana kogo przywozi. Nie zaspokoiliśmy i tu należycie swej ciekawości. zwrócił się do mnie pewien starzec z zapytaniem: Barin! pozwólcie się spytać, gdzie Was Bóg prowadzi? Odpowiedziałem, że zmierzamy przez Siemipałatyńsk, do Tomska. — Ah-a-a — zamruczało naraz wiele głosów. — Skąd panowie raczycie przybywać? — pytał uparcie ów starzec. — Z Ameryki, — odpowiedziałem. — Jestto miasto rossyjskie? — spytał ów starzec. — Ameryka nie jest miastem, lecz krajem — odezwał się jakiś piękny chłopczyzna. — Cała ziemia. — mówił z pamięci, jakby wydając lekcję, — dzieli się na pięć części, Europę, Azyę, Afrykę, Amerykę i Australię Państwo rossyjskie zajmuje dwie trzecie części Europy i połowę Azyi! — Tutaj urwał, wyczerpawszy cały swój zasób wiadomości. Ze starszych mieszkańców tej wsi nikt zapewne nie słyszał o Ameryce; pewien jednak młody człowiek, który przypadkowo był w Omsku w czasie przewozu zwłok Amerykanów uczestniczących w nie-szczęśliwej ekspedycji »Jenetta«, począł objaśniać swych współbraci o Amerykanach; dotąd bowiem najwięksi mędrcy tej wsi nie mieli żadnego o nich pojęcia, żegnając się krzyżem świętym na samą wzmiankę oceanu Lodowatego. Znalazł się jednak pewien starzec, który utrzymywał, że i rossyjscy żeglarze przebijali się także przez lody oceanu północnego, a chociaż, głosił on dalej, nie byli oni tak mądrzy jak »Amerykanie«, to wszakże w tym względzie nie ustępują im miejsca. Zawiazała się żywa rozprawa nad podróżami podbiegunowymi, w czasie której chłopiec wysłany na pastwisko, przyprowadziwszy konie, począł je zaprzęgać

do naszego tarantasu. Po chwili, nowy nasz woźnica wskoczywszy na kozioł, na dany znak do odjazdu, krzyknął rażno na swe rumaki »Nu-uh!« i wśród bryzgu błota przy odgłosie dwóch klekocących dzwonek opuściliśmy osadę.

W ten sam sposób, z małymi chyba tylko odmianami, odbywały się nasze wjazdy i wyjazdy z wszystkich innych stacyi pocztowych pomiędzy Tiumeniem i Omskiem. Prawie wszystkie wsie stepowe ogołocone są z drzew, krzewów i trawników, co w ogóle smutne na przejeźdźnym robi wrażenie; wszędzie też same w dwa rzędy wyciągnięte domy drewniane i występujące z topieli błotnej walące się kamienne parkany.

Lżej się też robi na duszy, gdy podróżny opuściwszy wieś, ujrzy się na szerokim stepie, odetchnie świeżem powietrzem nasyonem zapachem kwiecia; gdy szczebiot ptastwa dźwięczną melodyą pieści jego ucho, a zachwycone oko gubi się po bezmiernym zieloniutkim kobiercu, przetykanym krzewami róż, bratkami, angielskimi hyacentyami i purpurowo-tygrysowymi liliami. Pośród wsi Krutaja i Kałmakowa, przejeżdżaliśmy morze kwiatów. Wysiadłem z tarantasu i pogrążony po biodra w tym kwiatowym oceanie, wśród ciszy i samotności nasycam się pięknnością natury. Po lewej stronie gościńca step zakłęsał się nieco i znów występując nieznacznie sięgał w bezden, i rąbił niebiosą wąską smugą brzozowego lasku. Wśród całej bezmiernej tej płaszczyzny znajdowało się tylko jedno jeziorko, a zresztą rozciągała się ona w jeden zielony kobierzec, na którym grupowały się malowniczo stada pasącego się bydła i owiec. Lekko wzdęty szmat stepu zdobiła mnogość astrów pomarańczowych, lilii tygrysowych, spirei, nostrzyku, konieczyny, bratków, angielskich hyacenty i osobliwszych kwiatów, które na swych cienkich, długich łukowatych łodyżkach wydawały się strzelającymi raketami. Spokojne, przejrzyste powietrze przesycone było szczególnym zapachem jakby leśnego miodu. Na stepie panowała uroczą cisza, przerywana chyba brzęczeniem pszczoł, lekkim szelestem kołyszą-

cych się żdźbeł trawy, lub też posępnym krzykiem unoszącego się nad gniazdami mysz, stepowego sokoła. W błogim zachwycie spoczywałem w tem morzu kwiatów, nasycając wzrok widokiem stepu. słuch jego melodyą i pierś jego oddechem...

Przez cały dzień piątkowy, jechaliśmy wciąż po kwiecistym stepie, zatrzymując się czasem we wsiach, gdzie zdejmowaliśmy krajobrazy, zbierali kwiaty i rozpytywali się włościan o wygnańców. Na drodze spotykaliśmy niekiedy jakiego podróżnego w zabłoconym tarantasie, lub też wymijali, brodzącą środkiem błotnistego gościńca partyę wygnańców, odprowadzaną przez uzbrojonych żołnierzy; przejezdni, byli to przeważnie powracający z pól okoliczni włościanie.

Część gubernii Tobolskiej, przez którą przechodzi gościńiec z Tiumenia do Tomsku, jest o wiele żyzniejszą i bogatszą, niżeli przejezdnemu pozornie zdawać by się mogło. Przestrzeń ta, obejmująca 4,000.000 akrów (1,618.800 ha.) i licząca 650.000 mieszkańców, mieści w sobie cztery okręgi: Tiumeński, Jałutorowski, Tiukaliński i Iszymski. Ilość bydła rogatego w tych okręgach dochodzi do 1,500.000 sztuk: cała zaś gubernia produkuje rocznie 30,000.000 czetweryków (10,752.000 hl.) zboża. W miastach i miasteczkach czterech tych okręgów odbywa się corocznie 220 targów zbożowych; w okręgu Jałutorowskim wymienia się rocznie zboża na 2,000.000 dolarów, w Iszymskim na 3,500.000, a w całej gubernii na 14,000.000 dolarów. Daty statystyczne i moje własne spostrzeżenia prowadzą mnie do wniosku, że gubernia Tobolska przy dobrym i sumiennym zarządzie, tudzież zwolnieniu jej od napływu osiedleńców, przewyższyła by pod względem produkcji i dobrobytu wszystkie inne gubernie cesarstwa.

W piątek po południu wyjechaliśmy z Tiukalińska i minawszy Bakiszów, znaleźliśmy się na bagnistym stepie barakińskim, gdzie napadnięci przez całe chmary jadowitych muszek, nałożyliśmy rękawiczki, ponasuwali na głowy kaptury, broniąc się gałęziami. Całą noc tę przepędziliśmy bezsennie. Na szczęście

była to noc ostatnia, gdyż 4. lipca o godzinie 10 z rana, tarantas nasz toczył się po ulicach Omska. Byliśmy tak ochlapani błotem, że z pewnością najbliżsi nawet nasi znajomi nie poznaliby nas z twarzy. W ciągu ostatnich czterech dni i nocy ujechaliśmy 700 kilometrów, śpiąc wszystkiego zaledwie godzin jedenaście.

Omsk, stolica ziemi akmolińskiej i rezydencya gubernatora, liczący 30.000 mieszkańców, jest miastem przeważnie urzędniczo - handlowo - fabrycznem. Z dość znacznej liczby wcale niepokąźnych budynków publicznych uwydatniają się nieco: szkoła kadetów, rezydencya gubernatora, dom policyjny z wieżą strażniczą i ostrog. Ulice miasta szerokie, niebrukowane, domy mieszkalne przeważnie drewniane, przytem wiele cerkwi z pstrokato malowanymi, a nawet wyzłacanymi kopułami. Krótką charakterystykę Omska można by zamknąć w następnych słowach: jestto miasto gubernialne liczące 30.000 mieszkańców, z których jedna połowa, przyodziana w carskie mundury, chciała by władać — pozostałą drugą; ma ono wcale zwykły budynek szkoły wojennej, dość malowniczą strażnicę policyjną, natomiast ogołocone jest z biblioteki i wszelkich czasopism. Przytoczone poniżej słowa, wypowiedziane przy pożegnaniu się ze mną przez pewnego wykształconego omskiego obywatela, rzucają pewne światło, na stosunki urzędników tamecznych do reszty publiczności. — Panie Kennan, — wyraził się on, — jeżeli uznasz koniecznem wymienić w swej pracy moje nazwisko, to proszę, nie wspominaj pan o mnie dobrze. — Na miłość Boga, dla czego nie mam o panu dobrze wspominać? — Książka pańska, — odpowiedział on, — nie spodoba się rządowi, a skoro pan odezwiesz się o mnie przychylnie, to urzędnicy będą mnie jeszcze gorzej prześladować niż dotychczas. Moje żądanie może się panu nie spodobać, ale w niem się zamyka jedna i jedyna prośba. *)

*) Życzenie to wypowiedział pan X. gdy powracając zimą, udzieliłem mu sprawozdanie z naszej podróży po zachodniej Sy-

W Omsku, nie zdarzyło mi się spotkać z niczem godnem uwagi; nie widzieliśmy też tu nic więcej, prócz małego muzeum, mieszczącego się w budynku towarzystwa geograficznego, lichych drewnianych domów, obejmujących dwoma rzędami przedmieścia zamieszkałe przez osiedlonych tu przestępców. Szukałem więzienia, w którym przesiadywał ongi dwukrotnie tam knutowany, zdolny nowelista Dostojewski, ale było ono zburzonym. Nie dziwiło mnie wcale, że rząd kazał zniszczyć te mury, będące świadkami tylu okrucieństw i nędzy ludzkiej, tak dosadnie opisanej w dziele tego zdolnego pisarza »Dom umarłych«. Był tu jeszcze jeden budynek zwracający na siebie moją uwagę, to jest więzienie, ale brutalna odmowa, jakiejśmy doznali ze strony tamecznego gubernatora, spowodowała nas do bezwłocznego opuszczenia domu Jego Excelencyi.

Wypocząwszy należycie w Omsku po trudach wielodniowej podróży, opuściliśmy to miasto 8. lipca we środę, podążając trójką pocztowych koni i kozakiem-pocztylionem do Siemipałatyńska. Prawy brzeg Irtysza, po którym snuje się gościniec pocztowy, zasiany jest całym mnóstwem osad kozackich. Według dawno już przyjętej reguły, rząd rossyjski zwykł słabiej strzeżone swe pograniczne posiadłości zasłaniać przed możebnem najściem nieprzyjaciela całymi tysiącami kozaków sprowadzanych z rodzinami. W ten sposób przed czterema laty, dla zabezpieczenia południowej Rosyi od możebnych napadów czerkieskich górali, ustalono wojenną granicę nad Irtyszem przy Tereku. Aczkolwiek grożące Rosyi niebezpieczeństwo ze strony półdzikich plemion dawno już przeminęło, to wszelako potomkowie sprowadzonych wtedy kozaków po dziś dzień zamieszkują w osadach, założonych przez swych ojców i dziadów. Wszyscy ci kozacy są ludzie zręczni, zmyślni, przebiegli, nadający się wybornie na strażników

beryi. Chętnie przytoczyłbym tu wiele przykładów, świadczących o udręczeniach pana X. — nie mogę jednak tego uczynić, bo było by to złamaniem danego słowa.

granicznych i pionierów. Pomiedzy Omskiem a Siemi-pałatyńskiem naliczyłem około 40 osad kozackich, w niemniejszej też liczbie rozłożyły się one pomiędzy Siemi-pałatyńskiem i Altajem

Poczynając od Omska fizyonomia stepowych okolic zmienia się: w pobliżu tylko rzeki widać bujną roślinność, dalsze zaś przestrzenie pokrywa coraz to mizerniejsza trawa, aż wreszcie step zmienia się w bezmierną, żarem słonecznym wypaloną równinę. Gaje brzozowe, owa ozdoba okolic, wysuniętych na północ Omska, napotykają się tu coraz rzadziej: pól uprawnych wcale nie widać, a step zmienia się stopniowo w środkowo-azyatycką pustynię.

Za Omskiem zoczyliśmy po raz pierwszy kilka koczowniczych aułów kirgizkich. Rodowici ci nomadzi, stanowiący zwyż trzech czwartych ludności całego stepu, koczują z swymi trzodami po równinach sybirskich od morza kaspijskiego do samego Altaju. Auł kirgizki składa się z kilku małych wojłokowych szarych namiotów, nieopodal gościńca na stepie rozłożonych. Ni śladu ścieżyny nie było widać, a owe szare namiotki zdawały się tak dalece wyosobnione z pod wszelkich wpływów cywilizowanego świata, że wyglądały istotnie jak rozbite statki wśród wód oceanu Spokojnego.

Zamieszanie, jakim pojawienie się nasze nabiwiło mieszkańców aułu, świadczyło wymownie, że goście zaliczają się tu do osobliwości. Strach, malujący się na brunatnych twarzach półnagich, ucieczką do namiotów ratujących się dzieci, zdradzał, że pojawienie się nasze wzięto za jakiś naprzeciw aułowi skierowany najazd: kobiety wychyliwszy głowy z po za ścian namiotu, oglądały nas z bojaźliwą ciekawością, kryjąc się spieszenie do wnętrza, a i mężczyźni nawet podchodzących ku nam w zwartej gromadzie, nawiedziny nasze ogarnęły zdziwieniem, a nawet trwogą. Kozak nasz atoli, kilkoma słowy wyrzeczonymi po kirgizku, rozprószył te płonne obawy: zaproszeni wreszcie przez jakiegoś sędziwego starca w żółtoczerwonej czapce, zdającego się

być patryarchą tych rodzin kirgizkich, weszliśmy do wnętrza namiotu. Namiot ów, mający w dole 15 stóp średnicy, a 8 stóp wysokości, składał się z drewnianego, kopułowego daszku, obitego w okół kawałkami opuszczającego się ku ziemi wołoku. Lekko wygięte krokwie rozchodziły się, podobnie jak sprychy w kole, od środkowego słupa, wspierając się na drażkach wbitych prostopadle w ziemię w okół namiotu i tworzących jego ściany; w obwodowej ścianie umieszczone były drzwi. Daszek namiotu zaopatrzony był pierścieniową szczeliną, służącą do wyprowadzenia dymu i odświeżania powietrza. Kominek zastępywało tu kilka płyt kamiennych, na których przy tlejących się drewnkach stało kilka garnków. Sprzęty namiotu stanowił wazki drewniany tapczan, dwie czy trzy niebiesko malowane rossyjskie skrzynki i niski stolik, przy którym Kirgizi, siedząc na kuczkach, spożywają jadło. Na stoliku tym stały lub też leżały w nieporządku brudne drewniane łyżki, także czary drewniane i stary miedziany czajnik; zaś na łatach przyściennych, obok rozpiętej kory brzozonej, wisiała uprząż końska, zarzewiała skałkówka, strzemiona wykładane srebrem i dywanowy czaprak.

Pierwszym obowiązkiem gospodarza jest uraczenie swych gości kumysem. Zaledwie siedliśmy na płycie kamiennej, pokrytej kawałkiem grubego wołoku, gdy jedna z kobiet, podbiegłszy śpiesznie do wiszącego na drażku brudnego, skórzanego worka, zawierającego w sobie kumys, powierciła tam patykiem, i wnet miałem przed sobą czarę drewnianą, napełnioną po brzegi tym ulubionym kirgizkim napojem. Spodziewałem się, że to będzie coś podobnego do mieszaniny mleka z wodą sodową, przeciwnie jednak, napój ów wydał mi się smacznym i zarazem orzeźwiającym. Nie miałem jednak pojęcia, jak ogromną ilość należy pochłoniąć tego napoju, by zadość uczynić zwyczajowi. Zaledwie zdołałem wychylić tę pierwszą porcję, gdy patryarcha podał mi następną, a kiedy go prosił, aby tą już czarą, której spełnienie przechodzi moje siły,

ugościł pana Frosta, ujrzałem go tak dalece strapionego moją odmową, że chcąc go rozweselić posłałem do tarantasu po moje lutnię i przebijając po strunach palcami, zacząłem mu śpiewać. Pan Frost, który nie miał wcale ochoty spotkania się z kumysem, widząc swą kolej, wydobyl spieszenie z kieszeni notyskę i zabrawszy się do odrysowania sześciolatniego synka kirgizkiego patryarchy, spełnienie podanej mu czary odłożył na później. Zreżny ten jednak wybieg chybił ze szczerem celu: zaledwie bowiem wziął on ołówek do ręki, gdy matka owego chłopczyny, przerażona baczem wpatrywaniem się artysty w jej dziecie, pochwyciła w objęcia małego łapserdaka i całując go namietnie, jakby uratowanego z grożącego życia niebezpieczeństwa, spieszenie usunęła z pod złowrogiego oka mniemanego czarownika. Widząc, że grą moją na lutni nie zażegnam najniespodzianiej wynikłego nieporozumienia, wynieśliśmy się z jurty. Chciałbym istotnie wiedzieć, jakim to przeróżnym gadkom dało początek owe pojawienie się w namiocie kirgizkim dwóch niby życzliwych giaurów, z których jeden przy pomocy jakiegoś czarodziejskiego instrumentu wyśpiewywał bezbożne pieśni, drugi zaś usiłował złym wzrokiem urzec dziecko.

Przez całe następne cztery doby jechaliśmy bez odpoczynku po bezbrzeżnym stepie irtyszkim; w przejeździe zbieraliśmy na stawach zarosłych sitowiem, wodne białe lilie, zdejmowali szkice osamotnionych grobów kirgizkich i spijali kumys w namiotach uprzejmych nomadów. Gościniec snuł się czasami po irtyszkich dolinach po nad brzegiem rzeki, gdzie wiatrem rozkołysana złota wełnica i wysoka stepowa trawa, jak wzburzone wody, roztrącały swe spienione fale na krzaczystych grzebieniach srebrno białej spirei; — niekiedy gościniec odchylając się od rzeki, prowadził po nieco podniesionych, skwarem słonecznym wypalonych równinach, to znów skręcał nagle w wilgotne oazy, okolonie stepowymi jeziorami, gdzie spotykaliśmy urocze naturalne ogrody kwiatowe pełne róż, astrów, gwoździ-

ków, hiszpańskiej wyki i przepysznych ciemno-niebieskich dzwonków.

W piątek, przy wyjeździe naszym z miasteczka kozackiego Pawłodaru, gorąco w południowej godzinie dochodziło do 91° Fahrenheita. Słońce tak paliło, że chociaż rozebrani do koszuli, omdlewalismy w głębi krytego skórą tarantasu; ażeby nachwytać choć trochę świeżego powietrza, wymachiwalismy kapeluszami, rozganiając zarazem chmury pływających po bezmiernym stepie zielono-okich, polnych koników; słońce zwrotnikowe tak doskwierało, że niepodobna było uwierzyć, ażeby to mogła być Syberya.

Obecnie przejeżdżalismy wciąż przez liczne kozackie osady, ciągnące się brzegiem Irtysza. Niskie położenie sprzyja tu nadzwyczaj roślinności, dzięki czemu, wsiom tym nie brak cienistych drzew i ogrodów warzywnych. Prawdziwie błogo było po całodziennym skwarze słonecznym odetchnąć na tej stepowej oazie, zroszonej wodami przerzynającej ją wąskiej odnogi Irtysza; patrzeć na te cieniste drzewa, na ogrody pełne warzywa, ogórków, melonów, wśród których tak malowniczo odbijały czerwone, rozstrzępione kwiaty maku ogrodowego. Kobiety w rozpuszczonych letnich szlafrokach prały na rzece bieliznę, podczas gdy półnagie dzieci towarzyszące matkom, igrały pod cieniem drzew lub też obluźgiwały się wodą.

Pozostałą część drogi do Siemipałatyńska przebyliśmy nocą. W miarę zbliżania się ku miastu, roślinność karłała stopniowo tak, że pół nagi jałowy step wydawał się wypalona żarem słonecznym, gdzie nienagie nanieśioną piaskiem, pustynią, na której czasem tylko można było zobaczyć wynędzniały krzew, lub też kępki wyżółkłej trawy.

Zaraz po północy zasnąłem, przebudziwszy się dopiero na dodniu. w chwili gdyśmy przejeżdżali obok dość wielkiego bielonego budynku. oświetlonego latarniami, który jak się później dowiedziałem był miejscem więzienia. Niebawem wjechaliśmy w jakąś długą, szeroką, odosobnioną ulicę, objętą dwoma rzędami

wnianych, pozamykanych domów o nader wysokich stromych dachach, co wszystko na dodniu wyglądało niezwykle ponuro. Ponieważ cała ulica zasłana była cienką warstwą piasku, przesuwalismy się tedy po niej tak cichuteńko, jakbyśmy nie toczyli się tarantasem, lecz płynęli gondolą po lagunach weneckich. Ten przejazd nasz o szarej rannej godzinie przez miasto, jakby opustoszałe, nie zdradzające ni śladu życia i naniesione piaskiem stepowym, miał w sobie coś tajemniczego i uroczego zarazem; tylko z rozległej dali dochodziło nas grzechotanie nocnych stróżów, przypominające bębnienie na alarm.

Wreszcie stanęliśmy przed jakimś murowanym domem, nazwanym przez naszego woźnicę: „hotelem sybirskim“. Tutaj kołatalismy dość długo w bramę, aż wreszcie pojawił się zaspany kelner i poprowadził nas na drugie piętro do jakiegoś dusznego pokoiku, gdzie rozłożywszy się na podłodze, doczekalismy rana.

Miasto gubernialne Siemipałatyńsk, leżące na prawym brzegu Irtysza w odległości 750 km. od Omska, 1450 km. od Tiumenia, ma 15.000 mieszkańców, w skład których wchodzi Rossyanie, Kirgizi i Tatarzy. W Siemipałatyńsku schodzą się trakty karawanowe, prowadzące do Taszkentu i środkowej Azji; miasto więc to, jednoczące ruch handlowy znacznej części stepu kirgizkiego, ma wcale doniosłe znaczenie. Prowincya siemipałatyńska jest więcej krajem stepowym niż rolniczym; ludność jej wynosi 547.000 mieszkańców, między którymi 497.000 nomadów. Koczujące te plemiona zamieszkują w 111.000 namiotach, posiadają 3.000.000 sztuk bydła łącznie z wielbłądami, których liczba dochodzi do 70.000. Cała ta prowincya, dostarcza rocznie 45.000 funtów masła, 370.000 funtów tytoniu, 100.000 czetweryków kartofli i żyż 12.000.000 czetweryków (4.200.000 hl.) zboża. Odbywa się tu rocznie 11 jarmarków, na które dowożone ziemioplody przedstawiają wartość 1.000.000 dolarów. Z samego Siemipałatyńska rozechodzi się rocznie, po różnych okolicach Mongolji i środkowej Azji, towaru za 150 do 200.000 dolarów.

Siemipalatynsk zasłużył sobie w zupełności na przydomek »djabelskiej piaseczniczki«, którym obdarzyli go tameczni oficerowie. Miasto to istotnie razi cudzoziemca swą ponurą fizyonomią; nie zoczy on tu nigdzie jednego drzewa, ni żdźbła trawy, a tylko rzędy posepnych, wpiół zbutwiałych domów, obejmujących piaskiem rzeczny zastane ulice. W ciągu całej półgodzinnej naszej wędrówki nie spotkaliśmy ani śladów roślinności, brnąc po kostki w zaspach piaszczyстых, zalegających ulice i chodniki. Zdawało mi się koniecznie, że znalazłem się w którymś z miast północno-afrykańskiej pustyni. Meczety tatarskie z ciemnymi minaretami, mułłowi długobrodzi z białymi na głowach turbanami, dwugarbne wielbłądy, kroczące poważnie po ulicach, wszystko nadaje temu miastu charakter czysto mahometański.

W poniedziałek rano udałem się do gubernatora Cieklińskiego, wręczyłem mu listy ministra spraw wewnętrznych i zagranicznych, dowiadując się tu z zadowoleniem, że nie był on uprzedzony urzędownie o naszym przyjeździe, ani też nie otrzymał żadnych względem nas instrukcyi; przyjął mnie przytem bardzo uprzejmie, pozwolił zwiedzić więzienie, przyrzekł przysłać nam policmajstra by nas oprowadził po mieście, i w dodatku opatrzył mnie listami polecającymi do wszystkich urzędników swej guberni.

Idąc za radą pana Cieklińskiego, udałem się od niego wprost do biblioteki miejskiej, zajmującej wcale niepokazny budynek w środku miasta. Biblioteka ta mieściła antropologiczne muzeum, wygodnie urządzoną czytelnię zaopatrzoną wszelkimi możebnymi rossyjskimi gazetami i czasopismami, a w dodatku księgozbiór, zawierający zwyż tysiąca najwyborowszych dzieł i to przeważnie naukowych. Z prawdziwem zdumieniem przyszło mi się tu spotkać z Spencerem, Bucklem, Lewensem, Millem, Tainem, Lubbockiem, Taylorem, Huxleyem, Darwinem, Leyllem, Tyndallem, Alfredem Russlem, Wallasem i Sir Henry Mainem; — z romansopisarzami i nowelistami: Scottem, Dickensem, Maryatem, George-

Eliotem, George Mac Donaldem, Anthony Troloppem, Justin Mc Carthym, Erckmann-Chatrianem, Edgar Allan Poém i Bret Hartem. Dzieła naukowe a w szczególności dotyczące ekonomii narodowej, wybitnie były przedstawione. Wybór dzieł przynosił zaszczyt założycielom tej biblioteki i świadczył o wysokim ich wykształceniu i istotnym smaku naukowym.*)

Wyszedszy z biblioteki, włączyłem się po prawym brzegu Irtysza, dochodząc aż do przewozu przez rzekę, dzielącą Siemipałatyńsk od przedmieścia kirgizkiego. Stacya przewozowa znajduje się na wyspie, leżącej pośród Irtysza, do której dostać się można ścieżyną lub też przeprowić się przez osuszony kanał. Niebawem zoczyłem przed sobą gromadę Kirgizów z kilkoma dwugarbnymi wielbładami, z których jeden ciągnął za sobą kibitkę. Przy samym przewozie, Kirgiz wyprzągnął wielbłąda i przewróconą do góry kołami kibitkę umieścił mu na grzbiecie. Baktryjskiego wielbłąda dostatecznie ośmieszają jego dwa niekształtne garby, niezmiernie długa szyja i pogardliwy wyraz fizyognomii, — nigdy wszelako nie wydał mi się on komiczniejszym jak obecnie, gdy dźwigał na grzbiecie wywróconą do góry kołami kibitkę.

Poczynając prawie od koryta rzeki roztacza się w kierunku południowym bezgraniczna, stepowa pustynia. Na brzegu spotkałem zmierzającą do miasta wielbłądźią karawanę, obładowaną materjami jedwa-

*) Wszystkie wyż wspomniane dzieła naukowe, obrobione już były należycie przez cenzurę rossyjską. W »historji racjonalizmu« Leckys'a brakowało całego rozdziału; przebiegając przelotnie tę książkę spostrzegłem w niej brak około 60 stronic. Mimo tego, dzieło to nabawiało takim strachem rząd rossyjski, że nawet w tem na krańcach świata znajdującem się mieście, wolno' je było czytać tylko tym osobom, które miały na to pozwolenie od ministra spraw wewnętrznych, podpisane przez samego cara. Pod tą samą kontrolą pozostawały dzieła Spencera, Milla, Lewes'a, Lubbocka, Huxley'a, Lyell'a, mimo że cenzura powycinała z nich wszystko cokolwiek zdawać się jej mogło »niebezpiecznem« lub też »demoralizującym«.

bnymi, dywanami i innymi towarami, dowożonymi tu z Taszkentu i Azyi środkowej.

Powróciwszy z tej wycieczki dopiero po południu, zastałem w hotelu pana Frosta z mnóstwem szkiców, które w czasie mojej nieobecności pozdejmował z południowej dzielnicy miasta. Wieczór był tak gorący i duszny, że rozebrani do koszuli siedzieliśmy do późna przy otwartem oknie, wsłuchując się w gwary, dochodzące nas od strony tatarskiej części miasta. Był to ostatni dzień postu miesięcznego Ramazan; cała ludność zdawała się do północy być na nogach. Wśród nocnej ciszy rozlegały się w powietrzu odgłosy nocnych strażników i przeciągłe żałośnie nawoływania muezinów z minaretów tatarskich meczetów.

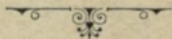
Nazajutrz rankiem w mieście panował wielki ruch; Kirgizi i Tatarzy w świątecznych ubiorach gromadzili się na ulicach, obchodząc uroczyscie trzydniowe święta popostne. Przed samem południem mieliśmy gościa, w osobie policmajstra, który zgodnie z życzeniem gubernatora przyszedł nam się przedstawić i oprowadzić nas po mieście. Wyszliśmy też wkrótce, i zwiedziliśmy w jego towarzystwie meczety tatarskie, tudzież złożywszy wizyty urzędowe tatarskiemu mulle i wyższym urzędnikom, skierowaliśmy się ku zachodniemu końcu miasta, zatrzymując się na piaszczystym placu, na którym miała się właśnie odbywać walka pomiędzy Tatarami i Kirgizami. Cała publiczność otaczająca arenę sformowała się w trzy kręgi. Widzowie najbliżsi areny, siedząc na kuczkach, opasywali ją trójrzędym pierścieniem; następny krąg tworzyli stojący spektatorowie, trzeci zaś, — jeźdźcy na koniach. Przycisnąwszy się z policmajstrem przez wszystkie trzy kręgi, siedliśmy sobie na piasku pod żarem promieni słonecznych spowici lekkim obłokiem kurzu, wydobywającego się z placu walki.

Zgromadzeni dzielili się na dwa obozy, z których jeden stanowili Tatarzy, drugi, — Kirgizi. Przyłączyliśmy się do tych ostatnich, mając naprzeciw siebie Tatarów. Czterej mistrzowie ceremonii, przyodziani w zie-

lone togi, trzymali w rękach trzciny. Tatarzy wybrali z pomiędzy siebie jednego zapaśnika, zarzucili na niego szeroki pas. i wciągnawszy go na arenę, zawezwali kirgizkich mężów zaufania, by stawili przed nim współzawodnika; skoro się ten ukazał, rozpoczęły się bezzwłocznie zapasy. Pierwszym, występującym do walki był urodziwy, sympatyczny Kirgiz, w niebieskiej czapeczce i czerwonym pasie. Naprzeciw owego Kirgiza stanął atletycznej budowy Tatar, w żółtej czapeczce i zielonym pasie. Przeciwnicy, zmierzyszy się wzrokiem, rzucili się na siebie i chwytając się wzajemnie jedną ręką za pasy, drugą za ramiona, usiłowali powalić jeden drugiego na ziemię. Zwarci głowami, podając — dla zachowania równowagi — naprężone nogi nieco ku tyłowi, naginali się niemal pod kątem prostym i ciągnąc się w tej postawie po arenie, oba upatrywali żądnie chwili, sprzyjającej do pokonania się. Wreszcie, atletycznej budowy Tatar, oswobodziwszy się z objęć Kirgiza, odskoczył w tył i natarł na niego tak gwałtownie, że ten zachwiał się na nogach, z czego korzystając Tatar, uderzył go tak silnie nogą, a w ślad zatem kolanem, że nim Kirgiz zdołał się opamiętać, Tatar pochwyciwszy go w swe łapy, przerzucił jak piłkę po nad swą głową. Biedny Kirgiz padł z takim gwałtem, że mu krew puściła się gardłem i nosem. Nie mógł nawet podnieść się o swych siłach, dopiero przy pomocy innych, wśród zwycięskich okrzyków Tatarów wrócił na swe miejsce.

Publiczność z wyteżoną uwagą przypatrywała się występującym na pole walki coraz to nowym współzawodnikom. Unoszący się z areny kurz i piasek gęstym tumanem spowijał widzów, wygryzając oczy; powietrze nasycone potem końskim i ludzkim, tudzież wstrętnym odorem zatłuszczonych kożuchów, tamowało oddech, a promienie słoneczne tak mocno doskwierały, że twarze i ręce nasze wyglądały jakby obłożone wizykatoryą; przedstawienie jednak tak dalece pochłaniało naszą uwagę, że przypatrywaliśmy się z rzędu piętnastu walkom. Pokonani ustępowali z placu boju bez

urazy lub zawziętości, śmiejąc się często z doznanego niepowodzenia. Tatarzy wydawali mi się w ogóle jeżeli nie silniejszymi od Kirgizów, to przynajmniej zręczniejszymi. Szala też zwycięstwa przechylała się częściej na ich stronę. Walka trwała do późna, my jednak opuściliśmy arenę około godziny 5 po południu i przecisnąwszy się przez tłum, skierowaliśmy się ku hotelowi, by ochłodzić się i obmyć czerniące się od kurzu twarze i ręce.



IV.

Pierwsze spotkanie się z wygnańcami politycznymi.

Z wygnańcami politycznymi w Syberyi poznały mnie, rzecz dziwna, same władze rządowe tamtejsze. Między wieloma urzędnikami, których poznałem, był niejaki Pawłowski*), człowiek wykształcony, inteligentny, zajmujący przez czas dłuższy wybitniejsze stanowisko w służbie rządowej, które zawdzięczał gruntownej znajomości Syberyi, a w szczególności krajów stepowych. Chociaż Pawłowski od razu zrobił na mnie wrażenie wykształconego, ludzkiego i wolnomysłnego człowieka, to wszakże idąc za radą daną mi w Petersburgu, że rząd rossyjski złem patrzy okiem na przejezdnego cudzoziemca, interesującego się wygnańcami politycznymi, wahałem się zawiązywać z nim rozmowę w tym przedmiocie, postanowiwszy sobie natomiast dążyć skrycie do zamierzonego celu. Nie przypuszczając, ażeby rossyjskiego urzędnika łączyła z wygnańcem politycznym jakakolwiek sympatya, nie mogłem też liczyć na jego pośrednictwo. W rozmowie mojej przeto strzegłem się potrącać o drażliwy przedmiot, nie dając żadnego powodu do przypuszczeń, że znane mi są ruchy rewolucyjne w Rosyi i że interesuję się żywo wygnańcami.

*) Właściwe nazwisko tego urzędnika zmuszony jestem za-
trzymać w tajemnicy i zastąpić je przybranem.

Kiedy raz po obiedzie gawędziliśmy o Ameryce, spytał mnie nagle i niespodzianie pan Pawłowski: panie Kennan, nie zwrócili też pańskiej uwagi młodzi ludzie, wysłani tu z Rosyi na osiedlenie?

Nie zmiarkowawszy na razie, dokąd zapytanie pada, odpowiedziałem, że nie dość mi ono jasnem.

— Sądzę — odrzekł on — że obecnie wysyłają z Rosyi na Sybir wiele wykształconej młodzieży i zdaje mi się, że sprawa ta nie jest dla pana obojętną. — Wzrok jego wymowny, łagodny, a przytem sięgający do dna samej duszy, utrwalił mnie w przekonaniu, że mowa tu o wygnańcach politycznych.

Z tem wszystkiem nie zapomniałem na chwilę, że mam do czynienia z urzędnikiem rosyjskim. Przewrotność nie pozwoliła mi być otwartym, zbyłem go też ogólnikową odpowiedzią. Mnie się zdaje — mówił on, wpatrując się we mnie badawczo — że ruch ten jest objawem społecznym zbyt doniosłego znaczenia, by pana jako cudzoziemca nie mógł żywo zainteresować.

— W istocie — odpowiedziałem — wszelkie objawy społeczne budzą we mnie zajęcie, bezwątpienia też i ruch, o którym mówimy, żywo by mnie mógł zainteresować, gdyby nie był mi obcym.

— Między młodzieżą zesłaną obecnie do Syberyi — mówił P. — są osobistości wybitne, mężczyźni z wykształceniem uniwersyteckiem, kobiety zaś osobliwej siły charakteru.

— Tak słyszałem: byłoby też w istocie rzeczą zajmującą poznać się z takimi ludźmi — odpowiedziałem.

W ten sposób próbowaliśmy z panem Pawłowskim przez ciąg kilku minut sądować wzajemnie nasze zapatrywania co do politycznych wygnańców, powstrzymując się od wszelkich zwierzeń. Z jego słów mogłem wnioskować, że ci młodzi wygnańcy mocno go obchodzą, ukrywa się on jednak z tem przedemną, nie przekonawszy się poprzednio o mojej stałości charakteru i sympatyi dla nich. Przewrotność nie pozwo-

liła mi wszczynać dalszej w tym drażliwym przedmiocie rozmowy zwłaszcza z urzędnikiem rosyjskim, którego mniemana otwartość mogła być tylko fortelem, użytym dla wybadania istotnego celu mojej podróży po Rosyi. Objawy współczucia dla wygnanych wrogów rządu ze strony urzędnika rządowego wydawały mi się czemś tak niezwykle i bezprzykładnem, że w istocie obudziły we mnie ku osobie jego nieufność.

Gra jednak w ciuciubabkę okazała się nużąca, rzekłem więc otwarcie: panie Pawłowski, mówisz pan o wygnańcach politycznych. Nie wiedząc gdzie są oni, nie mogę zawierać z nimi znajomości. W dodatku zapewniano mnie, że rząd złem patrzy okiem na cudzoziemca, wchodzącego w stosunki z wygnańcami politycznymi.

•Politycznych• z łatwością można odszukać, — odpowiedział mi Pawłowski. Jest ich zbyt wiele w kraju; mógłbyś pan przy dobrej chęci łatwo się z nimi zaznajomić. Tu w samym Siemipalatynsku jest ich 30 do 40; chodzą oni po ulicach jak wszyscy inni ludzie. Dlaczegoż nie miałbyś pan przypadkowo z nimi gdzie się spotkać?

Po złamaniu pierwszych przeszkód, tamujących rozmowę, szybko nastąpiło wzajemne porozumienie. Wkrótce też nabrałem przeświadczenia, że sympatyje Pawłowskiego dla wygnańców politycznych nie są udane lecz szczerze. Nadto on ufał mojemu rozsądkowi i mojej stateczności, by mógł wątpić o mojej dyskrecyi. Z rozmowy naszej dowiedział się on, że dotąd uznawałem nihilistów za zaślepionych fanatyków, męczycieli, socyalnych teoretyków, dążących do zakłócenia porządku państwowego; ja natomiast dowiedziałem się od niego, że to są ludzie spokojni, roztropni, niedopuszczający się żadnych nadużyć, i że swem zachowaniem się zjednali sobie względy i wysokie uznanie u gubernatora Cieklińskiego. Dowiedziałem się dalej, że wszyscy osiedleńcy polityczni w Siemipalatynsku w liczbie 22, nie z wyroku sądowego, lecz z rozkazu ministra spraw wewnętrznych, potwierdzonego przez

cara, zostali z kraju wypędzeni. Wygnanie ich trwać miało od 2 do 5 lat, po upływie zaś naznaczonego terminu, każdy z wygnańców, którego postępowanie władze miejscowe uznają nienagannem, mógł własnym kosztem powrócić do swego kraju. Niektórzy z wygnańców znaleźli zatrudnienie w Siemipalatynsku i utrzymywali się z zarobku; innym dopomagali krewni lub przyjaciele, reszta otrzymała wsparcie od rządu, — zaliczeni do stanu szlacheckiego po 6 rs., zaś nieuprzywilejowani po 2 rs. 70 kop. miesięcznie; wsparcie więc to wystarczyć ledwie mogło na uchronienie od głodowej śmierci.

Istotnie — rzekł pan Pawłowski — kwota ta pod żadnym względem nie wystarczy na utrzymanie; 9 kop. co najmniej pochłania sam tylko chleb, zaś o schronisku i mowy być nie może, i gdyby nie pomoc zaможniejszych, to wielu znalazłoby się w wielkim niedostatku. W liczbie wygnańców i wygnanek politycznych są przeważnie ludzie wykształceni, a gubernator Ciekliński, świadomy ich potrzeb, pozwala im udzielać lekcyi prywatnych, mimo że podług litery prawa, wzbroniono jest przestępcom politycznym zajmować się nauczaniem. Kobiety zarabiają szyciem i haftowaniem. Wygnańcom wolno jest prowadzić korespondencję listowną, czytać książki i czasopisma treści dozwolonej, pozostawia się im wolność osobista, mimo że pozostają wciąż pod dozorem policyjnym.

— Za jakie przestępstwa wygnani są ci młodzi ludzie? — zapytałem — Czy byli oni sprzysiężeni? lub należeli może do spisku na życie cara?

— O nie — odpowiedział pan Pawłowski, uśmiechając się — okazali się tylko niebłagomądzonými. Jedni z nich należeli do zakazanych stowarzyszeń, inni posiadali lub też sprowadzali wzbronione książki, innych zaś łączyły stosunki znajomości z niebezpiecznymi przestępcami stanu, lub też uczestniczyli w rozruchach szkolnych i uniwersyteckich. Tutejsi wygnańcy są przeważnie administracyjni t. j. osoby, które rząd z wiadomych mu względów uznał

za stosowne wydalić z kraju do tych prowincyi koronnych, w których nie mogą być szkodliwymi i gdzie zostają pod nadzorem policyjnym.

Z następnie uzyskanych na moje zapytania o politycznych wygnańcach od pana Pawłowskiego odpowiedzi dowiedziałem się, że ludzie ci wolni są od wszelkiego zarzutu; wreszcie oznajmił, że dla wyrobienia sobie właściwego o wygnańcach tu osiedlonych sądu, gotów jest sam mnie z nimi zaznajomić. Pójdziemy, rzekł, w odwiedzin do jednego z młodych wygnańców, Łobonowskiego, który właśnie w tej porze zajęty jest malowaniem kurtyny dla miejskiego teatrzyku. Jest to także kawałek artysty i ma u siebie dość przeróżnych szkiców sybirskich. Pan sam zdejmujesz krajobrazy i zbierasz je, więc masz usprawiedliwiony powód do zwiedzenia jego pracowni.

— W istocie — odezwałem się. — Szkice są moja słabą stroną; prócz tego jestem znawcą kurtyn teatralnych, a więc muszę obejrzyć obrazy tego artysty bez względu na to, że jest on nihilistą i wygnańcem.

Powóz pana Pawłowskiego stał przed bramą, siedliśmy więc, podążając wprost ku pracowni pana Łobonowskiego.

Zżywszy się już od roku z wygnańcami politycznymi, trudno mi jest dzisiaj, zwłaszcza w obec nowo zawiązanych znajomości z wygnańcami w Siemipalałyńsku, odnowić sobie w pamięci moją dawniejszą o nich opinię.

Wiem dobrze jednak, że byłem ich przeciwnikiem, że nie mogłem dopatrzeć w kobietach jak i w mężczyznach wykształcenia, ani też innych przymiotów, właściwych ludziom dobrego towarzystwa. O ile sobie przypominam, to pod nihilistami rozumiałem jakieś ponure, mniej lub więcej dziwaczne stworzenia z pewnym zasobem wiadomości w jednym tylko kierunku, zresztą zagorzałych fanatyków, o bezgranicznem poświęceniu, lecz z najprzewrotniejszymi pojęciami o rządzie i porządku społecznym, obdarzonych przytem małą dozą zdrowego rozsądku. Nie wierzyłem, by mnie

łączyć miała z nimi jakąś wspólna idea, jak n. p. z anarchistą Ludwikiem Lingiem, i jakkolwiek zamierzalem wysłuchać z całą bezstronnością ich skarg przeciw rządowi, nie wątpilem wszakże, że wszystkie te zażalenia nie wpłyną na zmianę mojej dotychczasowej o nich opinii.

Nawet po tem wszystkiem com słyszał z ust pana Pawłowskiego, przedstawiałem sobie owego pana z paletą, jako długowłosego o biegających oczach młodzieńca, zasypującego nas deklamacyami o nadużyciach rządowych, dopatrującego w każdym rozporządzeniu gubernatorskiem brutalnej tyranii i wymagającego odemnie uznania dla zabójstwa, spełnionego na osobie Aleksandra II.

Ponieważ dom, przed którym zatrzymaliśmy się, zajmował wyłącznie pan Łobonowski, weszliśmy tedy nie opowiadając się. Nie przystąpiwszy jeszcze progu drzwi rozwartych ręką pana Pawłowskiego, ujrzałem w głębi komnaty przed wielkim kawałem naciągniętego płótna, trzydziestoletniego mężczyznę, blondyna w ciemnej płóciennej bluzie, trzymającego w jednej ręce penzel, w drugiej zaś paletę z ledwie co rozrobionymi farbami. Silna i kształtna postać, tudzież całe wzięcie się, cechowało człowieka wykształconego, z razu też zrobił on na mnie korzystne wrażenie. Jasne, niebieskie oczy, gęste, ciemne włosy, opadające na wysokie czoło i jasno blond broda, nadawały kształtnej jego głowie wyraz męzkości i godności; z oblicza jego przebiegała taka szczerłość i swoboda, że odrazu uznałem go za człowieka serdecznego, wrażliwego, a przytem pełnego siły i harmonii wewnętrznej. Oblicze to nie miało nic wspólnego z wytworzonym przezemnie typem nihilisty.

Pan Łobonowski dowiedziawszy się od p. Pawłowskiego, że ma przed sobą amerykańskiego podróżnika, którego jako amatora krajobrazów sprowadza tu chęć obejrzenia jego szkiców, powitał mnie serdecznie, bez śladu zakłopotania i przedstawiając mi widoki okolic zdejmowanych przez niego przeważnie z po za krat

więziennych, prosił o wyrozumiałość dla nienależycie wykonanej swej pracy. Szkice te wykonane niewprawną jeszcze ręką, zdradzały siłę i talent. Przedstawiały one wnętrza więzień, domów etapowych, portrety wygnańców politycznych, jakoteż widoki okolic, rysowane przez artystę z okien więziennych w czasie podróży jego do Syberyi. W rozmowie naszej z p. Łobonowskim nie poruszaliśmy żadnej kwestyi politycznej. Opowiadał mi on o swej podróży do Syberyi w ten sposób, jakby ją odbywał nie przymusowo, lecz z dobrej woli, unikając wzmianki o wszystkim, co mogło przypomnieć, że jest politycznym przestępcą i wygnańcem. Zachowanie się jego było spokojne, skromne i szczere; w każdym zwrocie rozmowy okazywał wiele taktu, i mimo najściślejszych obserwacyi nie mogłem wykryć w nim ani śladu dziwactwa. Domyślił się on zapewne, że ma przed sobą badacza, usiłującego nieznacznie pochwycić cechy, właściwe nowemu typowi kryjącego się w nim przestępcy; to go jednak nie krępowało ani też wprowadzało w zarozumiałość, umiał panować nad sobą, zachowując spokój i godność istotnego dżentelmana.

Po półgodzinnej rozmowie, żegnając się ze mną prosił, bym razem z p. Frostem zechciał odwiedzić go w mieszkaniu, gdzie nas oczekiwać będzie z kilkoma towarzyszami. Podziękowałem mu i przyrzekłem przyjść.

— No, i cóż pan sądzisz o wygnańcach politycznych? — Zagadnął mię pan Pawłowski.

— Bardzo dobre zrobili na mnie wrażenie — odpowiedziałem. — Czy wszyscy są tacy?

— Wszyscy nie, ale nie ma między nimi złych ludzi. W mieście, jest jeszcze jeden, zasługujący na uwagę wygnaniec, nazwiskiem Leontiew, z którym powinienes się pan koniecznie poznać. Pracuje on w biurze sędziego pokoju pana Makowieckiego, z którym wspólnie oddają się studjom antropologicznym nad Kirgizami, i o ile mi wiadomo zbierają materiały do mono-

grafji kirgizkiego prawa zwyczajowego. *) Udał się pan do pana Makowieckiego, on cię z pewnością poznał z panem Leontiewem. Obaj ci panowie są ludźmi wykształconymi i inteligentnymi.

Ponieważ p. Makowiecki należał do zarządu biblioteki miejskiej, mieszczącej także zbiór rozmaitych sprzętów, narzędzi kirgizkich, udałem się tedy do niego z prośbą o udzielenie mi pozwolenia na zwiedzenie tej biblioteki. Przyjąwszy mnie najuprzejmiej, p. Makowiecki z zadowoleniem zadość uczynił mojemu życzeniu i przedstawiwszy mi swego sekretarza p. Leontiewa, poświęcającego się studiom nad życiem Kirgizów, zobowiązał go by zechciał obeznać mnie z materyałami. dotyczącymi pochodzenia i sposobu życia szczepu kirgizkiego.

P. Leontiew, młody, przystojny, około 25 lat liczący mężczyzna o wyrazistych szarych oczach i ciemno blond włosach, wywarł na mnie — wyrazem energii przebijającej się w jego twarzy — bardzo sympatyczne wrażenie. Biegły znawca mógł od razu poznać w nim człowieka nauki. Dowiedziałem się później, że p. Leontiew był synem b. komendanta kirgizkiego garnizonu w Siemipałatyńsku i kształcił się początkowo w szkole paziów w stolicy rossyjskiej. W 18 roku życia wstąpił do uniwersytetu petersburskiego, lecz w czwartym roku swych studiów został aresztowany i zesłany drogą administracyjną na pięcioletnie osiedlenie w Syberyi. Przyczyną zaś wydalenia jego, było podejrzenie o utrzymywanie stosunków z przestępcami politycznymi, więzionymi w fortecy Piotro-pawłowskiej.

P. Leontiew, mimo pewnej etykietałności i powściągliwości w słowach, wywarł na mnie wcale przyjemne wrażenie. Powróciwszy po półgodzinnej rozmowie do hotelu, przyznać musiałem, że gdyby wszyscy rewolucyoniści stali na równi z dwoma dopiero co po-

*) Monografia zamieszczona była w roczniku zachodnio-sybirskiego towarzystwa geograficznego.

znany, to dotychczasowa opinia moja o nich, po-
winnaby uległ zasadniczej zmianie.

Punkt o godzinie 8 wieczorem zapukaliśmy z pa-
nem Frostem do drzwi Łobonowskiego. Wpuszczono nas
i przyjęło najserdeczniej.

Lokal gościnnego naszego gospodarza składał się
z małego pokoiku, którego ściany były wytynkowane,
podłoga z zwykłych desek, nie zasłana kobiercem. Na
prawo od drzwi wchodowych stało skromnie zasłane
łóżko. W rogu pokoju, na trójkątnym stoliku między
innymi książkami leżało dzieło Herberta Spencera. »Roz-
prawy moralne, polityczne i estetyczne« i tegoż autora
»Zasady filozofji«. Przeciwny róg pokoju zajmowała
z desek zaimprovizowana etażerka, na półkach której
leżały przeróżne książki, zielnik z tekturowymi okład-
kami i Nowy testament w angielskim języku. Pomędzy
dwoma oknami stał wielki prosty stół drewniany, na
którym leżało rozwarte, właśnie co studyowane przez
pana Łobonowskiego dzieło Balfours'a »Zachowanie siły
czynnej«. Reszta umeblowania składała się z drewnia-
nych stołków. Wszystko to aczkolwiek utrzymane na-
der schludnie, świadczyło wymownie, że mieszkaniec
pokoiku z braku środków, zmuszony jest ograniczać się
na najniezbędniejszych sprzętach.

P. Łobonowski zadawał nam różne pytania, doty-
czące naszej podróży po Rossyi i nie tał zadowolenia,
jakie mu sprawiało przyjmowanie Amerykanów w swym
domu; zwracając się zaś ku mnie, rzekł z uśmiechem:

— W Ameryce słyszałeś pan niezawodnie wiele
straszných rzeczy o rossyjskich socyalistach?

— Tak jest — odpowiedziałem — to co słysza-
łem tam o was, streszcza się w słowach: walka na
bomby i mordercze zamachy; nic dziwnego przeto, żem
wytworzył sobie o was niepoehlebną opinią. W Ame-
ryce zwykliśmy rozumieć pod nihilistą człowieka w nic
niewierzącego, który zaprzysiągł zagładę wszelkim in-
stylucyom.

— Jeżeli już o to idzie, to nazwa nihilisty jest
terminem przestarzałym, nie dającym się z żadnych

względów zastosować do dzisiejszego stronnictwa rewolucyjnego w Rosyi. Powątpiewam bardzo, czy pan będziesz mógł między wygnańcami politycznymi w Syberyi odszukać nihilistę w ścisłym tego słowa znaczeniu. W partyi przeciwrządowej, są ludzie wszelkich możebnych poglądów politycznych, mało jednak takich, którzyby wierzyć mogli w tak zwany „teroryzm“, którzyby chcieli usprawiedliwiać morderstwo w celu wywrócenia rządu; wszakże nawet i terorystów zadaniem nie jest zagłada wszystkiego, co istnieje. Każdy z nich skłonny jest do złożenia broni, jeśli tylko car zechciał ustanowić rząd konstytucyjny, zapewnił wolność słowa, zniósł dowolne aresztowania, więzienia ludzi i wygnania. Spotkałeś się też pan gdzie z listem, wystosowanym przez rewolucjonistów rosyjskich do Aleksandra III. w czasie jego wstąpienia na tron?

— Nie — odrzekłem — lecz słyszałem o nim.

— List ten wyjawiał zamiary tudzież cele partyi rewolucyjnej, i zapewniał wyraźnie, że skoro tylko car zezwoli na wolność słowa i zaprowadzi narodowe ustawodawcze zgromadzenia, to rewolucyoniści wykreślą z swego programu wszelkie gwałtowne wystąpienia i uznają formę rządu, ustanowioną przez owo zgromadzenie. Wszakże ludziom poddającym się pod podobne warunki, nie można przypisywać dążności niszczenia wszystkich instytucyi. Panu najlepiej wiadomo — mówił dalej — że po zamordowaniu prezydenta Garfielda, „Goniec woli narodowej“ (organ rosyjskich rewolucjonistów w Genewie) na znak żalu i współczucia wyszedł z czarną obwódką, zaś we wstępnym wymownym artykule zaznaczono, że w państwie, mającym jawną procedurę sądową, wolność prasy i urzędników, wybranych wolą narodu, morderstwo polityczne niczem usprawiedliwionem być nie może.

— O tem wcale nie wiedziałem — odrzekłem.

— Tak jest — mówił dalej — morderstwo Garfielda uznano za zbrodnię polityczną i tak zawyrokowali najzgorzalsi nawet teroryści.

Tu rozmowa nasza przerwana została wejściem trzech młodych ludzi i pewnej damy, których to gości przedstawił mi p. Łobonowski jako swych przyjaciół na wygnaniu. Jeden z nich zdawał się być dziarskim, około 24 lat liczącym studentem, inni zaś robili wrażenie wykształconych włościan lub rzemieślników; były to typy czysto rossyjskie. Życie i wygnanie dało im się dobrze we znaki, a świadczyły o tem wymownie ich stroskane twarze. Przybyła dama, pani Dicheskula, widocznie zajmowała przedtem inne stanowisko w społeczeństwie. Była to osoba jeszcze młoda, żywego, gorącego temperamentu. Ciemne jej włosy opadały w miękkich pierścieniach na ramiona wyniosłej, smukłej i kształtnej kibici. W twarzy jej przebijała się inteligencya, chociaż piękne i wymowne rysy, zarówno jak i delikatna pleć uciertały od mrozów i poniewierki. Suknia z cienkiej, wełnianej tkaniny z oszyciem koronkowym około szyi i rękawów dodawała jej uroku. Zdawała mi się ona bardzo nawet poważną, a zwłaszcza gdy twarz jej ożywiała rozmowa. Całe jej zachowanie się świadczyło o starannem wychowaniu; daremnie starałem się dopatrzeć w niej choćby cienia zuchwalstwa, szorstkości lub pozowania na oryginalność, co uważałem dotychczas za niezbędne w każdej kobiecie, skazanej za przestępstwo polityczne na wygnanie. Mówiła płynnie i gładko, czasami nawet wspomnienia z podróży na Sybir wywoływały na jej twarzy wesoły uśmiech, i z prawdziwą werwą opowiadała nam o swych przygodach na stepach kirgizkich pomiędzy Akmolą i Siemipałatyńskiem. Była to natura ruchliwa a przytem głęboko czująca. Tak n. p. wydała się do głębi wzruszoną, wspominając nam o włościanach w Kamyszołowej, którzy w dowód szacunku i uznania dla wygnańców politycznych, stary dom etapowy najstaranniej wyczyścili, a cele więzienne przystroili zielonymi gałązkami. Około godziny 8. wniósł Łobonowski kipiący samowar, a pani Dicheskula zajęła się przygotowaniem herbaty. Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy przy wielkim stole, zajęci żywą rozmową,

której przedmiotem były ruchy rewolucyjne w Rosyi, system wygnania, literatura, sztuka. umiejętności i amerykańska polityka. Czas mijał szybko w tak miłym towarzystwie, zdawało nam się wszystkim, że znajomość nasza datuje się przynajmniej od wielu miesięcy, nie zaś od kilku godzin.

Zauważyć muszę, że ujął mnie nader ów umiarkowany i roztropny sposób, w jaki omawiano sprawy publiczne, kwestye rządowe i osobiste swoje poglądy. Opowiadano spokojnie, bez przesady, bez przymieszki goryczy. Zaden z wygnańców nie starał się zaskarbić naszej sympatii opisywaniem osobistych dolegliwości. Pani Dicheskula np. zaledwie zlekka napomknęła o swej własnej poniewierce, gorącymi słowy natomiast i z uniesieniem opowiadała o przyjacielskiem wystąpieniu włóścian w Kamyszolowej. A jednak miała słuszne powody do utyskiwania na swą dolę. Zaraz bowiem po aresztowaniu odzież jej tudzież rozmaite drobnostki stały się łupem policyi, trzymano ją bez żadnego sądu przez rok cały w więzieniu etapowem w Moskwie, skąd wysłano do jakiejś wsi, położonej w ziemi Akmołińskiej, a następnie przez stepy kirgizkie pognano do Siemipalatynska.

Przyjemna i ze wszechmiar zajmująca gawędka przeciągnęła się do godziny 11, poczem pożegnaliśmy towarzystwo, udając się na spoczynek do hotelu.

Nazajutrz pan Łobonowski, pani Dicheskula, pan Frost i ja przedsięwzięliśmy kilkumilową wycieczkę do lasku topolowego, położonego nad Irtyszem, gdzie latem w namiotach obozowało 6 do 8 wygnańców politycznych. Na murawie pod drzewami rozbity był jeden wielki namiot kirgizki z „wojłoku” (filcu) i kilka małych płóciennych. Mieszkańcami tych namiotów były młode kobiety i mężczyźni, szukający tu schronienia przed szalonymi upałami piaszczystego, ogołoczonego z drzewa miasta. Spotkałem tu dwie mniej więcej 17-letnie panienki, które na samem ukończeniu studiów wygnane zostały na Sybir. Jakaż to winna mogła ciężać na tych dziewczętach? Wszakże nie mogły one w żad-

nym kraju i pod żadnymi warunkami zakłócić porządku społecznego, ani też szkodzić rządowi. Zauważywszy też, bojaźń i zakłopotanie, jakim nabawiła te biedaczki moja obecność, — i rumieniec wstydu oblewający ich twarze, gdy je witał podaniem ręki; wówczas to, po raz pierwszy uczułem wzgardę dla rządu rosyjskiego.

— Gdybym ja był carem — odezwałem się do p. Frosta — i mając na skinienie całą armię wojskową i policyjną, lękał się dwóch małoletnich uczenic, i nie mógł zasnąć spokojnie, dopóki nie wygnam ich na Sybir, to wołałbym raczej abdykować na korzyść kogoś odważniejszego i silniejszego. Myśl, że tak potężny rząd jak rosyjski szuka środków bezpieczeństwa w odrywaniu dziewcząt od ich ogniska domowego i gonieniu ich po dzikich stepach azyatyckich, wydała mi się nie tylko śmieszną, ale nawet ohydną.

Spędziliśmy cały ten skwarny dzień w ocienionych namiotach. Podczas gdy pan Frost szkicował ołówkiem namioty, ja rozmawiałem z młodymi ludźmi, z których jeden czytając w oryginale Irvinga, dopytywał się mnie o Amerykę i z kolei opowiadał mi o Rosyi. Przed wieczorem wyruszyliśmy do miasta, udając się następnie do mieszkania p. Leontiewa, gdzie zastaliśmy resztę nieznaną nam dotąd wygnańców politycznych. Pokój, w którym nas przyjmowano, był nierównie większy i lepiej urządzony niż p. Łobonowskiego; zwrócił tu szczególniejszą moją uwagę, wiszący nad biurkiem gospodarza, portret Herberta Spencera. Towarzystwo składało się mniej więcej z 15 osób, włączając p. Łobonowskiego, panią Dicheskula, siostry Pryszedzkie i dr. Bogomolca, którego żonę z wyroku sądu wysłano do robót katorżnych w Karze.

Nie krępowani niczem, prowadziliśmy żywą i zajmującą rozmowę. Pan Leontiew, zaspakajając moją ciekawość, opowiadał mi o bibliotece w Siemipałatyńsku, która nie tylko oddawała wielkie usługi wygnańcom, ale nadto przyczyniła się do podniesienia poziomu umysłowego tuziemców.

— Korzystają z niej nawet Kirgizi — rzekł on. — Znam osobiście pewnego wiekowego już Kirgiza, który czytał Buckla, Milla i Drapera.

— Kirgiza w Siemipałatyńsku, czytającego Milla i Drapera! — zawołał pewien młody student.

— Tak! tak! — odrzekł pan Leontiew. — Przy pierwszym naszym spotkaniu wprowadził mię w podziw prośbą o wyjaśnienie mu różnicy pomiędzy indukcyą a dedukcyą.

— Sądysz więc pan, że rozumiał to wszystko, co czytał? — spytał student.

— Uderza mnie prawdziwie — zauważyłem z kolei — że z liczby książek, mieszczących się w tutejszej bibliotece, najwięcej wzbronione są dzieła angielskie i to naukowe, pomimo iż owe dzieła przechodziły już cenzurę rządową. Jak to sobie tłumaczyć, że książki raz już dozwolone się zakazanymi.

— Nasza cenzura — odpowiedział wygnaniec — jest bardzo kapryśną. Jak to sobie wyjaśnić, że n. p. »Bogactwo narodów« Adama Smitha zaliczono do dzieł zakazanych, podczas gdy niebezpieczniejsze od niego »Powstawanie gatunków« Darwina, cieszy się wolnością.

— Do spisu wzbronionych książek — odezwał się inny — wciągają nagłówki wszystkich książek znajdujących przez policję u politycznego przestępcy. Ponieważ »Bogactwo narodów« wpadło w ręce policyi w czasie odbytej rewizyi w mieszkaniu pewnego rewolucjonisty, zatem dzieło to musi być zaliczone do niebezpiecznych.

— Gdy mnie aresztowano, — zabrał głos p. Łobonowski — policja skonfiskowała znajdującą się u mnie wypożyczoną z biblioteki Historję Francyi. Urzędnik policyjny, przeglądając pobieżnie kartki tej książki, dostrzegł słowo »rewolucya« i ta okoliczność okazała się dostateczną do skonfiskowania owej książki. Daremnie usiłowałem go przekonać, że w dziele traktującym o dziejach narodu francuskiego musi być mowa

o francuskiej rewolucyi. Oprócz tej książki powlekli oni wtedy z sobą model maszyny parowej, skonstruowanej przez mojego młodszego brata twierdząc, że to maszyna piekielna, a rury jej — lunetami.

Rozpowiadano mi jeszcze z całą wesołością prze-różnego rodzaju anegdotki o policyi rossyjskiej, poczem skierowaliśmy rozmowę na inny poważniejszy przedmiot.

Zauważyłem, że młodzi ci ludzie posiadali więcej niż powierzchowną znajomość angielskiej i amerykańskiej literatury, a poglądy ich były bardzo racjonalne na historję amerykańską i tameczne instytucye. Omawialiśmy krytycznie tego wieczora Szekspira, Milla, Spencera, Buckla, Balfoura, Stewarta, Heinego, Hegla, Langa, Irvinga, Coopera, Longfellowa, Bret Harta i Becher Stowe. Wszystkim, zebranych tu młodym wygnańcom znanem było nazwisko nowo wybranego prezydenta, omawiali oni przez niego wprowadzoną reformę służby cywilnej, zadawali trafne zapytania o skutkach tej reformy, a ich dokładna świadomość spraw amerykańskich wprowadzała mnie w zdziwienie. Nigdy się nie spodziewałem spotkać tak kompetentnych ludzi po drugiej stronie Oceanu, a tem mniej w Syberyi.

Spóżywszy złożoną ze zwykłych potraw, lecz wyborną wieczerzę i wypiwszy kilka filiżanek wysmienitej karawanowej herbaty, wygnańcy odspiewali chórem parę smętnych pieśni narodowych, poczem i ja z p. Frostem wystąpiliśmy z pieśnią studencką, bojową, a nawet z muzyką murzyńską. Około północy pożegnaliśmy towarzystwo, udając się do hotelu.

Niepodobna mi jest tutaj podać, nawet w głównych zarysach, rozmowy mojej z politycznymi wygnańcami w Siemipatynsku, której przedmiotem był rząd rossyjski i ruch rewolucyjny w Rosyi. Wyraźnie zaznaczyć tu jednak muszę silne wrażenie, jakie na mnie sprawili ci oślawieni nihilści, o których słusznie utrzymywał p. Pawłowski, że w innych okolicznościach mogliby oni ojczyźnie swej oddać wielkie usługi. Tak się jednak nie dzieje, bo wydaleniem, pozbawiono ich możliwości zużytkowania dla dobra kraju

ich wiedzy, pracy, natchnionej miłością ojczyzny i ich cnót obywatelskich, a wszystkiemu temu winien rząd, który przywłaszczywszy sobie prawo działania w imieniu narodu rosyjskiego, stanął z duchem czasu w zupełnej sprzeczności.

18. czerwca zwiedziliśmy miejskie więzienia, pożegnaliśmy naszych przyjaciół i zaopatrując się nową „podorożną“, puściliśmy się trójką pocztową w góry Altajskie. Pasma dzikich gór, ku którym zmierzaliśmy, snuło się na wschód od Siemipalatynska na długość 500 km., zaś na południe w stronę Tomsku na 960 km.

Niemieccy naturaliści Finsch i Brehm dotarli w r. 1876 do samych kończyn tego pasma; szczyty śniegowe jednak gór Katunskich i Chuiskich zwiedzone zostały wyłącznie przez kilku tylko Rosyan.

Trzymając się prawego brzegu Irtysza przejechaliśmy dwieście wiorst po suchym, wyżółkłym stepie. Tylko w miejscach nadwodnionych rzeczulkami wypływającymi z Irtysza, przeżynaliśmy małe, żyzne doliny porośłe bujnie krzewami głogu, agrestu, porzeczek i innymi, pysznymi kwiaty. Osady kozackie przydrożne, nie odróżniały się od rozłożonych pomiędzy Omskiem i Siemipalatynskiem, zdradzały jednak dobrobyt mieszkańców. Jak tam tak i tutaj, ubiory nawet codzienne kobiet i dziewcząt świadczyły wymownie o zamożności Rosyan do jaskrawych kolorów. W dzień zaś niedzielny, gdy kozacy przywdziewają szaty świąteczne, błyszczą po ulicach czerwone, niebieskie i żółte stroje kobiet i mężczyzn: wówczas też, zasiadają oni rzędem pod cieniem swych strzech, gawędzą, dowcipkują, lub też puszczają się ochoczo w tany.

W miarę zbliżania się ku górcom Altajskim, uczuwaliliśmy stopniowo zwiększającą się ciepłość, a suchy, ze szczytów wypalony step, zdawał się w oczach naszych zmieniać w arabską lub północno-amerykańską pustynię. Termometr z dnia na dzień okazywał w cieple 90—103° F. Powietrze było duszne; w rozległą dal

biegnące oko, nie mogło dostrzedz nigdzie zielonego listka, ni żdźbła trawy; po nad wypaloną słonecznym żarem równiną unosiły się majestatycznie słupy piasku 100—150-stopowej wysokości; jednego i jedyne go tylko jeźdźca kirgizkiego zdołaliśmy zauważyć w odległości 8 kilometrów po tumanie kurzu, wydobywającym się z pod kopyt jego konia. Spieka dzienna i wzmagające się pragnienie dokuczały mi do niewytrzymania. Unikając żaru słonecznego, owinałem się w czworo złożoną wełnianą derką i nakryłem nogi duńską poduszką, co też w istocie mnie trochę ochłodziło. Siedząc jednak w tarantasie od strony słońca, uczułem się tak dalece wycieńczonym i cierpiącym, że musiałem prosić pana Frosta o zmianę miejsca.

Pewien oficer w Tomsku, opowiadając nam, że szalone upały na stepie irtyszkim prowadzą ludzi nie tylko w stan omdlenia, ale nawet przyprowadzają o śmierć, radził, byśmy podczas wielkich upałów nie puszczali się w drogę pomiędzy godziną 11 i 3 z południa. Myśl spotkania się w Syberyi ze śmiercią, nie była mi wcale do gustu; wyśmiałem więc owego doradcę, choć jak się okazało później, niesłusznie.

Na tym martwym stepie pod stacją Woroninskaja, gdy termometr wskazywał w cieniu 103° F., nawiedziła nas od strony południowo-zachodniej straszliwa, piaskowa burza. Gorący piasek i pył unoszone siłą gwałtownego wichru do wysokości 100 stóp, gęstym, duszącym obłokiem zasypywały wszystko przed nami. Przez całe dwie godziny, kłęby kurzu tamowały nam oddech, a gdyśmy dobili do stacji Czeremszańskiej, z twarzy naszych trudno było odgadnąć, czy jesteśmy Kirgizami czy też Amerykanami. Wypiłem duszkiem litr świeżego mleka, ale i to nie było w stanie zaspokoić dręczącego mnie pragnienia, zaś pan Frost dopiero po wychyleniu siedmiu szklanek mleka zdobył się na zrobienie uwagi: »Jeśli ktokolwiek nie zechce uwierzyć panu, że w Syberyi gorąco, to poszlij go do mnie«.

Przy stacji Mało-Krasnojarskaja, pozostawiliśmy za

sobą rzekę Irtysz. Po południu ukazały się nam zdala zgrupowane pagórki pasma Altajskiego i zaczęliśmy powolnie, stopniowo podjeżdżać do stacji altajskiej. Nazajutrz przed wieczorem przejeżdżaliśmy chłodne, wysoko nad poziomem leżące łąki górskie, zasłane przeważnie słodką trawą, dzwonkami i gwoździkami, podczas gdy świeżo pokryte śniegiem szczyty gór, piętrzyły się przed naszymi oczami.

To nagle przejście z gorącej, afrykańskiej pustyni Irtysza w zachwycający krajobraz szwajcarski, wpawiło mię w zdumienie. Zapytałem się sam siebie, czy te spalone, nagie, wyżółkłe i duszące żarem swym stepy przesuwały się we śnie przed moimi oczyma, i czy podobna zmiana dekoracyi w ciągu jednej doby, może mieć miejsce na jawie? Moje znużone stepem oko spotkało się tutaj z czarującymi swą pięknością widokami. Po lewej stronie gościńca snuły się wzgórza o łagodnych stokach, pokrytych mnogością kwiatów, co wszystko pod cieniem, wędrujących po niebiosach obłoków przepyszny przedstawiało obraz; z prawej zaś strony, tuż obok gościńca, występował łańcuch gór we wspaniałych pierwotnych swych kształtach z pokrytymi śniegiem szczytami, odgraniczonych szerokim pasem zieloniutkiego lasu

Gościńiec pocztowy snuł się po malowniczej, park przypominającej, dolinie ocienionej rozłożystymi konarami świerków; tu i ówdzie przeprawialiśmy się przez górskie, przejrzyste strumyki, wypływające kaskadami ze szczelin gór, to znów mknęliśmy po zielonych łąkach, upstrzonych fiołkami, gwoździkami i poziomkami. Po przebyciu około 4800 kilometrowej odległości suchym stepem, ta nagła zmiana krajobrazu wywarła na mnie porywające wrażenie. Około godziny 6. po południu wśród uroczej ciszy letniej w pobliżu stacji Altajskiej, zwanej przez Kirgizów Karaghai, spostrzegliśmy czarujący widok, który mi wiecznie stoi przed oczami. W zieleniejącej się, lesistej, umajonej różnobarwnem kwieciami dolinie, ugrupowały się malowniczo pstrokate namioty kirgizkie. Zwiedzałem góry Nikaraguanские

w Sierra-Newadzie, przejechałem wzdłuż i w szerz cały Kaukaz i Kamechatkę, spotykając się tam z cudownymi krajobrazami, ale z podobnie skończenie pięknym widokiem nie spotkałem się nigdzie.

Stanica kozacka, w której stała stacya pocztowa, liczy 70 do 80 domów mieszkalnych, tworzących kilka szerokich, schłodnie utrzymanych ulic; mała ta, na krańcach świata położona osada ma także swój właściwy powab, a zwłaszcza dla podróżnika, rozłączającego się z suchym, wyżółkłym stepem Irtyszkim. Przed każdym domem, a raczej dworkiem, znajdował się rodzaj małego ogródka obsadzonego brzozą, srebrną topolą i kwiatami. Przejrzyste, górskie strumienie podbiegały tuż pod domostwa.

Zewsząd dochodził uszu szmer i plusk wody; by jednak odczuć cały powab tej przyjemnej muzyki, należało wprzód znosić trudy całomiesięcznej, po wypalonym stepie podróży. Przeróżne rzeczki i rzeczułki zdają się z swej kolebki lodowej roznosić chłód właściwy szczytom gór. Termometr traci tu swoją powagę. Może on sobie wskazywać gorąco, wskazówkom jednak jego zaprzeczać będą wciąż i nieustannie wygłaszane pluskiem wód opowieści o śniegach i lodowcach, a gadała ten stary umie tak ukołysać zmysły, że siła wyobraźni gawędom jego uwierzy.

W czasie kilkodniowego wypoczynku naszego na stacyi altalskiej, zrobiliśmy wspólnie z komendantem rosyjskim i jego żoną wycieczkę w pobliskie góry, zwiedziliśmy i odfotografowali rozłożony pod wsią obóz kirgizki, tudzież zasięgnęli wiadomości o wschodniej partyi gór, będących celem następnej wycieczki.

W poniedziałek 27. czerwca zamierzaliśmy zrobić konną wycieczkę w góry katujskie czyli „Beilki“, najdziksze i najwyższe szczyty rosyjskich Altajów; że jednak w dniu tym przypadały imieniny kapitana Majewskiego, na które zostaliśmy przez solenizanta zaproszeni, odkładając przeto projektowaną wycieczkę w góry na później, udaliśmy się wspólnie z gośćmi p. Majewskiego na piknik, mający się odbyć u szypotu

Butarmy w odległości 16 wiorst od stacyi. W tej wycieczce brali udział państwo Majewscy z córką, ataman kozacki i jego żona, wygnaniec polityczny Zawaliszyn z swą żoną, tudzież kilka innych dam i oficerów. Orszak ten, pięknie ubranych pań i mężczyzn, konwojowany przez kilkunastu jeźdźców kirgizkich w pstrokatych „beszmetach” z srebrnymi pasami, ciągnąc się po zielonych altajskich, kwieciami umajonych błoniach, przedstawiał nader malowniczy obraz. Przybywszy na miejsce, zastaliśmy wszystko już gotowe, gdyż pan Majewski rankiem jeszcze, wysłał tam dwa namioty kirgizkie, kobierce, poduszki i zapasy wiktuałów; ognie obozowe płonęły żywo, a towarzystwo rozłożywszy się na kobiercach, pokrzepiało się pyszną, aromatyczną herbatą. Spożywszy wytwornie przyrządzony obiad, składający się z zupy, świeżo złowionej ryby, pieczonej na ogniu baraniny, ryżowego puddingu i posiomek, zabawialiśmy się zbieraniem roślin, łowieniem ryb, strzelaniem, łapaniem motyli, odgadywaniem zagadek i śpiewami. Piknik ten zaliczam do najpiękniejszych i najudatniejszych, w jakich uczestniczyłem, to też opuszczając wesołe towarzystwo, obaj z panem Frostem nosiliśmy się z myślą odłożenia wycieczki w góry katujskie przynajmniej na jaki tydzień.

Zanocowawszy w strażnicy kozackiej, igieltajskiej, składającej się z dwóch. nowo zbudowanych domów w dolinie buktarmskiej, w czwartek jechaliśmy przez malowniczą osadę Arul, zatrzymując się na stacyi kozackiej Berel, skąd już wprost mieliśmy podążać w góry. Zaopatrzeni w żywność na cały tydzień wyruszyliśmy z dwoma przewodnikami i pięcioma końmi kirgizkimi, wdrapując się przez całe dwie godziny na grzbiet góry po śliskiej, zygzakowatej kirgizkiej ścieżynie. Po krótkim wypoczynku w obozie kirgizkim na platformie, wzniesionej na wysokość 3000 stóp nad dnem doliny, przyciągnęliśmy u siodła popręgi, kierując się na północ ku dzikim góróm. Następnego popołudnia, po nader żmudnej i uciążliwej 30-wiorstowej jeździe, spuściliśmy się śliską, karkołomną ścieżką z wysokości około

3000 stóp, w dolinę ciepłych źródeł Rakmanowskich. Tu formalnie zamurowani dokoła wysokimi górami, rozlokowaliśmy się w dwóch opustoszałych domach, położonych nad małym, górskim jeziorkiem. Nazajutrz spadł tak gwałtowny deszcz, że o dalszej podróży i mowy być nie mogło. Słota z małymi tylko przerwami trwała przez całe dwie doby, dopiero trzeciego dnia zaczęło się wypogadzać; pokulbaczwszy natychmiast konie, ruszyliśmy w drogę.

Ostatnia 60-wiorstowa nasza podróż połączona była nie tylko z wielkimi przeszkodami, ale nadto narażała nas na niebezpieczeństwo życia, trzymając się bowiem górskich potoków, natrafialiśmy na strasznie ostre głazy, to znów na skaliste, głębokie przepaście. Drapaliśmy się po lodowcach, brnęliśmy po bagnach i przedzierali się przez dziką gęszcz leśną, zawałoną powywracanymi drzewami; czasami puszczaaliśmy się po tak oślizłych, stromych ścieżynach, że z trudnością przychodziło utrzymać się na siodle. Konie nasze ześlizgiwały się wciąż na czworakach, a kamienie usuwające się z pod ich kopyt, rozbijały się w przepaściach. Miałem już pewien zapas doświadczenia w podróżach górskich, przejechawszy konno całą Kamczatkę i po trzykroć Kaukaz, zwiedzałem nawet szczyt góry 12.000-stopowej wysokości, mimo tego wyznać muszę, że do tej karkołomnej wyprawy w dolinę źródeł Rakmanowskich wcale nie przystępowałem z ochotą. Podobną podróż można odbywać tylko na koniu kirgizkim, nigdy zaś i bezwarunkowo na innym. W ciągu całej tej drogi, raz tylko upadłem z koniem, jednak nieszkodliwie. Okolica, którą zwiedziliśmy, była zupełnie dziką, znaną zaledwie Kirgizom. Obsituje ona w dzikiego zwierza: — widzieliśmy też sybirskich łosi, wilków, dzikie owce i natrafiali na ślady niedźwiedzi. Nastraszyliśmy dzikie kozy, nastrzelali mnóstwo głąszców, kuropatw, kaczek, gęsi, orłów i żurawi. Bogatą jest także flora niższej doliny. Napotkać tu można wszędzie dzikie bratki w kilku odmianach i kolorach, gwoździki, spiree, róże herbaciane, stokrocie, niezapo-

minajki, róże alpejskie, pełnik, dziki mak i mnóstwo innych, nieznanych mi kwiatów niebywalej wielkości. Wiele też roślin uprawianych u nas, rośnie dziko w Altaju n. p. reumbarbarum czarne porzeczki, agrest, truskawki, poziomki, wisznie i brzoskwinie. Jagody w przeważnej części były dojrzałe, a porzeczki dorównywały wielkością uprawianym w ogrodach. Okolica dzikością i wspaniałością przewyższała kaukazką.

W sobotę 1. sierpnia dobiliśmy się pieszo do skalistego działu wodnego, odgradzającego nas od głównego łańcucha gór katuńskich, rozłożywszy się na nocleg w dolinie białego Berelu, którego źródłem jest stąd o mil kilka odległy lodowiec. Powietrze było chłodne; zapaliliśmy ognie obozowe, spędzając tę noc dość wygodnie.

W niedzielę wdrapaliśmy się na szczyt góry, wysokości 2.000 stóp, obserwując dziką dolinę katuńską, z której występuje najwyższy wierzchołek rosyjskich Altajów. Aczkolwiek obserwując pierwaj ów wierzchołek, przygotowany byłem na spotkanie się z wspaniałym widokiem, to jednakże ten, który się obecnie przedstawił moim oczom, przechodził tak dalece wszelkie moje oczekiwania, że w istocie jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie przechodzi mnie mrowie. Nie był to widok piękny, ani też wspaniały, ale przerażający swą majestatyczną grozą. Wązka dolina katuńska, rozciągająca się pod naszymi stopami, miała głębokości 2—3000 stóp: z przeciwej strony piętrzył się po nad naszymi głowami potężny łańcuch gór katuńskich, z którego wystrzela ku niebiosom najwyższy śniegiem pokryty wierzchołek. *)

Skorupa lodowa pokrywająca ten wierzchołek, gdzie nigdzie tylko pokryta była czerniącymi się zdala szczelinami lub też poprzieszwana sterczącymi, igla-

*) Podług mego zdania góra ta sięga do wysokości 15.000 stóp po nad poziom morza; p. Majewski podnosi tę cyfrę do 18.000 stóp. Góra ta, dotychczas nie była przez nikogo jeszcze zwiedzana, ani też wymierzona; nawet wysokość podnóża jej nie jest wiadomą.

stymi skałami. Do ścian wierzchołka przytuliło się siedm ogromnych lodowców, z których największy o licznych odnogach, zagnieżdżony w skalistym rozszczępie, spuszczał się przynajmniej na jakie 4.000 stóp ku dołowi. Inne dwa lodowce, stanowiły masy lodowe zwieszone prostopadłe na jakie 1.500 stóp ku dołowi. Jeden z tych olbrzymich sopli wyrzucał z siebie mnóstwo wody, która spadając srebrzystym, około 800 stóp wysokim słupem, z hukiem i gwałtem wdzierała się w wąską szczelinę, sterczącej w dole skały. Ostatni lodowiec przecinały w kierunku podłużnym trzy moreny, wydające się zdala wązkimi smużkami żużla lub miałkiego węgla, w rzeczywistości zaś składały się one z brył kamiennych, poczynając od wielkości głowy ludzkiej, do wozu ładownego; moreny te, mające do 300 stóp szerokości a 50 do 75 wysokości, zalegały powierzchnię lodowca na długość 6 do 7 km. Zewnątrz cyple dwóch najwyższych wierzchołków spowijały obłoki, co potęgowało dziką wspaniałość krajobrazu, zdawało się bowiem, jakby owe lodowce, spadające z nadpowietrznych krain, przebiegały się przez chmury. O uszy nasze odbijał się wciąż szum, wdzierającego się w szczelinę wodospadu, głośniejszy od czasu do czasu hukiem odrywających się brył lodowych. Oko wprawdzie nasze nie mogło dostrzedz żadnego ruchu, ale ciągłe trzeszczenie i dudnienie staczających się mas, świadczyło o olbrzymich ze sobą zapasach sił przyrody.

Podziwiając dość długo wspaniałość górskiej krainy, spojrzeliśmy w dolinę dla przeświadczenia się, czy zdolamy dostać się pieszo do głównego lodowca katuńskiego. Pan Frost, który zamiar ten uważał za niemożliwy do wykonania, zniecierpliwiony moją naradą z przewodnikiem oznajmił, że każdy powinien wiedzieć, iż pod stopami naszymi nieprzebyta przepaść, i jeżeli by nawet koniom udało się spuścić w dół, to pod żadnym pozorem nie wydrapią się na górę. Jestto istotnem szaleństwem myśleć o czemś podobnem. Co do mnie, to przekonawszy się niejednokrotnie w ciągu

tej podróży o niesłychanej zręczności koni kirgizkich w drapaniu się po skałach, zjazd z góry uważałem jako niebezpieczny, jednakże możliwy. Podczas gdyśmy oba omawiali ową kwestję zjazdu, nasz przewodnik pokusił się o rozwiązanie jej sposobem praktycznym. Z początku zniknął on zupełnie nam z przed oczu, a tylko od czasu do czasu dochodził nas trzask strąconego w przepaść kopytem końskim kamienia. Nagle, przewodnik ukazując się na skalistym występie, przynajmniej jakie 600 stóp pod naszymi stopami zawołał radośnie: chodźcie panowie! chodźcie! to bagatelka; tu można zjechać z całym wozem! Dość było spojrzeć w przepaść, by doznać zawrotu głowy; teraz też i ten zjazd w dół wydał mi się trochę zagadkowym. Bądź jakbądź, zachęta przewodnika miała ten skutek, że p. Frost wzięwszy konia za cugle, z całą przezornością sprowadzał go gzygzakiem na dół, podczas gdy ja postępowałem ślad w ślad za przewodnikiem. Na skalistym występie, przewodnik przyciągnął koniowi tak mocno popręg, że zwierzę aż jęknęło. Czułem się pewniejszym na koniu, niż prowadząc go w rękę, w tym bowiem ostatnim razie, lada jaki kamień, wymykający się z pod kopyta końskiego, godząc mnie w nogę, zagrażał upadkiem w przepaść. Zjazd z góry, początkowo połączony był z wielkimi trudnościami. Niepodobieństwem prawie było utrzymać się na siodle; to też raz omałem nie przeskoczył koniowi przez głowę. Wreszcie dostaliśmy się z mozołem na stromą pochyłość pokrytą trawą, z której występował głąz, wydający się zdala jakąś kobietą olbrzymem. Odpocząwszy tu chwilę, spuściliśmy się z wielkim mozołem, jednakże bez wypadku, w dolinę katuńską. W miarę zbliżania się ku stopom gór, przekonywałem się coraz to dotykajniej, o ile oko ludzkie mylić może w ocenianiu wielkości przedmiotów obserwowanych z różnych punktów widzenia. Tak n. p. okazało się, że Katun, wydający się nam z wysokości wazką, brudno-białą wstążeczką, którą mogło przeskoczyć lada jakie dziecko, był w istocie potokiem, mającym od 30 do 40 stóp szerokości i do-

statecznie głębokim, by pochłoniął w swych nurtach jeźdźca z koniem. Lodowiec główny, zdający mi się zdala nie więcej nad 300 stóp szerokim, miał w istocie przynajmniej 800 metrów szerokości; środkowa morena, która przedstawiała się oczom naszym wąską smużką ciemno zabarwionego piasku, okazała się obecnie zbiorom olbrzymich brył kamiennych; miała ona 3—400 stóp szerokości, a 6 km. długości. Pan Frost oceniał szerokość lodowca na 1000 metrów, zaś wysokość moreny na 100 m.

Obciążony aparatem fotograficznym, wdrapywałem się przynajmniej przez jakie 1½ godziny na środkową morenę, i zbliżyłem się do głównego pola lodowego na odległość jakich trzech km. Musiałem przeszukiwać mnóstwo szczelin, w które wciskały się gwałtownie gnane z lodowców wodospady; dla wymiarowania głębokości, rzucałem w szczeliny kamienie, oceniając ją przynajmniej na 100 stóp. Był to z kolei jedenasty lodowiec, dostrzeżony, przez nas z wierzchołka gór oddzielających Irtysz od Obu.

Zdjąwszy fotografie i szkice okolicy, umęczeni długotrwałym wdzieraniem się na skały, wróciliśmy wieczorem do białego Berelu. Noc z 2 na 3 sierpnia była jeszcze chłodniejsza od poprzedniej. W kociołku naszym herbacianym zamarzła woda, a moje wełniane koldry i poduszki obficie pokryte były szronem.

W piątek zrobiliśmy jeszcze jedną wycieczkę na wierzchołek grzbietu góry, z którego roztaczał się widok na dolinę katuńską. Fotografie zdjęte przy pomocy naszego małego aparaciku są nader małe, i nie wydają się właściwie tym kolosom wspaniałości i majestatu; dla nas jednakże i te wizerunekczki czarującej swą pięknnością górskiej krainy, będą zawsze miłą pamiątką.

W poniedziałek powróciliśmy do ciepłych źródeł Rakmanowskich, a 5 sierpnia, po dziesięciodniowej nieobecności, znaleźliśmy się znów na stacyi altajskiej.

V.

Wygnanie porządkiem administracyjnym.

W notatkach moich o Syberyi, mało już jest równie miłych wspomnień jak te, które wyniosłem z pobytu w Altaju. Przeglądając też kartki, zapisane moją ręką na stacyi altajskiej dnia 5 sierpnia 1835 r., tak żywo występują mi w pamięci owe malownicze osady kozackie, że gdy zmrużę oczy, zdaje się wciąż, jakbym wsłuchiwał się w melodyjne gwary i pluski przejrzystych potoków, że patrzę na umajone kwieciami podnóża gór i śniegowe ich szczyty, i oddycham orzeźwiającem, balsamicznem powietrzem zieleniejących się łąk. Gdybyśmy podróżowali po Syberyi dla samej tylko przyjemności, to z pewnością całe lato spędzilibyśmy na stacyi altajskiej, gdyż w całej Syberyi, zarówno jak w innych krajach, nie spotkalibyśmy się z powabniejszą i rozkoszniejszą miejscowością. Powietrze górskie było tak balsamiczne i ożywcze, jakby składało się z ozonu i oddechu kwiecia. Flora górską przykuwała nas swą bujnością i pięknnością *); rzeczułki i strumienie przepełnione były rybami; wprawny strzelec każdego czasu mógł nabić w leśnej kniei do syta dzikich kóz, niedźwiedzi, wilków, lisów i łosi; oddział kirgizkich jeźdźców był gotowy na każde nasze żądanie eskortować nas do mongolskiej granicy, do cudownego

*) Zielnik, przywieziony przezemnie z Altaju, zawiera około 1000 egzemplarzy roślin z kwiatami.

jeziora Marka Kula, lub też w dzikie wąwozy chińskich Altaji, — a gościnny komenant, kapitan Majewski, starał się uprzyjemnić nasz pobyt obmyślaniem przeróżnych wycieczek.

Głównym celem obecnej naszej podróży był Tomsk, odległy o 1.200 wiorst od stacyi altajskiej; wypadało nam tedy znanym już gościńcem dojechać do stacyi w Pionojarowsku. skąd w kierunku północnym zdażyć do kopalni aleksandrowskich i miasta Barna-ulu. Przy trakcie naszym leżały dwie osady zamieszkałe przez politycznych wygnańców; Ulbińsk odległy o 200 km. od stacyi altajskiej, i Uść-kamienogorsk. Każdej z tych osad postanowiliśmy część czasu poświęcić.

W czwartek 6 sierpnia wypakowaliśmy nasz tarantas; zamówili konie pocztowe; pośniadali po raz ostatni z p. Majewskim i jego małżonką — dzięki dobroci której i serdecznej uprzejmości czuliśmy się tu jak w domu rodzinnym, — i spełniwszy toast za zdrowie wszystkich naszych znajomych w Altaju, tudzież strzemienne, pożegnaliśmy góry, kierując się w dół Irtysza. Podróż nasza przez dolinę Bukarmską i znane już stepy Irtyszskie mało przedstawiała zajęcia. Jak poprzednio tak i teraz roztaczał się przed naszymi oczami nagi wypalony step. W piątek około godziny 6 po południu dojechaliśmy do Buktarmy. Tu Irtysz przerzyna odnoże pasma altajskiego, zaś gościniec Uść-kamienogórski zbaczając od rzeki, zwraca się w góry. Koni pocztowych nie można było dostać, zanosilo się na burzę, a długotrwałe ulewy tak dalece popsuky gościniec, że żaden włościanin nie miał chęci ofiarowania swych koni za pieniądze, zwłaszcza do ciężkiego naszego tarantasu i w tak złą pogodę. Dopiero przy pomocy pocztmistrza udało się nam wynająć cztery konie do Aleksandrowska. Ruszyliśmy ze stacyi, żałując wkrótce, że whrew dobrej radzie naszego woźnicy nie zanocowaliśmy w Buktarmie, gdyż w połowie drogi zaskoczyła nas ulewa z grzmotami i błyskawicami. Wśród nocnych ciemności zbaczaliśmy kilkakrotnie

z gościńca, aż wreszcie wywróciliśmy się z tarantasem w głęboki rów. przepełniony ściekającą z drogi wodą. Woźnica kłął, wymyślał, bijąc zmęczone konie, podczas gdy ja z p. Frostem rozglądawszy miejsce katastrofy przy świetle zapalonej wiązki siana, wzięliśmy się do podnoszenia wywróconego tarantasu. Wszystkie jednak wysilenia nasze okazały się daremne, tarantas tak głęboko zagrzezał w błocie, że nie można go było wydzwignąć i dopiero nadjeżdżający z Buktarmy pocztylion zdołał nas z tej biedy wyprowadzić. Mając jednak lekko wyładowaną telegę, wyminął nas i pozostawiając własnemu losowi, zniknął w nocnych ciemnościach. Nie pozostawało nic innego, jak samemu brnąć pieszo przed końmi i chustką od nosa wskazywać woźnicy kierunek drogi. Ta atoli pielgrzymka tak dalece mnie znużyła, że zdając się na wolę opatrzości, przemoczony do koszuli i zabłocony po uszy, siadłem znów do tarantasu, ale niestety nie na długo, gdyż w ciągu niespełna kwadransu leżeliśmy powtórnie w rowie. Teraz, przekonawszy się przy pomocy zmysłu dotyku o rozpaczliwem naszym położeniu, wysłaliśmy woźnicę po pomoc. szukając schronienia przed deszczem w tarantasie. Dochodziła godzina jedenasta; wiatr uciął trochę, deszcz jednak padał nieustannie, tylko błyskawice od czasu do czasu rozświecały ciemności nocne. Zziębnięci, zgłodniaли i jak najgorzej usposobieni, w milczeniu siedzieliśmy w tarantasie oczekując ranka. Niezadługo pojawił się nasz woźnica z kozakami z Aleksandrowska opatrzonymi w drągi i latarnie, dzięki której to pomocy tarantas nasz stanął na kołach.

Na stacyi w Aleksandrowsku napiliśmy się herbaty i przedrzymawszy się trochę, ruszyliśmy stąd w ośm koni i z trzema pocztylionami. Droga z Aleksandrowska do Siewiernej prowadzi początkowo z jakie 9.—10 km. wciąż pod górę, następnie snując się po grzbietach gór, opuszcza się głębokim wąwozem w dolinę ulbińską, roztaczającą się po sam Uść-kamienogórszk. Podgórze te altajskie nie są wysokie, lecz ma-

lownicze, pogrupowane i poprzegradzane nader pięknymi dolinami i wąwozami.

Złe drogi i górzyste okolice opóźniły naszą podróż, a chociaż zaprzęgano nam po 5 a nawet 8 koni, to jednak na przebycie 30 kilometrowej przestrzeni z Siewiernej do Ulbińska zużyliśmy aż 10 godzin czasu. Dla urozmaicenia tej nudnej drogi szliśmy pód górę pieszo, rozglądając okolicę i zrywając łąkowe kwiaty, którymi zdobiliśmy nasz tarantas. W sobotę na samym zachodzie słońca, zjechaliśmy żywo wąwozem w dolinę Ulmy, zatrzymując się na stacyi pocztowej, gdzie wkrótce posililiśmy się mlekiem, chlebem i malinami.

W liczbie politycznych wygnańców osiedlonych w Ulbińsku byli: Aleksander Blok, słuchacz prawa z Saratowa nad Wołgą; Apolo Karelin syn znanego fotografa z Niżnego-Nowogrodu; Seweryn Gross, słuchacz prawa z Grodna i Dr. Witert lekarz z Warszawy. Panu Karelinowi towarzyszyła na wygnaniu jego małżonka, reszta o ile mi wiadomo, byli to ludzie bezżenni. Ponieważ zamieszkali tu osiedleńcy polityczni zostali mi poleceni przez swych współtowarzyszy siemipalałyńskich, postanowiłem tedy zapoznać się z nimi bliżej. Zaliczając jednakże tych pierwszych, ze względu na ich wysokie wykształcenie do szczególnych tylko wyjątków, nie rozstawałem się z myślą spotkania między tutejszymi wygnańcami takich osobistości, któreby w istocie mogły odpowiedzieć urobionemu przezemnie typowi nihilisty.

W jaką godzinę po naszym przyjeździe, pp. Blok i Gross pospieszyli przedstawić się nam osobiście. Ten pierwszy zjednał sobie na wstępie najzupełniejszą moją sympatyę. Był to 26—28 lat liczący mężczyzna, średniego wzrostu, atletycznej budowy ciała, z ciemnymi oczami i włosami; oblicze jego promieniejące jakimś wyższym nastrojem duchowym, nosiło wyraz dzielności i wzbudzającej szacunek powagi. Jednem słowem p. Blok należał do liczby tych ludzi, którzy od pierwszego wejrzenia zdobywają sobie zupełne zaufanie. Marek Aureliusz wyraża się swym prostym sty-

lem: »dobrego człowieka można poznać w pierwszej chwili, podobnie jak cuchnącego po brzydkim odorze; chcesz lub nie chcesz, a poczujesz go zbliżać.« P. Blok też, przebijającą się w jego twarzy szczerością, dobrocią i otwartością zjednał sobie zrazu zupełne moje uznanie i sympatyę. P. Gross, było przystojny, około 30-letni mężczyzna z czarnym zarostem i wąsami, o bardzo kształtnych rysach twarzy. Wymowę miał dźwięczną, płynną; przyczem charakteryzowała go przywyczka otwierania szeroko oczu, gdy rozmowa dotyczyła żywo go obchodzącego przedmiotu. — Obadwaj ci młodzi ludzie taktownem swem wzięciem się, robili wrażenie profesorów. Obaj też byli wykształceni, władali dobrze językiem francuskim, zaś pan Blok obeznany był także z angielskim. Obecując zaledwie godzinę z tymi panami, przekonałem się, że nieustępują oni pod względem wykształcenia wygnańcom siemipalańskim. Należało mi więc w odleglejszej niż Ulbińsk okolicy doszukiwać się urobionego moimi pojęciami typu »nihilisty«.

Rozmawialiśmy na stacyi pocztowej do godziny 9, poczem na życzenie p. Grossa udaliśmy się w odwiedzinę do reszty osiedlonych w tej osadzie wygnańców. Zamieszkiwali oni domy drewniane, mocno zbudowane, które wynajmowali od kozaków; całe otoczenie świadczyło, że ci młodzi ludzie zmuszeni są ograniczać się na zaspakajaniu koniecznych tylko potrzeb życia; wszystko to znosili z godną naśladowania rezygnacją. Nie przypominam sobie, ażeby który z nich jakimkolwiek bładz wyrzekaniem lub skargą starał się o zdobycie naszej sympatyi. Umieli oni panować nad sobą i cierpieć z całą godnością. Wszyscy zdawali się cieszyć dobrem zdrowiem, wyjąwszy pani Karelinowej i Dra Witerta, steranego do ostatka 10-letniem więzieniem i trzykrotnem już z rzędu wygnaniem. Według mego zdania, rząd rosyjski, wydarłszy D-rowi Witertowi zdrowie i szczęście, obecnie mógł by być o niego zupełnie już spokojnym i uwolnić go z pod swej opieki. Mimo 45 lat wydał

mi się on zupełnie złamanym na zdrowiu, chodził o kij, cierpiąc nieustannie na reumatyzm, którego nabawił się w wilgotnej celi więziennej. Dr. Witert gruntownem swem i wszechstronnem wykształceniem przewyższał — jak się zdawało — wszystkich znanych mi wygnańców politycznych w zachodniej Syberyi. Od niego to pierwszego dowiedziałem się szczegółów, towarzyszących śmierci generała Granta. Rozmawialiśmy długo o Stanach zjednoczonych, w czasie której rozmowy zadawał mi on różne zapytania o wojnie mieszczańskiej, o zaprowadzonych już po tej wojnie ulepszeniach, o polityczno-cywilnej reformie prezydenta Clevelanda, co wszystko dowodziło gruntownej jego znajomości ustroju wewnętrznego Stanów zjednoczonych. Mimo szczupłutkich środków, jakimi mogli rozporządzać wygnańcy, u każdego widziałem stolik do pisania i czasopisma, jak to: »Revue des deux Mondes« tudzież »Russkij Wiestnik«; w domu zaś p. Bloka mieściła się biblioteczka, w której oprócz wybornych dzieł rosyjskich znajdowały się i obce. jako to: »Poezye Longfellowa«; »Stare prawo« i »Gminy wiejskie« Maina, »Logika« Baina, »Ekonomia narodowa« Mille, »Historya racjonalizmu« (obcięta przez cenzurę rosyjską) Leckysa. »Zasady socyologii« Spencera, »Historya Stanów zjednoczonych« Labouley'a i wiele innych dzieł francuskich i niemieckich, traktujących o juresprudencji i ekonomji narodowej. Zbyteczną była by uwaga, że ludzie studyujący podobne dzieła i wożący je z sobą wśród takiej poniewierki, nie mogą być dzikimi fanatykami, ani też nieukami oderwanymi od warsztatów, jak to się wyraził o nich pewien oficer rosyjski — ale ludźmi myślącymi, poważnymi i wykształconymi. Jestto więc bardzo niekorzystnie dla państwa, że ludzie tacy zamiast służyć krajowi, zmuszeni są z łaski rządu poniewierać się po sybirskich pustkowiach.

Wygnańcy polityczni, z którymi przepędziliśmy w Ulbińsku całą prawie dobę, tak żywe obudzili we mnie zajęcie, że gorącem mojem życzeniem było, przemieszać tu chociaż jaki tydzień. Niestety jednak, brakło

czasu, którego zabrała już tyle wycieczka w góry katuńskie, a że postanowiliśmy sobie koniecznie zwiedzić przed nadejściem zimy kopalnie wschodnio-sybirskie, przeto wypadało jechać dalej. W niedzielę tedy po południu opuściliśmy Ulbińsk i w towarzystwie odprowadzających nas konno do przewozu na Ulbie pp. Bloka i Grossa skierował śmy się ku Uść-kamienogórsku. Na brzegu rzeki obaj panowie, pożegnawszy nas najserdeczniej, i prosząc byśmy po powrocie do «wolnego i szczęśliwego kraju» zatrzymali ich w swej pamięci, dosiedli koni i stojąc w milczeniu nad brzegiem, oczekiwali naszej przeprawy na drugą stronę rzeki. Teraz dopiero powiewając chustkami i podrzucając w górę czapki, żegnali nas, póki gęstwiny leśne nie rozdzieliły nas wzajemnie. Jeżeli kartki niniejsze dojdą kiedy rąk waszych, osamotnieni wygnańcy w Ulbińsku, to najwymowniej świadczyć one będą, że nie tylko nosimy Was w swej pamięci, ale nadto wspominamy o Was z prawdziwą życzliwością i szacunkiem.

W niedzielę już o zmroku przybyliśmy do Uść-kamienogórska. Miasto to liczące 5.000 mieszkańców, a 600 do 800 domów drewnianych, leży przy ujściu Ulmy do Irtysza, w ogołoconej zupełnie z drzew dolinie. Oprócz dwóch tatarskich meczetów i trzech cerkwi prawosławnych z pstrokatymi, cynkiem pokrytymi kopułami, stoi tu na placu okopanym głębokim rowem, — ostróg. — Okrągło-wieżate minarety, mułowie w białych zawojach, jeźdźcy kirgizcy harcujący po ulicach, muezinie, nawołujący z wieży na modlitwę wiernych, wreszcie kroczące poważnie dwugarbne wielbłądy, wszystko to nadaje temu miastu cechę wschodnią. To też jak w Siemipalatynsku zdawało nam się, że podróżujemy nie po Syberyi, lecz po środkowej Azji lub też północnej Afryce.

Zaledwie rozgościliśmy się na stacyi pocztowej, gdy z prawdziwym zdumieniem w otwierających się drzwiach, zoczyliśmy p. Grossa, który rankiem jeszcze przybywszy do Uść-kamienogórska, oczekiwał tu nas niecierpliwie. Niebawem wszedł pocztmistrz, zwiastując

nam wizytę jakiegoś oficera, a w ślad za nim pojawił się zapowiadziany gość. Wszystko to w pierwszej chwili nabawiło mnie kłopotem; nie mając bowiem czasu rozpytania się o stosunkach p. Grossa do władz tutejszych, przypuszczać mogłem, że ów nieznany oficer zechce się obejść z moim gościem jako z wygnańcem politycznym w sposób, przeciw któremu będę zmuszony protestować. Obawy jednak moje okazały się płonne. Oficer ów kozacki, p. Sachajtanow, człowiek dobrze wychowany, nie kierując się bynajmniej nieprzychylnem usposobieniem względem wygnańców politycznych, powitał przedstawionego mu przezemnie p. Grossa grzecznym ukłonem, a po upływie zaledwie kilku minut, obaj panowie prowadzili ze sobą żywą rozmowę o pszczelnictwie, jedwabnictwie i uprawie tytoniu. P. Sachajtanow przeświadczywszy się szeregiem prób o świetnych rezultatach, jakie przynieść może w tej okolicy uprawa tytoniu i drzew morwowych, zamierzał w przyszłym roku sprowadzić poczwarki jedwabnicze, lichey zaś tytoń tutejszy zastąpić przednimi gatunkami amerykańskiego. Pożegnani przez p. Sachajtanowa udaliśmy się z p. Grossem w odwiedziny do osiedlonych tu wygnańców, którzy uwiadomieni o naszym przybyciu, oczekiwali nas w liczbie 15 u jednego z swych towarzyszy, mieszkającego w środku miasta. Zdaje mi się zbyt cieżko podawanie szczegółowego opisu tych wszystkich wygnańców politycznych, z którymi zaznajomiłem się w czasie mojej podróży po krainach sybirskich, chciałbym jednakże choć ogólne czytelnikowi dać o nich pojęcie i podzielić się z nim wyniesionem stąd wrażeniem. Gromy wygnańców ulbińskich zdawało mi się być więcej jednolitem niż uśc-kamienogórskich, w skład którego wchodziły osoby, należące do różnych warstw społecznych. W szeregu tutejszych wygnańców, krańcowymi wyrazami którego byli włościanin-rzemieślnik i pewna księżniczka kaukazka, mieścili się pośrodku lekarze, aptekarze, dziennikarze, literaci, studenci i właściciele majątków ziemskich. Przeważnie była to szlachta lub uprzywi-

lejewani; nie brak było kobiet i mężczyzn wysoko wykształconych. Między innymi poznałem tu bliżej pp. Konowałowa *), władającego językiem angielskim, Milinczuka z Tyflisu. Bielowieżskiego pisarza i dziennikarza z Połtawy. Ten ostatni wydawał mi się człowiekiem bardzo uzdolnionym, poglądy jego na rzecz były szerokie i bezstronne. Posiadał on gruntowną znajomość rosyjskiej historyi i jurisprudeneyi, przestudowywał na wskroś całą historję literatury narodów wschodnich; dołą swą wygnańczą znosił z odwagą i rezygnacyą, chociaż jako zwolennik Schopenhauera, zdawał mi się być trochę pesymistą. Rozmawialiśmy dość długo o sprawach bieżących rosyjskich, a jego bezstronne zapatrywanie się na ruchy rewolucyjne i ucisk rządowy sprawiły na mnie jak najlepsze wrażenie. Jego sposób przedstawienia rzeczy był wolny od wszelkiej przesady lub uprzedzeń, a sprawiedliwy i bezstronny jego wyrok przynosił zaszczyt sędziemu. Zaznaczać podobnego człowieka znamieniem »nihilisty« dowodzi głupoty, zaś wydalanie go na Sybir, jako członka szkodliwego dla swojego społeczeństwa, wydaje się prawdziwie wstrętne. W każdym innym cywilizowanym kraju, człowieka takiego nie uznawanoby rewolucjonistą, lecz bardzo umiarkowanym liberałem. Kamienogórszk był ostatnią osadą, zamieszkałą przez politycznych wygnańców, z jaką spotkaliśmy się w krajach stepowych.

Przerwę tu na chwilę dalszy opis naszej podróży, by poznać czytelnika choć pobieżnie z wygnaniem »porządkiem administracyjnym«. Otóż pod tą nazwą należy rozumieć przymusowe przesiedlenie każdego mieszkańca Rosyi, podejrzanego o nieprzychylnosc rządowi, z jednej gubernii państwa do innej. Przesiedlenie to odbywa się doraźnie, bez śledztwa, sądu i zachowania jakichkolwiek bądź formalności praktykowanych w krajach cywilizowanych. Wygnaniec może

*) W sześć miesięcy po wyjeździe naszym z Uśc-kamienogórska, pan Konowałow dopuścił się samobójstwa.

być zupełnie niewinnym, mógł on niedopuszczyć się żadnego wykroczenia przeciw prawu, a jednym, jedynym powodem wydalenia jest uznanie obecności jego przez władze miejscowe za »szkodliwą dla porządku publicznego«. Na mocy też rozporządzenia wydanego przez władze policyjne i zaopatrzonego podpisem ministra spraw wewnętrznych, każdy bezwarunkowo mieszkaniec państwa może być doraźnie, na ciąg lat pięciu, przerzuconym na sam kraniec Rossyi. Zdarza się często, że sam wygnaniec nie wie i nie domyśla się nawet, za co go wydano. Czując się niewinnym, chce się wykazać przed rządem z swej »nieszkodliwości dla porządku publicznego«, jednakże uczynić tego nie może, bo powoływaniem się na świadectwa krewnych i przyjaciół, ściągnąłby na nich samych podejrzenie rządu. Pozbawiony on jest prawa oddania swej sprawy na drogę sądową: prasa dla niego jest zamkniętą: jego stosunki z ludźmi i światem nagle się zrywają, tak, że najbliższej mu pokrewne osoby nic się o nim dowiedzieć nie mogą, widzi się ogołoconym naraz ze wszystkich środków obrony.

Chcąc bliżej poznać czytelnika ze sposobem postępowania rządu z osobami »szkodliwymi dla porządku publicznego« ograniczę się na przytoczeniu, z pomiędzy wielu mi znanych, dwóch następujących wypadków:

Pan Konstanty Stanjukowicz, syn admirała floty rosyjskiej, towarzyszący przed laty wielkiemu księciu Aleksemu w podróży jego do Stanów zjednoczonych, jako oficer marynarki miał wcale świetną przed sobą karierę. Będąc jednakże człowiekiem wolnomyslnym, wystąpił ze służby wojskowej i poświęcił się literaturze. W początku 1880 r. Stanjukowicz został właścicielem i wydawcą znanego czasopisma rosyjskiego »Dielo«. W 1884 r. wyjechał z rodziną swą za granicę i po zostawieniu w Baden-Baden żonę z dziećmi, powracał sam do Petersburga, atoli na granicy rosyjskiej w Wierzbołowie aresztowano go i następnie uwięziono w fortecy Piotro-pawłowskiej w Petersburgu. Zaniepo-

kojona długotrwałem milczeniem męża, pani Stanjukowicz odwołała się telegraficznie do redakcyi »Dziela«, skąd odpowiedziano jej, że pana S. dotychczas jeszcze nie widziano w Petersburgu, a więc prawdopodobnie bawi jeszcze w Baden-Baden. Strwożona tą odpowiedzią kobieta, spieszy z dziećmi do Petersburga, ale i tu także o doli swego męża nic się dowiedzieć nie może. Żaden z przyjaciół nie oglądał go w ciągu ostatnich dni czternastu: zaginał jak kamień pod wodą. Idąc za radą przyjaciół, zwraca się pani Stanjukowicz do generała żandarmeryi Orzewskiego i dowiaduje się od niego, że mąż jej uwięziony w fortecy Piotro-pawłowskiej. Powodem aresztowania posłużyła przejęta przez policję korespondencya p. Stanjukowicza z pewnym znanym, zamieszkującym w Szwajcaryi rossyjskim rewolucyonistą. Rzeczona korespondencya dotyczyła wyłącznie dodatku do »Dziela«, tem niemniej jednak. sam fakt podtrzymywania stosunków z emigrantem rewolucyonistą wystarczał do uznania bytności p. Stanjukowicza w Petersburgu za »szkodliwą dla porządku publicznego« i wygnania go na lat trzy do zachodniej Syberyi, do Tomsku. Dalszem następstwem wygnania pana S. było zawieszenie czasopisma »Dzielo« i ruina majątkowa. Jeżeli rząd rossyjski dopuszcza się podobnych nadużyć na osobach majątnych, zajmujących wysokie stanowisko urzędowe i społeczne, to cóż dopiero dało by się powiedzieć o sposobie jego postępowania ze studentami, lekarzami, właścicielami małych posiadłości i wszystkimi innymi mało znaczącymi ludźmi, podejrzanymi przez policję o »szkodliwość dla porządku publicznego«.

W 1879 r. przemieszkiwał w Iwangrodzie w gubernii połtawskiej, zdolny, dzielny, młody lekarz Dr. Biełoj. Miał on wprawdzie poglądy liberalne, ale nie zajmując się polityką, nie przyjmował tem samem żadnego udziału w ruchu rewolucyjnym. Pewnego dnia zgłaszają się do D-ra Biełoja dwie studentki wygnane w trakcie kursów — za zarzut o »niebłagonadźność« — z Petersburga do środkowej Rossyi, i pro-

sza go usilnie, by im dopomógł do ukończenia przerwanych studyów. Ponieważ obie te studentki, zmieniając samowolnie naznaczone im przez policję miejsce zamieszkania, stawały się w obec władz rządowych osobami nielegalnymi, przeto obowiązkiem Dra Biełoja jako obywatela lojalnego, było bezzwłoczne oddanie wzywających jego pomocy studentek w ręce policji. Dr. Biełoj wszelako jako człowiek szlachetny i honorowy, zamiast spełnienia swej obywatelskiej powinności, przedstawił obie te panie swej żonie i zajął się ich kształceniem. Rok 1879. zaznaczył się w Rossyi gorączkową działalnością rewolucyjną. Wciąż powtarzające się zamachy na życie wysokich urzędników państwowych podwoiły czujność w stolicy i na prowincyi. Częste nawiedziny domu Dr. Biełoja przez dwie młode studentki nie uszły oka policji, śledzono za nimi i wykryto, że obie one wygnane z Petersburga za »niebłagonadiożność«, przeżywają tu, jedna za fałszywym paszportem, druga zaś bez żadnego. Okoliczność ta utwierdziła policję w przekonaniu, że w domu Dra Biełoja knuje się jakiś spisek, i na tej podstawie aresztowano go bezzwłocznie razem z dwoma studentkami i wysłano ich drogą administracyjną do wschodniej Syberyi.

Miejscem wygnania Dra. Biełoja było miasteczko Wierchojańsk leżące w ziemi jakuckiej pod 67.20° szer. geogr.; tu go też poznali osobiście rozbitki ekspedycyi amerykańskiej »Jeanetta« w osobach inżyniera Melvilla, porucznika Danenhowera i p. W. H. Gildera. Młoda, piękna małżonka Dra Biełoja, będąc wtedy na rozwiązaniu, nie mogła towarzyszyć swemu mężowi, zaraz jednak po porodzie oddawszy dziecię opiece krewnych, gotowa była do tej długotrwałej, nużącej 10000 km. podróży. Nie posiadając odpowiednich funduszków, zmuszoną była pani Biełoj udać się z prośbą do ministra o pozwolenie zabrania się z etapem, a uzyskawszy je, puściła się w drogę. Wygnańców politycznych transportują do samego Tomska czy to koleją żelazną, czy na statkach parowych, wspólnie z przestępcami zwykłymi. Z Tomska, aresztanci wędrują dalej piechotą,

politycznych zaś wysyłają kibitkami. Jazda ta, przerywana każdego trzeciego dnia półtora-dobowymi odpoczynkami na stacyach etapowych, jest tak powolną, że transportowani w ciągu jednego tygodnia robią zaledwie 96 km. Tym sposobem nie wcześniej mogła się dowlec pani Biełoj do miejsca zamieszkania swego męża jak w ciągu 16 miesięcy. Nie przeznaczono jej było jednak dojść do celu. W pierwszych tygodniach poniewierki nadzieja, wiara i miłość brały górę nad udęczeniem fizycznym; zносиła ona mężnie i bez skargi trzęsienie się na kibitkach, duszące kurzawy, upały, słoty, zimno jesienne, złą strawę, zabójcze powietrze w domach etapowych i wszystkie inne, towarzyszące tej podróży udęczenia. Wielomiesięczna jednak poniewierka, ciągły niepokój o męża i dziecię pozostawione w Rosyi pod opieką krewnych, coraz zgubniej wpływały na jej zdrowie. Na dojeździe do Irkucka zdawała się znów odżywać nadzieją rychłego ujżenia ukochanego swojego męża; mówiła wciąż o nim i żyła tylko myślą złączenia się z nim. Niestety, na jednej z stacyi etapowych pomiędzy Irkuckiem a Wiercholeńskim dowiaduje się ona, że mąż jej jest osiedlony nie w Wiercholeńsku, lecz w Wierchojańsku, miasteczku leżącym w okręgu biegunowym. Zoczyła się więc znów oddzieloną od męża 5000 km. pustynią, na przybycie której potrzeba było długie miesiące wlec się wśród siarczystych mrozów, poniewierać się po domach etapowych a następnie przebijać się kilka tygodni przez głusze leśne i wertepy psami i reniferami. Ta fatalna nowina podziała na nią tak zabójczo, że wpadła w stan obłędu i po upływie kilku tygodni zakończyła życie w szpitalu w Irkucku; nie sądzono więc jej było oglądać ukochanego męża, do którego tak spieszyła *)

*) Dra Bieleja poznałem w więzieniu irkuckiem w końcu 1879 r., gdzie przemieszkowałem z nim w jednej celi dwa miesiące. Był to człowiek nauki, przytem wysoko szlachetny i serdeczny w pożyciu; złączył też nas węzeł szczerzej sympatyj. Ówczesnie krzepiony nadzieją zobaczenia się niezadługo z swą żoną w Wierchojańsku. znosił on dolę wygnańca z prawdziwym stoicyzmem.

Ograniczam się na podaniu tego tragicznego wypadku w główniejszych tylko zarysach; gdyby jednak czytelnik słyszał to opowiadanie z ust towarzyszek pani Biełoj, które pielęgnując chorą w szpitalu, były żywymi świadkami jej cierpień, katuszy i zarazem gasnącej w niej iskry samowiedzy, to z pewnością nie dziwiliby się, że wygnanie zmienia spokojnych ludzi w terrorystów, ale raczej temu, że cały naród rossyjski dotąd na wskroś nie przesiąknął terroryzmem. *) Mógłbym wiele bardzo stronnic zappełnić opowiadaniem o Rosyjanach zupełnie niewinnych, wydanych w ciągu ostatniego dziesiątka lat drogą administracyjną. Znanego nowelistę rossyjskiego p. Korolenkę wydano w r. 1879 do wschodniej Syberyi — jak to sam rząd później przyznał — tylko przez pomyłkę. Wpływowym przyjaciółom pana K. po wielu zabiegach udało się wreszcie przekonać rząd o niesłusznym jego wydaleniu w skutek czego też, pozwolono mu z drogi, mianowicie z Tomsku, powrócić do kraju. Oburzony do głębi niesprawiedliwością rządu i poniewierką swą po więzieniach i domach etapowych, pan Korolenko nie chciał złożyć przysięgi na wierność wstępującemu na tron carowi Aleksandrowi III., za co został ponownie wygnany aż do ziemi jakuckiej **).

Wracając z katorgi jesienią 1884 r. odwiedziłem Dra Biełoja, osiedlonego ówczesnie w Olokmińsku. Szczerość, dobroć i szlachetność pozostały niezmienną duszy jego własnością. jednakowoż tragiczna śmierć żony, o której mi opowiadając tłumił kurczowo cisnące się do oczu łzy, rzuciła go w otchłań rozpacz, z której o ile zauważyć mogłem, żadna już ręka wydobyć go nie zdoła. Wiele to już podobnych ofiar ciąży na sumieniu rossyjskiego rządu, a sprawiedliwości nie staje się zadość! — (*Przyp. Łomacza*).

*) O fakcie tu przytoczonym opowiadali mi: pewien poważny, dobrze znany i powszechnie szanowany członek zgromadzenia gubernialnego, któremu osobiście znane były okoliczności, towarzyszące uwięzieniu i wygnaniu Dra Biełoja; powtórnie, wygnancy transportowani wspólnie z Drem Biełoj; i potrzecie, pewna dama, towarzysząca Pani Biełoj w tej podróży etapem jako wygnanka.

**) W Nrze 10 gazety „Ziemia” z roku 1881 zamieszczony jest opis okoliczności, towarzyszących pierwszemu wydaleniu pana Korolenki.

P. Borodin, znany współpracownik czasopisma »atieczestwiennyje zapiski« wygnany został do ziemi jakuckiej za znaleziony w jego domu w czasie rewizji rękopism »niebezpiecznej i gorszącej« treści, będący kopią świeżo wysłanego artykułu do redakcyi*). P. Borodin powędrował tedy w szarym chałacie z żółtymi tuzami na plecach do Jakucka, gdzie miał przyjemność spotkania się z swym »niebezpiecznym« artykułem wydrukowanym w »atieczestwiennych zapiskach«, i nadesłanym mu przez ministra spraw wewnętrznych. Cenzura petersburska przepuściła ów artykuł nie mogąc się doszukać w nim nic takiego, coby zagrażało naruszeniu »istniejącego w państwie po rządku«.

W r. 1885 wydano z Moskwy na Syberyę, porządkiem administracyjnym niejakiego pana Oczkina za to, że policya podejrzywała go o zamiar zmiany swego właściwego nazwiska. Na czem oparto to straszne podejrzenie, o tem p. Oczkin nie miał nigdy przyjemności się dowiedzieć.

Dobrze mi znanego pana I najspokojniejszego w świecie człowieka, wygnano na Sybir za to, że pozostawał w stosunkach znajomości z panem Z., którego przed laty aresztowała policya jako podejrzanego o udział w jakimś spisku. Sąd dawno już uniewinnił pana Z., podczas gdy jego przyjaciela zupełnie nieświadomego tej sprawy, obecnie wtrącono do więzienia. — Pewnego razu policya nie mogąc wysledzić studenta Wiktora Sidorskiego (przemilczam tu umyślnie właściwe nazwisko), podejrzanego o »naruszenie porządku publicznego«, w miejsce jego, aresztowała Włodzimierza Sidorskiego. Daremnie ten ostatni usiłował przekonać

*) »Ziemstwo« N-ro 10 Str. 19. — Fakta, przedstawiające rząd w tak złem świetle — rozumie się — rzadko bardzo występują na widownię. Wiadomość o przygodach pana Borodina i wygnanie p. Korolenki ukazały się pod koniec panowania Aleksandra II. za czasów hr. Loris-Mielikowa, gdy cenzura nie była tak jeszcze sroga.

władze że nie jest Wiktoorem i nie ma nic z nim wspólnego.

Policya tak dalece zajęta była tropieniem jakichś spiskowców, że nie stało jej czasu na sprawdzenie tożsamości osoby aresztowanego. Zresztą mając już w swych rękach człowieka choćby niewinnego, nie wypadało wypuścić go na wolność, a tylko podług zwyczaju wydalić drogą administracyjną na Sybir. W czasie podróży, Włodzimierz zwracał wielokrotnie uwagę komendanta etapu, odczytującego listę transportowanych, że on nie jest Wiktoorem i niesłusznie wędruje za niego na Sybir.

— Jakież więc jest twoje imię — spytał oficer.

— Włodzimierz. — A więc niech będzie Włodzimierz, — odrzekł oficer obojętnie, zmieniając na liście imiona.

W r. 1874 aresztowano w jednej z południowych prowincyi rossyjskich studenta uniwersytetu Igora Lazarowa. podejrzanego najniesłuszniej o szerzenie propagandy socyalistycznej. Lazarów, mimo że zupełnie niewinny, przesiedział w Piotro-pawłowskiej fortecy sam na sam przez lat cztery. poczem wypuszczono go jako niewinnego. Zdawało by się, że tak rażąco niesprawiedliwe postępowanie rządu, powinno było przekształcić najspokojniejszego nawet obywatela kraju, jeżeli już nie w terorystę to przynajmniej w rewolucyonistę. Pan Lazarów jednakże jak poprzednio, tak i teraz prowadził dalej swoje studia uniwersyteckie, a ukończywszy je, przeniósł się do Saratowa, gdzie zajmwszy miejsce adwokata, nie był już turbowany przez policyę. Pewnego atoli dnia 1884 r. zjawia się u pana Lazarowa policyant i oznajmia mu, ażeby raczył się pofatygować na chwilę do gubernatora. Pozostając w stosunkach zażyłości z gubernatorem, Pan L. spieszy do jego bióra i dowiaduje się tutaj, że wydalają go na lat trzy do wschodniej Syberyi. Nowina ta w pierwszej chwili wprowadziła go w stan osłupienia, opamiętawszy się jednak spytał: — Czy Jego Excelencya nie raczył by mi powiedzieć za co?

Gubernator nie mógł dać panu L. żadnej odpowiedzi, bo sam nie wiedział o przyczynie wydalenia; otrzymał takie rozporządzenie od ministra i nic więcej.

Wpływowi przyjaciele pana Lazarowa tyle tylko mogli wyjednać u rządu, że mu pozostawiono czternaście dni na załatwienie swoich interesów, poczem wyprawiono go etapem do Moskwy, gdzie zmuszony był oczekiwać w więzieniu wiosennej ekspedycji. Daremnie odwoływał się on do policyi, by mu wykazała powody jego wygnania. Odpowiadano mu zawsze krótko i węzłowato: wysyła się pana do wschodniej Syberyi pod nadzór policyjny za to, żeś się nienależycie wytłómaczył z swej dawniejszej, »przestępnej działalności«. Wygnano go zatem do ziemi zabajkalskiej za nienależyte wytłómaczenie się z »przestępnej działalności«, podczas gdy oskarżonych o tę działalność jego współtowarzyszy sąd dawno był już uniewinnił.

Pewnego razu rozmawiali z sobą wygnańcy w moskiewskim więzieniu o powodach, jakimi kierować się mógł rząd, wypędzając ich z kraju. Okazało się, że u jednego znaleziono zakazane książki; drugiego podejrzywano o szerzenie rewolucyjnej propagandy, inny znów należał do tajnego stowarzyszenia... Obecny tej rozmowie pan Lazarów, odezwał się, że on zupełnie nie wie, za co go wydalają na Sybir.

— Nie wiadomo też panu — spytał jeden z towarzyszy — czy ojciec pański nie miał przypadkowo czarnej krowy?

— Być może — odparł p. Lazarów — mój ojciec miał wiele bydła.

— Więc cóż pan chcesz więcej, — zawołał tryumfująco. — Tak ważny fakt. wystarcza do wygnania dwudziestu osób, nie zaś jednej.

Dnia 10 maja 1885 r. Lazarów wyszedł etapem z Moskwy, a po dwudziestu dwu tygodniowej podróży, 10 października znalazł się w Czymie, stolicy ziemi zabajkalskiej, gdzie też miałem przyjemność go poznać.

Przyczyn, pojęcie przechodzącej niesprawiedliwości, tradycyjnej grozy, ciągłych pomyłek i nieporozu-

mień, które historii wygnania drogą administracyjną nadają charakter jakiegoś wytworu piekielnej wyobraźni, — należy szukać w autokratyzmie państwowym, gdzie władze wykonawcze, nieograniczone w swej samowoli, żadną kontrolą, dopuszczają się wszelkich możliwych bezprawii.

Rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych względem osób. poszlakowanych politycznie, nie opierają się na żadnej podstawie prawnej; zaś w Rosyi jest zwykle na porządku dziennym tyle przeróżnych spraw politycznych, że minister nie jest w możności wnikania w nie, ani też rozpatrywania każdej z osobna. Część tedy poruczonych mu do rozstrzygnięcia spraw zmuszony on jest oddawać do załatwienia naczelnikom policyi, oficerom żandarmeryi, gubernatorom i innym swym podwładnym wyższym urzędnikom, którzy znów zwykli się wyręczać niższymi urzędnikami, ludźmi ograniczonymi i nierozumiejącymi się na rzeczy. I w rękach takich to ludzi sroczywa wolność i życie obywateli kraju!

Podług przepisu, każda sprawa, dotycząca wygnania porządkiem administracyjnym, powinna być jak najściślej roztrząsaną na radzie, złożonej z trzech wyższych i dwóch niższych urzędników ministeryalnych. W praktyce tak się nie dzieje i dzieć nie może, a to ze względu na brak czasu; podług rosyjskiego czasopisma „Strana“, poruczono oddziałowi cesarskiej policyi do załatwienia 1500 spraw politycznych *).

Sprawy te przeważnie załatwiano na drodze administracyjnej; gdyby bowiem ministrowi przyszło poświecić każdej z nich choćby kwadrans czasu, to nie pozostało by mu i jednej chwili na zajęcie się innymi; on jednak nie zastanawiając się nad żadną z nich, podpisywał kolejno wszystkie. W innym razie nie był by potwierdził wygnania p. Korolenki, wiedząc że oskarżenie opierało się na fałszywej podsta-

*) Przepisy dotyczące utrzymania „porządku i spokoju publicznego“, potwierdzone przez cara 14 sierpnia 1881. Rozdział 5. paragraf 34.

wie, jak również nie zezwoliłby na wygnanie p. Borodina, gdyby był zechciał dowiedzieć się w swoim czasie, że cenzura nie obarczając żadnym zarzutem inkryminowanego artykułu p. Borodina, zezwoliła ogłosić tę jego pracę w czasopiśmie »Dielo«. Nie zastanawiał się nad żadną sprawą, a tylko z kolei podpisywał podane mu przez podwładnych dokumenta.

Jak łatwo jest uzyskać w Rossyi podpis wysokiego urzędnika na wszelakim dokumencie, świadczy następująca, prawdziwa anegdota. Pewien naczelnik bióra rządu gubernialnego w Tobolsku chętnie się swym wpływem na gubernatora (obecnie już nieboszczyka Lisogórskiego), założył się z kimś, że na każde żądanie uzyska podpis gubernatora na podaniu choćby ladajakiej treści. Otóż napisawszy na ostęplowanym arkuszu papieru »ojcie nasz« i złożywszy go podług formy, podał do podpisu. Gubernator bez wszelkiego namysłu zaopatrzył ów arkusz papieru swym podpisem i zakład został wygrany.

Skutki owej łatwości uzyskiwania podpisów ministra, odezwały się najszkodliwiej na podejrzanych politycznie. Mając to na względzie, ustanowiono za czasów liberalnego Loris-Mielikowa w r. 1880, pod przewodnictwem ministra Czerewina oddzielną komisję, której jedynem zadaniem było rozpatrywanie spraw, dotyczących osób, wygnanych porządkiem administracyjnym; komisya ta miała prostować tak często powtarzające się »nieporozumienia« i »nieprawidłowości«, których ofiary porozpraszane po różnych stronach carstwa, zasypywały formalnie skargami i podaniami nowego ministra spraw wewnętrznych. Niebawem też miało się znaleźć w Rossyi 2800 osób, wróconych z różnych części Syberyi, tak wygnańców administracyjnych, jako też zostających pod nadzorem policyjnym. Do 23 stycznia 1881 r. komisya owa rozpatrzyła i załatwiła sprawy 650 osób, z których 328, zatem większą część, uwolniono i wrócono do kraju *).

*) Z raportu oficjalnego rządowego w gazecie »Sybir« 31 stycznia 1881. Str. 1.

Nadużyciom tym można by jedynie zapobiedz usunięciem zupełnem policyi od przyjmowania udziału w sprawach politycznych, a ustanowieniem natomiast sądów i przyznaniem podejrzanym prawa obrony. O tem jednak rząd nie chce nic wiedzieć. Wprawdzie na zebraniu szlacheckiem poruszono tę sprawę, zgromadzenie nawet, przychylając się do wniosku jednego z swych członków, wydelegowało do cara pana U. F. Samarina z wiernopoddaną prośbą, o przyznanie każdemu z »politycznych«, wygnanych porządkiem administracyjnym, prawa dochodzenia słuszności na drodze sądowej. Prośba ta jednakże nie została uwzględniona i o ile mi się zdaje pozostała bez odpowiedzi*).

Poczynając od r. 1882, prawa, przywileje i przepisy, obowiązujące wygnańców i przestępców politycznych, znane były tylko z tajnych cyrkularzy, rozsyłanych od czasu do czasu przez ministra spraw wewnętrznych, gubernatorom sybirskim. W skutek zaś zmiany osoby ministra, ministeryjalnej polityki i przeróżnych okoliczności, rozporządzenia te stawały z sobą w coraz większej sprzeczności, aż w końcu wywołały takie nieporozumienia pomiędzy wygnańcami a władzami miejscowymi na Syberyi, iż minister spraw wewnętrznych uczuł się w konieczności wydania, 12 marca 1882 r., mnóstwo nowych instrukcyi, dotyczących wygnańców, jako też innych osób, pozostających pod nadzorem policyjnym, które to rozporządzenia zostały przez cara potwierdzone. Odpis tego dokumentu przywieziony z Syberyi, leży właśnie przedemną. Tytuł jego opiewa: »przepisy dotyczące nadzoru policyjnego«. Na wstępie każdego zdumień musi ów fakt, że wygnanie i nadzór policyjny nie uważają się w Rosyi jako kary wymierzone za popełnione już przestępstwa, lecz jako prawidła, skierowane przeciw zamierzonym, politycznym przewinieniom. W pierwszym rozdziale powiedziano: »Nadzór policyjny (gdzie podciągnięto także wygnanie porządkiem administracyjnym)

*) Gazeta »Ziemiństwo« 1881, Nro 10. Str. 21.

jest środkiem zaradczym przeciw przewidzianemu przestępstwu, zmierzającemu ku naruszeniu istniejącego w państwie porządku; nadzór ten może być ustanowiony nad każdym, kto się okazuje szkodliwym dla porządku publicznego. Kto zaś okazuje się szkodliwym dla tego porządku publicznego, o tem wyrokuje generał-gubernator, gubernator i policya. A więc wypowiedzenie swojego sposobu myślenia, pociąga człowieka pod też samą odpowiedzialność, co czyn dokonany. Wygnanie zatem na drodze administracyjnej skierowane jest ku stłumieniu tych idei i poglądów, które prowadzą do spełnienia przestępstwa. Jeżeli chodzi o zapobieżenie dokonać się mającemu przestępstwu przez stłumienie sposobu myślenia, to ów regulamin powinien nosić tytuł: »Rozporządzenia dotyczące opinii osobistych«, gdyż tak go rozumie i tłómaczy sobie rosyjska policya.

Nieuznawanie wygnania drogą administracyjną jako kary, jest tylko czczą gadaniną. Jeżeli wygnanie człowieka na lat pięć do ziemi Jakuckiej nie jest »karą«, to słowo »kara« musi mieć w rosyjskiej jurisprudencji jakieś właściwe, odrębne znaczenie.

Dla kobiet i dziewcząt wygnanie do wschodniej Syberyi, ze względu na poniewierkę, brak należytej strawy, noclegi w zapowietrzonych domach, mrozy i t. d. jest niewątpliwie wyrokiem śmierci — i rząd jeszcze chce utrzymywać, że wygnanie na drodze administracyjnej nie jest żadną karą!

W r. 1884 pewna młoda piękna dziewczyna Zofia Nikitina, studentka z Kijowa, została wygnana porządkiem administracyjnym do odleglejszych gubernii wschodniej Syberyi. Zimą 1884—1885 odbywszy już 4800 km. strasznej swej drogi, pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem zapadła na tyfus. Transportom wygnańców w Syberyi nie towarzyszą lekarze, jeżeli więc który z »politycznych« zachoruje w drodze, to zmuszony jest wlec się bez względu na swoje cierpienia i stan powietrza do tego domu etapowego, przy którym znajduje się szpital. Ponieważ pomiędzy Tomskiem

a Irkuckiem, na odległości 1600 km. są tylko dwa lazarety, chorzy więc zmuszeni są wlec się na wozach lub saniach 8 do 14 dni — zanim, w razie niespotkania się z śmiercią na drodze — znajdą spoczynek i pomoc lekarską. Nie wiem wiele lodowo-zimnych nocy przepędziła ciężko chora panna Nikitina wśród tej okropnej podróży, zanim dowlokłszy się do Aczyńska, znalazła pomoc lekarską, pomimo której wyzionęła tam ducha. Istotnie, jakąż to wielką pociechą musiało być dla umierającej w brudnym szpitalu i oddalonej o tysiące wiorst od domu rodzinnego — owo przeświadczenie, że najsurowsza z kar, jaką znosi, nie była jej wymierzona za czyn już dokonany, lecz że ojcowski rząd pewnem tylko ograniczeniem praw jej osobistych, starał się zapobiedz, wyniknąć mogącym — z tytułu jej obecności w Kijowie — szkodliwym skutkom dla porządku publicznego.

Książę Aleksander Krapotkin, wysoko wykształcony światowiec, matematyk i astronom, wysłany został porządkiem administracyjnym na Sybir wyłącznie za to, że był bratem księcia Piotra Krapotkina, znanego rewolucjonisty, zamieszkującego obecnie w Londynie. Przebywszy 10 lat na wygnaniu, zakończył żywot samobójstwem w Tomsku 1886 r.

Czternastoletnia uczennica Wiktorya Gurowska, wydalona w r. 1879 z Odesy do wschodniej Syberyi, także zakończyła życie samobójstwem w Krasnojarsku 1881 r.

Pewien wygnaniec administracyjny Bochin, osiedlony w ziemi Jakuckiej w ułusie angijskim, wpadłszy tam w stan obłąkania, zabił swą żonę, dzieci, a następnie sam sobie życie odebrał.

W obec tych strasznych, przytoczonych tu tragicznych wypadków i mnóstwa innych, o których przemilczam, rząd rossyjski śmie jeszcze utrzymywać, że wygnanie porządkiem administracyjnym nie jest żadną karą, lecz tylko środkiem, zapobiegającym przeciw zamierzonemu przestępstwu.

Środki te zaradcze w rękach rządu despotycz-

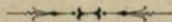
nego mogły by być w części usprawiedliwionymi, ale wtedy tylko, gdyby prowadziły do jakiegoś celu. Oto co powiada, w sprawie wygnania porządkiem administracyjnym, minister spraw wewnętrznych, generał-major hr. Baranów:

Spostrzeżenia moje osobiste jako też wyniki poprzednich doświadczeń, doprowadziły mnie do przekonania, że wygnanie porządkiem administracyjnym ze względów politycznych, chybia zupełnie swemu celowi. Ta nagła zmiana z życia wygodnego do zupełnego niedostatku, z towarzyskiego do samotnego, z życia czynnego, do przymusowo bezczynnego, tak szkodliwe pociąga za sobą skutki, że wygnańcy polityczni bardzo często, wpadają w stan obłędu, lub też kończą życie samobójstwem. Wszystko to, jest wynikiem tych anormalnych warunków, jakie człowiekowi wykształconemu gotuje wygnanie. Dotychczas nie było jeszcze przykładu, ażeby wygnanie porządkiem administracyjnym wpłynęło na sprostowanie błędnych pojęć podejrzanego politycznie, pojednało go z rządem, tudzież przekształciło go w pożytecznego członka społeczeństwa i wiernego sługę tronu. Natomiast zdarza się często, że osoby zupełnie niewinne, a wydalone z kraju li przez omyłkę, dopiero na wygnaniu stają się istotnie podejrzanymi, przyczyną czego jest zetknięcie się ich tam z rzeczywistymi wrogami rządu, albo też zwątpienie. Dalej, wygnanie ma jeszcze tę złą stronę, że wyprowadzając na widownię ludzi tających się dotychczas z wrogimi ideami dla rządu, daje im pole do praktycznego rozwijania tych idei i przekształca ich tym sposobem w ludzi niebezpiecznych. Co się tyczy istotnych winowajców, biorących czynny udział w ruchach rewolucyjnych, to i w tych także, wygnanie, siłą okoliczności, potęguje ducha rewolucyjnego, czyli powiedziawszy innymi słowy: rezultat wygnania jest wprost przeciwny założeniu. Mimo możebnego ograniczenia i unormowania systemu deportacyjnego, wygnańcy nie przestaną podejrzывать urzędników o zamiary

skierowane ku ograniczeniu osobistej ich wolności, co już samo odbiera nadzieję jakiegokolwiek poprawy *).

Nietylko jeden, ten wysoko położony urzędnik, wypowiedział słowa prawdy; w danym razie mógłbym się powołać na otwarcie wygłoszone zdanie gubernatora z Archangielska, o bezcelowości systemu deportacyjnego. Na system wygnania można się zapatrywać nie tylko ze stanowiska urzędowego, ale także wskazanego uczuciem ludzkości, obyczajności i sprawiedliwości, o czem też mówić będę w następnych rozdziałach. W niniejszej pracy chciałem tylko zwrócić uwagę na lekkomyślne, niesprawiedliwe i nieogłędne postępowanie rządu z obywatelami rosyjskimi, wydalonymi z kraju porządkiem administracyjnym. W następnej sprawozdaniu będę się starał podać najdokładniejszy i najsumienniejszy opis sposobu życia politycznych wygnańców.

*) »Goniec prawniczy« towarzystwa moskiewskiego październik 1883. stron. 332.



VI.

Wieżenie etapowe w Tomsku.

Pora pogodna mijała szybko; mając na uwadze zbliżające się słoty i zły stan dróg, utrudniający już i tak dość mozolną naszą podróż, pobyt nasz w Uśc-kamieniogórsku ograniczyć musieliśmy do krótkiej tylko chwili. Mimo to, udało nam się zawiązać tu stosunki bez pomocy których, zamiar nasz dokładnego obeznania się z systemem wygnania, natrafiłby na niepokonane trudności.

Gdzie się znajdują polityczni wygnańcy? W jaki sposób zbliżyć się do nich, nie ściągając na siebie podejrzenia władz? To były obecnie pytania najdonioślejszego dla nas znaczenia. Nie koniecznie można było liczyć, ażeby szczęśliwy zbieg okoliczności zbliżył nas z jakimś lepiej myślącym urzędnikiem, z którym możnaby się było porozumieć względem miejsc zamieszkania, tak skwapliwie przez nas poszukiwanych wygnańców politycznych. Gdybyśmy mogli przeczuć gdzie są ci wygnańcy, to niezawodnie zatrzymywalibyśmy się po wsiach i miasteczkach, których całe tuziny mieliśmy przy gościńcu. Co się tyczy Uśc-kamieniogórska, to wszelkie w tym względzie nasze obawy były płonne. Uzyskaliśmy tu nie tylko niezbędne wskazówki, dotyczące miejsca zamieszkania wygnańców politycznych, ale nadto zaopatrzeni zostaliśmy listami polecającymi do osób prywatnych i urzędników, a w dodatku wykazem mieszczącym nazwisko, wiek, sposób zajęcia,

miejsce zamieszkania około 700 politycznych wygnańców. Był to dokument nader ważnego znaczenia, od zużytkowania którego mogło nas powstrzymać li tylko urzędowe wydalenie za granicę carstwa. Obecnie wiedząc już dokładnie gdzie należy szukać potrzebnych nam wygnańców, pozbywaliśmy się obawy ściągnięcia na siebie podejrzenia władz, koniecznego następstwa ciągłych dopytywań o ich osoby i miejsca zamieszkania.

W poniedziałek 10. sierpnia, poobiadawszy po raz ostatni z wygnańcami politycznymi w Uśc-kamienogórsku, zaśpiewaliśmy im na rozstaniu »Sztandar z gwiazd« i ruszyli około godziny 6. ku Tomsku. Do Pianojarowska jechaliśmy tym samym gościńcem co poprzednio do Altaju. Okolice przydrożne przeważnie niskie, jałowe równiny, gdzie nigdzie tylko bujną porośniętą trawą, na której pasły się trzody owiec, strzeżonych przez konnych Kirgizów. Ludzie ci, z brunatnymi twarzami, z zawojami na głowach i oczami osłoniętymi włosienią siatką, wyglądali na istnych demonów. Pod wsiami widzieliśmy na polach kwitnące słoneczniki i dojrzałe melony; step jednak w części był tylko uprawiony, i bez sztucznego nawodnienia pozostanie on zawsze stepem. Dnie podówczas były jeszcze bardzo ciepłe, tak, że po wsiach spotykaliśmy mnóstwo bawiących się nagich dzieci.

Od stacyi pianojarowskiej, rozstaliśmy się z gościńcem głównym i doliną irtyszką, i przekroczywszy dział wodny między Irtyszem i Obem, zmierzaliśmy ku Tomsku. Obfite deszcze obniżyły stan temperatury; droga była tak błotnista, że z trudnością brnęliśmy po niej. odpoczywając na stacyach pocztowych, gdzie w niechlujnie utrzymanych lokalach, gnieździły się pluskwy. Na stacyach w Szemaniajewsku i Szuszkynie, daremnie siliłem się zasnąć choć na chwilę. Obie noce przepędziłem bezsennie zajęty pisaniem, przerywanem polowaniem na pluskwy, których po kilkadziesiąt sztuk pozostawało trupem na moim stoliku. Bezsennosc, brak posilnej strawy, trzęsienie tarantasu,

wyczerpały tak dalece nasze siły, że przyhywszy po 96-cio godzinnej podróży, dnia 14. sierpnia do Barnaulu, chwiałem się na nogach.

Miasto Barnaul, liczące 17.000 mieszkańców, jest punktem środkowym całego okręgu górniczego altajskiego.

Wysilano się tu na okazałość, o czym świadczą dość nawet wykwintne kamienice z kolumnami i wspinałymi fasadami, dzisiaj jednak chylące się ku upadkowi. Budynki te sięgają czasów pewnego urzędnika górniczego, który dzięki swej przebiegłości i złodziejskiemu wężowi, umiał tak znakomicie prowadzić rachunki, że przy swej 2 do 3.000 rs. rocznej pensji, dwukrotną taką sumą wynagradzał guwernantkę swych dzieci i kucharza francuza.

Kopalnie Altajskie są przeważnie własnością osobistą cara. W latach 1870—1879 dostarczały one rocznie 6.984 funtów złota, 206.962 funtów srebra, 9,639.620 funtów miedzi i 13,221.396 funtów ołowiu.—Kruszce złote i srebrne w przeważnej części wytapiają w Barnaule.

Pan Frost, z właściwą sobie gorliwością splądrowawszy całe miasto, odfotografował bazar, kilka wieśniaczków wyładowujących kamieniami dwukołowe kary, i jakiś osobliwy, podle hotelu stojący budynek, zakrawający strukturą na rosyjsko-dorycką świątynię, który uznano za stosowne przekształcić w więzienie. Niechlujnie utrzymany hotel barnaulski, czernił się od pluskiew, tak, że nie chcąc być żywcem zjedzonym przez robactwo, wywlokłem stojący pod oknem stół na środek pokoju i uślałem sobie na nim łożę; manewr ten jednakże nie na wiele się przydał; stół przyłada jakim poruszeniu mego ciała utykał z nogi na nogę, tak, że w obawie spadnięcia na podłogę, zmuszony byłem całą tę noc przepędzić bezsenność, dochodząc niejednokrotnie do szaleństwa. Jedną i jedyną naszą przyjemnością, jakiej doznaliśmy w Barnaule, było spotkanie się z wieloma listami nadeszłymi z domu, w odpowiedzi na wysłane z Tiumentia.

W czwartek po południu 18 sierpnia wyjechaliśmy

do Tomsku. Część ta zachodniej Syberyi jest żyzną; wzgórkowatą swem położeniem przypominała mi okolice nowo-angielską. Krajobrazy nie są tu dzikie, jednak malownicze; jeszcze i w sierpniu łąki pokryte były kwieciami, a bujna, świeża roślinność wprowadza w zachwyt zmierzającego tu od stepów irtyszkich podróżnika. W pobliżu pierwszej stacji przejeżdżaliśmy około małego koływańskiego jeziora, które romantycznem swem położeniem sprowadza na letni odpoczynek wszystkich zamożniejszych mieszkańców miasta Tomsku i Barnaulu. Prom, na którym przeprawialiśmy się przez rzekę Ob, składał się z pomostu, spoczywającego na dwóch łodziach; w jednym z końców promu stał kołowrot, przy pomocy którego dwóch długobrodych chłopów poruszało ów statek. Podróż nasza z Barnaulu do Tomsku, o ile sobie przypominam, nie nastroczała żadnych głębszych wrażeń; czułem się przytem tak wyczerpanym na siłach, że dokładnie sprawy zdać z niej sobie nie mogę.

20 sierpnia, w czwartek po południu o godzinie 4-tej stanęliśmy w Tomsku. W ciągu tej całej 51 dni trwającej 1500 milowej podróży, zwiedziliśmy dwa wielkie więzienia etapowe, zaznajomili się z politycznymi wygnańcami trzech przydrożnych osad, i zwiedzili najdziksze okolice Altaju. Przybywszy do Tomsku, zamieszkaliśmy w hotelu europejskim, gdzie na wstępie posiliwszy się dobrym obiadem, rozgościliśmy się w dwóch wygodnie i gustownie umeblowanych pokojach.

Miasto gubernialne Tomsk, liczące 31.000 mieszkańców, leży częściowo na wzgórzu, częścią na niskim brzegu rzeki Tomy, wpadającej nieopodal stąd do Obu. Co do wielkości i znaczenia Tomsk uważanym jest za drugie miasto w Syberyi. chociaż zdaje mi się, że ze względu na inteligencję i ducha przedsiębiorczego tudzież dobrobyt, należy mu się pierwszeństwo w całej Syberyi. Tomsk ma 8000 domów mieszkalnych, z których 250 murowanych. 33 cerkwi, kościoł rzymskokatolicki, meczet i trzy bożnice; 25 zakładów naukowych, do których uczęszcza 2500 uczniów; bardzo

dobrą publiczną bibliotekę i od 3-ch lat ukończony już wytworny gmach uniwersytecki, otwarciu którego stoi na przeszkodzie obawa rządu, by gmach ów nie stał się siedliskiem »zgubnych dążeń« i »swobodnych myśli«. Obawa o szerzenie »zgubnych dążeń«, skłaniała również ministra spraw wewnętrznych do wielokrotnego zawieszania na czas dłuższy, wychodzących tu czasopism. Ulice miasta choć niebrukowane były jednak dobrze oświetlone i porządnie utrzymane.

Gubernia tomska, zajmująca przestrzeń 15.688 mil kwadr., mieści w sobie 8 miast, z których na każde wypada 14.000 mieszkańców, i 2719 wsi z przeciętną ludnością 366 dusz. Ludność całej gubernii dochodzi do 1,100.000 mieszkańców, z której 900 000 tuziemców, zaś 300.000 osiedleńców nasyłanych z europejskiej Rosyi. Południowa zwłaszcza część gubernii jest bardzo urodzajną, dobrze nawodnioną. obfitą w lasy i wcale znośną ze względów klimatycznych. Gruntu ornego liczą w gub. tomskiej 3,600.000 morgów, a produkuje ona rocznie 30,000.000 czetweryków (10.571.400 hl.) zboża, 4,500.000 czetweryktów kartofli, nie wiele konopi. lnu i tytoniu; pastwiska i łąki są w stanie wyżywić 2,500.000 sztuk bydła.

Cyfry statystyczne wykazują, że gubernia tomska mimo złej administracji i demoralizującego wpływu osiedlonych tu zbrodniarzy nie jest krajem nieurodzajnym, ani też zacofanym w cywilizacji. Źródła bogactwa są tu niewyczerpane; przedewszystkiem potrzebną jest dobra administracja i wolny rozwój przemysłu miejscowego. Dopóki despotyczny rząd petersburski będzie ścieśniał wolność prasy, zamykać uniwersytet, wybierać sam nauczycieli, przepisywać programy szkolne, wiązać ręce i nogi mieszkańcom utrudnianiem wydawania paszportów, obsadzać posady urzędowe przekupnymi i niedbałymi urzędnikami, zalewać co roku gubernię nawałem wysyłanych z Rosyi zbrodniarzy, — dopóty ona będzie niczem więcej, jak tylko kolonią uciskaną przez niepotrzebnych jej opiekunów-ciemiężców. Obecnie, rząd zamierza dla zwiększenia

źródeł przemysłu krajowego przeprowadzić tędy linię kolei żelaznej. Nie lepiej by też było nadać ludziom więcej wolności, pozostawić ich własnemu uznaniu w kierowaniu sprawami publicznymi, powstrzymać napływ zbrodniarzy i ostatecznie oddać gubernię własnemu jej rozwojowi?

Pierwszem naszym zadaniem było odszukać niezbędnych nam wygnańców politycznych i oficerów do których mieliśmy listowne polecenia.

Dowiedziawszy się, że nieobecnego podówczas gubernatora Krasowskiego zastępuje pierwszy urzędnik gubernialny, radca Pietuchów, — o ile słyszałem człowiek wykształcony i dość wolnomysłny — udałem się bezwzględnie do niego i zostałem przyjęty bardzo uprzejmie. Oznajmiwszy mi na wstępie, że broszura moja „opis wschodniej Syberyi” obudziła w nim wielkie zajęcie, okazywał mi dowody szacunku i życzliwości. Upředzony także jaknajlepiej o panu Pietuchowie, rozmawiałem z nim otwarcie o Syberyi, tamiecznych stosunkach; wreszcie spytał mnie pan P. czy nie mógł by mi być w czem pożytecznym? korzystając z dobrych jego chęci, poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia więzienia etapowego. Prośba ta moja, o ile mogłem zauważyć, nabawiła p. Pietuchowa chwilowego kłopotu; uspokojony jednak moim prostym i szczerym sposobem opowiadania o dwukrotnych już naszych oględzinach innych więzień sybirskich, przychylił się chętnie do mego życzenia, a nawet ofiarował się towarzyszyć nam w tej więziennej wycieczce. Zawahawszy się wszakże chwilkę, rzekł z powagą: — Obawiam się bardzo, ażeby więzienie tomskie nie wydało się panu najgorszem ze wszystkich sybirskich. — Upewniałem go, że tak być nigdy nie może, lecz on wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć: pan jeszcze nie wiesz, co to jest sybirskie więzienie. — Czego można żądać od więzienia, — mówił — jeżeli się w niem mieści podwójna liczba osób, nad przepisaną. Węzienie etapowe w Tomsku było zbudowane na 1400 osób, a obecnie mieści w sobie 3.000; z Tiumentia przy-

*

syłają nam co tygodnia po 500 do 800 aresztantów, z których nie jesteśmy w stanie wysłać dalej, nad 400-tygodniowo. Zwykle też pod koniec lata więzienie jest tak przepełnione, że nie ma możliwości utrzymać je w porządku; powietrze zepsute przyczynia się do rozwoju chorób, i szpital przepełniony jest ciężko chorymi. — Dlaczego panowie nie staracie się zapobiedz panującej w szpitalu ciasnocie, wysyłaniem na wschód większych transportów aresztantów, albo też nie wyprawiacie ich dwa razy tygodniowo? — spytałem. — Podobnym kombinacyom, — mówił p. Pietuchów — sprzeciwia się zarząd etapowy wschodnio-sybirski, uzasadniając swój protest szczupłością lokalów w domach etapowych i brakiem odpowiedniej ilości żołnierzy. Robiliśmy już różne próby, lecz nie doprowadziły one do niczego. — Czy rząd w Petersburgu wie o tem? — spytałem.

— Bez wątpienia — odpowiedział — corocznie składamy raporta o stanie rzeczy, tego zaś lata wysłano do Petersburga aż cztery depesze telegraficzne z prośbą o niezbędną pomoc. — I zupełnie bez skutku? — Najzupełniej; przed zamknięciem komunikacyi wodnej, napływ więźniów jest największy, podczas gdy w porze zimowej więzienie stoi prawie pustką; tymczasem tyfus się wciąż wzmacza, a chorzy z braku miejsca w szpitalu muszą leżeć w celach. Radzę panu, byś udając się do więzienia, poprzednio dobrze pośniadał i stronił od szpitalu.

Podziękowałem mu za troskliwość, dodając, że się zarazy nie obawiam i umówiwszy się co do dnia zamierzonych oględzin więzienia, pożegnałem go.

Wracając do domu spotkałem się na ulicy z naczelnikiem wojennym, pułkownikiem Jagodkinem, który już od chwili naszego poznania się dawał nam dowody swej serdecznej życzliwości i przyjmował żywy udział w naszych badaniach. Obecnie powracał on właśnie z hotelu, dokąd trudił się umyślnie, by nas zawiadomić o świeżo nadpływającym transporcie aresztantów z Tiumenia. Podziękowałem mu za grzeczność

i w kilka minut wszyscy trzej spieszyliśmy dorożką ku przystani; przybyliśmy za późno, zastając barcę już opróżnioną, zaś aresztantów na brzegu rzeki. Kupili się oni dwoma gromadami w wielkiej szopie, obitej w okół deskami i podobnej do obory. Po sprawdzeniu tożsamości osób aresztantów, przeliczono ich i oddano obecnemu tam rządcy więzienia tomskiego. Szopa ta była przeznaczona belką na dwie połowy, z których jedna mieściła w sobie klatkę 10 stopowej długości i takiejże szerokości, przeznaczoną dla oficera komenderującego etapem. Aresztanci już »odebrani« zajmowali część szopy od wschodu, podczas gdy reszta, kupiąc się w zachodnim końcu, oczekiwała swej kolei. Kobiety, tworzące tu osobną grupę, były przeważnie w strojach wieśniaczych, z różnobarwnymi chustkami na głowach; na twarzach ich malowała się obawa i niepokój. Ubiór mężczyzn składał się z grubych, płóciennych koszul, takichże spodni i białych, długich sukiennych chałatów; większość dźwigała okowy na nogach, przestępcy zaś i zawyrokowani osiedleńcy mieli głowy w ten sposób oporządzone, że prawe połowy niebieszczyły się golizną, lewe zaś pokrywały długie, rozczochrane włosy. Wewnątrz szopy pod ścianami stali żołnierze z najeżonymi bagnietami, zaś w przedziale siedział oficer komenderujący etapem, rządca więzienia, lekarz więzienny, naczelnik biura transportowego i kilku oficerów w pełnych uniformach. Przedstawieni tym panom przez pułkownika Jlagodkina jako amerykańscy podróżnicy, których życzeniem jest przypatrzeć się odbiorowi transportu więźniów, wprowadzeni zostaliśmy do wnętrza izdebki.

Oficer odbierający aresztantów, rozpatrując — wyjęty z pomiędzy wielu — arkusz zapisanego papieru, zawołał donośnym głosem: — Mikołaj Kolcow! — Wysmukły, wynędzniały człowiek o mętym ocieężalym wzroku, stojący w pierwszym szeregu, wziął w rękę leżący przed nim na ziemi worek płócienny, i brzęcząc kajdanami postąpił naprzód. Oficer wpatrując się bacznie w twarz owego człowieka, to znów w trzy-

mana w rękę fotografię jego, sprawdzał z całą dokładnością tożsamość osoby, podczas gdy ordynans kozacki splądrowawszy wszystkie manatki aresztanta, przystąpił do szczegółowej rewizji jego osoby, dla przeświadczenia się, czy nie znajdzie kawałka jakiej cywilnej odzieży lub też wzbronionego ustawą przedmiotu.

— Wszystko w porządku? — spytał oficer. — Wszystko — odpowiedział kozak. — Na bok — zawołał porucznik, i wysmukły, wynędzniały człowiek zabrawszy swój worek, skierował się ku więźniom, stojącym we wschodnim końcu szopy.

— Fotografie są nowością — szepnął mi na ucho pułkownik Jagodkin; — zapobiegać mają one często zdarzającej się zamianie nazwisk aresztantów; nie wszyscy jednak są fotografowani. — Po cóż mają zmieniać nazwiska? — spytałem. — Jeżeli przestępca skazany do ciężkich robót — mówił pułkownik Jagodkin — ma przy sobie trochę grosiwa, próbuje mieniać się na nazwisko z jakim urwiszem osiedleńcem, który spragniony kieliszka gorzałki lub też żądny poprobować szczęścia w karty, w każdej chwili gotów jest za jakiego rubla sprzedać swą osolistą wolność. Oficer nie jest w możności zapobiedz podobnego rodzaju zamianom, niepodobieństwem jest prawie, ażeby mógł on zatrzymać w swej pamięci taką mnogość nazwisk i wyrazów fizjonomii. Skoro uda się przestępcy pomieniać się na nazwisko z jakim wygnańcem, wtedy osiedla się we wsi, przeznaczonej mu na miejsce zamieszkania, podczas gdy zastępca jego idzie w katorgę.

— Hassan Abdallimow! — zawołał oficer. Nikt się nie rusza. — Hassan Abdallimow! — woła kozak. — Wychodź głuchy, wychodź! tyś to nim. — odzywa się przynajmniej jakie pół tuzina półogolonych głów, wypychając przed siebie jakiegoś krzywonogiego, wspierającego się na kij, niskiego Tatara, na którego ciemnej, ogorzałej twarzy maluje się niepewność i zakłopotanie.

— On nie rozumie po rosyjsku, proszę Waszej Miłości, a przytem niedosłyszysz — odezwał się z uni-

żeniem jeden z aresztantów. — Dawaj go tu! — zawołał oficer do ordynansa. Zrewidowany do ostatniej nitki Hassan, nie ustąpił wszakże, jak to czynili jego poprzednicy, lecz kłaniając się nisko i wymachując rękami rozповідаł coś po tatarsku, przyczem zdawał się być wzruszonym.

— Co on mówi? — spytał oficer, — zawołaj żołnierza Tatarą. — W tej chwili pojawił się tłumacz, któremu Hassan opowiedział swoją historję.

Tłumacz oznajmił, że Hassanowi odebrano w czasie aresztowania 8 rs., które obiecano mu zwrócić w Syberyi. Życzyłby on sobie z tej kwoty coś otrzymać na kupno herbaty. — Ani szczypty herbaty — powtarzał wciąż skłopotany Tatar.

— Ruszaj do dyabła! — wrzasnął rozwścieklony oficer, — czego też nie zachciewa się tej głupiej głowie; skoro przyjdiesz na miejsce, wtedy wydadzą ci twoje pieniądze. Precz z nim! — I biednego Tatarę wepchnięto do wschodniego końca szopy.

— Iwan »niepomniaszczyj«, rudawy! — zawołał oficer.

— To brodiaga (włóczęga), — szepnął mi pułkownik Jagodkin, wskazując na podchodzącego rudawego, barczystego chłopca, okutego w kajdany, z przytroczonym do pasa miedzianym czajnikiem. Schwymano go jako włóczęgę, wałęsającego się po zachodniej Syberyi, a że uparcie ukrywa swą przeszłość i nazwisko, dano mu wtedy miano właściwe wszystkim brodiagom »Iwan niepomniaszczyj«. Członkowie tej wielkiej rodziny niebezpiecznych włóczęgów, w razie schwytania wysyłani są do robót ciężkich na lat pięć. — Oficer nie posiadał żadnej fotografii Iwana rudawego, a tożsamość jego osoby sprawdzono podług liczby wypadłych zębów i po bliźnie, znaczącej jego prawe ucho.

W powyższy sposób sprawdzono tożsamość wszystkich defilujących przed oficerem aresztantów i oddano ich następnie rządcy więzienia etapowego, który zaraz też pokwitował komendanta etapu z odbioru 551

aresztantów, włączając w tę liczbę 71 dzieci i resztę członków transportowanych rodzin.

Po ukończonym odbiorze, niektórzy oficerowie podążyli do miasta, my zaś z pułkownikiem Jagodkinem pozostaliśmy jeszcze dla przejrzenia się badaniu chorych przez lekarza więziennego, poczem zamierzaliśmy obejrzeć barłę transportową.

Dr. Orzeszko zajmwszy teraz miejsce oficera etapowego, rozpoczął krótkie oględziny wszystkich stojących w jednym szeregu aresztantów. Zadaniem jego było oznaczyć ściśle liczbę istotnie chorych, których należało powieść do więzienia w kibitkach. Na czele tego szeregu stał blady, wynędzniały człowiek, który zanosząc się od kaszlu, zaledwie był w stanie oznajmić lekarzowi o trawiącym go wciąż bólu piersi i utrudnionym oddechu. Dr. Orzeszko wzięwszy skarżącego się za puls i wysłuchawszy go przy pomocy stetoskopu orzekł stanowczo: — możesz iść piechotą. — Następny, pokazał lekarzowi nogę nabrzękłą na samej kostce w miejscu, stykającem się z okowami, co mu musiało ogromnie dolegać. Zdaje się, iż zauważył na twarzy lekarza wyraz współczucia, milczał wszelako jakby błagając o litość, dopiero gdy lekarz uwzględniając jego skargę, przeznaczył mu miejsce na wozie, wówczas przeżegnał się trzykrotnie. a usta jego zda się szeptały: »Bóg zapłać«.

Oględziny następnych 40 do 50 więźniów trwały krótko, lekarz nie poświęcał więcej każdemu z nich nad minutę czasu. Jedni z nich chorzy byli na febrę, innym dolegał reumatyzm, wielu było suchotników nieuleczalnych, a nawet bliskich śmierci. Według mego zdania wszystkich tych ludzi, jako zbyt wycieńczonych należało odstawić na wozach; doświadczonemu lekarzowi łatwo przyszło odróżnić ciężko chorych od chorowitych, lub wycieńczonych. Obejrzawszy kolejno wszystkich, polecił Dr. Orzeszko 25 osób, które uznał za niezdolnych do chodu. odwieźć do więzienia. Zaraz też podjechały kibitki, na które powsadzano chorych, tudzież kobiety z niemowlętami i na dany rozkaz: for-

mować szereg! więźniowie brzęcząc kajdanami rzędem stanęli pod szopą, otoczeni przez uzbrojonych żołnierzy. Wówczas naczelnik bióra etapowego p. Papelajew wskoczywszy na stołek odezwał się do całej gromady: — no dzieci! nie macie co powiedzieć, lub też wniesć jakie zażalenie?

— Nie, Wasza Miłość — odpowiedziało chórem wiele dziesiątek głosów. — A więc idźcie z Bogiem.

Rozwarto ciężką bramę drewnianą, podoficer zakomenderował: Naprzód, marsz! i wśród brzęku kajdan, kolumna posuwała się wolnym krokiem po błotnistym gościńcu.

Skoro tylko p. Papelajew ułatwił się z ekspedycją aresztantów, pułkownik Jagodkin nie omieszkiał nas mu przedstawić. Był to słusznego wzrostu, wysmukły mężczyzna, surowego i chłodnego oblicza; powitał nas grzecznie, wszelako nie zdawał się być wcale zadowolonym naszą tu obecnością, życzenie zaś nasze zwiedzenia barki, usposobiło go jeszcze gorzej.

— W jakim celu, ci panowie życzą sobie obejrzeć barkę? — spytał dość szorstko pułkownika Jagodkina. — Tam nic nie ma do widzenia; obecnie nie wypada nawet panom wchodzić na barkę, bo właśnie robią w niej porządek kobiety.

Pułkownik Jagodkin, pragnąc zadość uczynić mojemu życzeniu, nie zrażony tą odmową, przedstawił nas oficerowi etapowemu i ponowił mu naszą prośbę. Tym razem dopiął swego celu, i wszyscy w towarzystwie owego oficera poszliśmy za barkę. Była to widocznie taż sama barka, która przed dwoma tygodniami oglądaliśmy w Tiumeniu. Wtedy była ona starannie wymyta i desinfekcyonowana, obecnie, wyglądała na męzną, z której przed chwilą wypędzono dzikie zwierzęta: podłogę pokrywała skorupa błota, na którem leżały rozdeptane ogryzki jadła, na zatłuszczonych i zbrukanych narach porozrzucane były strzępy zmietego papieru, a małe, ciasne klatki z okratowanymi okienkami, wypełnione zaraźliwym powietrzem, przy

słabem świetle pochmurnego dnia, zdawały się rozpowiadać wymownie straszną historię nędzy człowieczej.

Podług urzędowego sprawozdania inspektora traktu zachodniej Syberyi, z ogólnej liczby 10.245 aresztantów transportowanych na barkach w ciągu r. 1882, zachorowało w drodze 278, zmarło 22, a 80 ciężko chorych pozostawiano w różnych przystaniach, lub też odstawiono do Tomsku. Należy tu mieć na uwadze tę okoliczność, że podróż wodą trwa tylko dni dziesięć; w tym więc krótkim przeciągu czasu spotyka transportowanych więźniów tyle wypadków chorób i śmierci! Jeżeli z ludności składającej się z 10.245 osób, w ciągu 10 dni zapada na zdrowiu 278, a umiera 22, to w ciągu jednego roku wypadnie 99% chorych a 10% zmarłych. Zdarza się jednak, że choroby panujące na barkach pochłaniają znaczniejszą liczbę ofiar, tak np. w r. 1879 zachorowało na barkach pomiędzy Tiumeniem a Tomskiem 724 więźniów, z tych zmarło 51; w r. 1871 zachorowało 1140, zmarło 111. Przy takiej śmiertelności, osada licząca 4.000 mieszkańców, w ciągu jednego roku nie miała by jednego żywego człowieka! Dołączona tu tabliczka wykazuje przypadki chorób i śmiertelności, jakim podległy transporta aresztantów w czasie wodnej podróży, od roku 1870—1884. Cyfry te wyjąłem z raportów urzędowych i zaręczam za ich autentyczność.

Daty statystyczne wykazują, że mimo polepszającego się stopniowo stanu zdrowotności na barkach transportowych, choroby i śmiertelność wciąż się zwiększają. Ofiarami śmierci stają się przeważnie dzieci, których nierozwinięty organizm nie jest w stanie zwalczyć warunków szkodliwych życiu a nieodłączonych podróży wodnej. Z przyjemnością przyszło mi się dowiedzieć, że inspektor traktu, jako też miejscowe władze sybirskie, czynią wszystko możliwe dla polepszenia oplakanego położenia wygnańców w czasie podróży z Tiumenia do Tomsku.

Barki po każdorazowej podróży bywają jaknajstaranniej wymyte i wykurzone, zaś utrzymanie wię-

Rok	Liczba transportowanych		C h o r y c h		Zmarłych		Chorych odstawion.	
	Dorosłych	Dzieci	Dorosłych	Dzieci	Dorosl.	Dzieci	Dorosl.	Dzieci
1870	7.444	1.492			85			
1871	8.202	1.214	1140		111		301	
1872	7.246	1.098	486		30		70	
1873	7.923	1.090	673		23		190	
1874	8.068	1.269	574		21		196	
1875	7.771	1.301	579		16		115	
1876	8.878	1.455	492	121	2	19	119	24
1877	9.065	1.499	300	133	2	35	143	44
1878	8.749	1.688	193	151	2	27	216	38
1879	8.977	1.342	570	154	4	47	182	39
1880	8.844	1.425	391	138	2	23	85	21
1881	9.011	1.452	197	22	4	23	71	23
1882	8.832	1.413	202	77	4	18	62	18
1883	9.506	1.543	150	107	4	38	66	37
1884	9.004	1.688	103	113	1	28	67	55
	127.520	20.969	1.598	3.452 1.016	25	286 258	1.011	872 299
	148.489		7.066		569		2.182	

zniów, względnie do funduszów wyznaczonych przez rząd, jest jaknajlepsze. Do opłakanego stanu transportowanych przyczynia się przedewszystkiem ciasnota na barkach, której urzędnicy sybirscy nie są w możności zapobiedz. Każdego lata nawożą tu z Rosyi 10—14000 aresztantów, których władze miejscowe są zobowiązane wysyłać w ciągu lata dalej na wschód. Berek jest wszystkiego trzy, z których każda, w ciągu czteromiesięcznego okresu komunikacyjnego, może odbyć co najwyżej 8 kursów. W każdej więc musi się mieścić 600—800 ludzi.

W środę 26. sierpnia w dzień oznaczony na przegląd więzienia, zawiadomił mnie pan Pietuchow, że nie będzie mógł w tej wycieczce uczestniczyć. Towarzystwo nasze składało się z pułkownika Jagodkina, pana Papelajewa, naczelnika bióra transportowego, oficera eskortującego barki transportowe, pana Frosta i mnie. Był to, pomnę, jeden z tych zimnych, posepnych i pochmurnych dni, tak zwykłych pod koniec lata w zachodniej Syberyi, niekiedy ciężkie, nieruchome chmury, jakby ołowianym baldachimem rozpinają się nad ziemią, a ostry zimny wiatr od oceanu Lodowatego hula swobodnie po tundrach Ostre, wilgotne powietrze skłoniło nas do przywdziania jesiennej odzieży. Węzienie etapowe w Tomsku, już na pierwszy rzut oka znacznie różniło się od innych, dotychczas znanych nam w Syberyi. Zamiast spodziewanego trzypiętrowego bielonego budynku z wazkimi, sklepionymi w górze oknami, zoczyliśmy coś w rodzaju zimowego obozu żołnierskiego, lub też małego siola obwarowanego wysokim ostrokołem, przeciw napadom Indyków. Prócz tablic z napisami, przybitych na budynkach i uzbrojonych sztyldwachów, obchożących palisadę, nie tam więcej nie znamionowało więzienia. Był to poprostu kilkomorgowy szmat błonia, otoczony wysokim ostrokołem, z po za którego wyglądał szczyt wieżycy cerkiewnej i kilkanaście drewnianych dachów. Dopiero odbijający się o uszy nasze brzęk

łańcuchów oznajmiał nam o właściwym przeznaczeniu tej osady.

Zameldowani przez p. Papelajewa oficerowi służbowemu, wkrótce zoczyliśmy podążającego ku nam rzadcę więzienia p. Iwanenkę. Powitawszy nas, poprowadził do wnętrza owej osady, składającej się z 12 do 15 parterowych mocno zbudowanych, drewnianych domów.

Pod drzwiami domów stali uzbrojeni żołnierze, po niebrukowanych zaś placach i przesmykach przechadzało się mnóstwo okutych na nogi przestępców i wygnańców. Właściwym więzieniem były tu długie drewniane baraki, pokryte deskami i zaopatrzone okratowanymi oknami, tudzież nader mocnymi i dobrze okutymi drzwiami. Każdy z tych drewnianych budynków zwanych »kazarmami« przedzielony był w poprzek na dwa oddziały czyli »kamery«. Więźniowie mieścili się w dziewięciu takich kazarmach, z których każda liczyła do 190 osób. Wszystkie kazarmy o ile mogłem zauważyć równe sobie, miały około 75 stóp długości, 40 szerokości i 12 wysokości. Pierwsza z »kamer« przez nas zwiedzonych, mieszcząca w sobie 150 aresztantów, wydała mi się dość widną, ale nadto duszną i gorącą; pod ścianami rozlegały się w okół szerokie, mocne drewniane nary, na których jednakże mogła się mieścić jedna tylko połowa aresztantów, podczas gdy druga zmuszoną była szukać spoczynku pod narami, lub też na gołej podłodze. Dzięki zapowiedzianej naszej wizycie, podłoga była wymyta; podług słów jednak rzadcy więzienia, jest ona zwykle bardzo brudną, a w dnie deszczowe zdeptaną błotem. I na tej to zagnojonej podłodze, pewna część więźniów zmuszoną jest przepędzać całe noce! Wielu z więźniów mając nas za wyższych urzędników przysłanych z Petersburga, ośmieliło się naruszać prawo dyscyplinarne więzienne, uskarżając się w obecności rzadcy na ciasnotę utrudniającą swobodę ruchów. Przyznawałem słuszność narzekaniom tych nieszczęśliwych i tłumacząc się, że jestem osobą prywatną, współczucie moje dla nich ograniczyć musiałem na słowach.

Przez całą godzinę chodziliśmy z jednego oddziału do drugiego, z jednej celi do następnej, spotykając wszędzie też samą ciasnotę, toż samo obrzydliwe zaduszone powietrze i szaro przyodzianych od stóp do głów, aresztantów. Pan Papelajew, który usilnie pragnął pozbyć się nas jaknajspieszniej, oznajmił, że obecnie nie pozostało nam nic już więcej do zwiedzenia prócz kuchni i oddziału chorych, przyczem nie omieszkiał dodać, że wzgląd na zaraźliwe powietrze w szpitalu przepełnionym chorymi na tyfus, powstrzyma nas z pewnością od zwiedzenia tej części więzienia. Młody jednak oficer, który dzięki wpływom pułkownika Jagodka, postanowił nas oprowadzić po całym więzieniu, spytał rządcy, czyby nie zechciał poprowadzić nas do »bałaganów«, t. j. namiotów, w których przemieszkawali więźniowie wspólnie ze swymi rodzinami.

— Dobrze — odrzekł rządca — pokażę tym panom wszystko, co sobie tylko życzą zobaczyć.

O »bałaganach«, dotąd jeszcze nie słyszałem, miarkować jednak mogłem, że p. Papelajew, który sam narzucił się nam na przewodnika, nie życzył sobie dopuścić nas do nich, podobnie jak do barek transportowych.

Owe »bałagany« były to trzy niskie, długie namioty, przyrządzone na prędcie z balów świerkowych i pokryte perkalem; miały się tu mieścić wyłącznie kobiety z dziećmi. Pierwszy z nich, do którego weszliśmy, okolony był rowem w połowie zamulonym stałymi nieczystościami, podczas gdy płynna gnojówka, przeciskając się przez wierzch, podmywała ściany. Ponieważ okien tu nie było żadnych, mieszkańcy przeto tego przybytku nędzy musieli się zadowalać tą małą ilością światła dziennego, jaką przepuścić mogła perkalowa osłona. Tak głęboko przemawiająca do serca ludzkiego nędza, jak ta, którą mieliśmy przed oczami, wiecznie pozostanie mi w pamięci. Namiot ten był już nie przepełniony, ale formalnie nabity stami zbiedzonych mężczyzn, wychudłych kobiet i dzieci, co wszystko we wszelkich może-

bnych pozach mieściło się na drewnianych narach. Przez szczeliny w dachu przeglądało niebo; podłoga drewniana była na wpół zgniłą, a jamy jej przekształciły się w kałuże wypełnione odchodami ludzkimi i możebnymi nieczystościami. Obrzydliwy ten fetor potęgowany był obecnością mnóstwa niemowląt, którym zbywało tu na troskliwej opiece.

W dodatku na wszystkich prawie żerdziach porozwieszano ledwo co wypraną w kociołkach bieliznę, zaś wazkie kurytarzyki zawałone były stosami worków, woreczków, sakiew, sienników i innych przeróżnych gratów. I w tym chaosie, nieporządku i nędzy, setki ludzkich istot, ściśnionych w ten sposób, że żadna z nich nie mogła się obrócić nie posztuknąwszy lub nie nadepnąwszy drugiej, czuły się w siłach do krzätänia się około potrzeb codziennego życia!

Co najwięcej tu wzruszało serce ludzkie, to sama myśl, że kobiety i dzieci, wystawiane na tę nędzę nie dopuściły się żadnego przestępstwa, lecz cierpią za to, że powodowane miłością dla swych mężów, ojców i braci, postanowiły dobrowolnie towarzyszyć im na wygnanie. Wiele z tych nieszczęśliwych zarzucało nas swymi skargami i prośbami.

— Wasza Miłość — odezwał się do rządcy jakiś bardzo stroskany człowiek — nie podobna jest w tej ciasnocie, zimnie, wśród ciągłego wrzasku dzieci, przez całą noc zmrużyć nawet oka; czy nie można by temu zaradzić? — Nie bracie — odpowiedział rządcą przyjacielsko, — nic ci tu nie poradzę; nie za długo wyszła cię dalej, wtedy będzie ci lepiej. — Dałby Bóg — westchnął biedny człowiek, zwracając smutny wzrok ku swej żonie i córeczce siedzącej obok na narach. — Ojczulku, mój dobrodzieju! — zawołała wybladła kobieta z niemowlęciem przy piersiach — na miłość Boga, pozwól mi z moim biednym robaczkiem przenocować w bani. — Nie mateczko, tego pozwolić ci nie mogę — odpowiedział rządcą, — tutaj ci będzie lepiej spać niż w bani. — Wiele innych kobiet zwróciły się z tą samą prośbą do rządcy, i również odmowną otrzymały

od niego odpowiedź. Spytałem wreszcie owego rządcę, zdającego się być dość dobrym człowiekiem, dla czego wzbrania tym kobietom z dziećmi nocować w bani; wszakże w namiotach zimno i dym nie dają im zmrużyć oka. — To jest niemożliwem, — odrzekł rządcą, — powietrze w bani jest nadto gorące i wilgotne. Doświadczenie przekonało mnie, że skutkiem zbytniego gorąca i wilgoci w bani umierało każdej prawie nocy po dwoje niemowląt.

Wychodząc z bałaganu natknęliśmy na pana Papelajewa, rozmawiającego wcale ostro z jakimś wygnańcem, około 35 lat liczącym, dorodnym blondynem, na twarzy którego malowała się rozpacz i zuchwałość. — Przez cały już miesiąc chodzę w jednej koszuli, bo mi nie chcą wydać drugiej — mówił wygnaniec drżącym głosem, — ta zaś brudna, podarta i pełna plugastwa.

— Skoro cię będą wysyłać dalej, — odpowiedział p. Papelajew chłodno i z pogardą — wtedy dadzą ci inną koszulę. — Kiedyż to będzie? — spytał wzburzony do głębi wygnaniec. Może za jakie trzy miesiące. — Bardzo być może — ironicznie oznajmił p. Papelajew, a widząc nas podchodzących, usiłował swą złość pohamować. — Więc pan chcesz, ażebyś chodził w jednej koszuli, dopóki z ciała mi opadnie! — zawołał w uniesieniu zrozpaczony wygnaniec. — Milcz! — wrzasnął p. Papelajew, nie mogąc dalej opanować swej złości — jak śmiesz w ten sposób odzywać się do mnie! Ja cię potrafię poskromić. Skoro będziesz stąd wychodził, wtedy dadzą ci inną koszulę. Ruszaj precz! Twarz wygnańca oblekła się rumieńcem gniewu, ale zapanował nad sobą i spokojnie skierował się do bałaganu.

— Jak długo te kobiety z dziećmi przebywać będą jeszcze w bałaganach? Spytałem rządcę więzienia. — Do drugiego października — odpowiedział. — A gdzież stąd pójdą? — Wzruszył ramionami i zamilczał.

Skierowaliśmy się znów ku barakowi, zamieszkałemu przez kobiety. I tu panowała też sama nędza co w bałaganach z tą chyba tylko różnicą, że

w drewnianych ścianach cieplej było niż pod płótnem. Mieszkańcy tego baraku, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko to w przeróżnych postawach kupiło się w środku izby i po jej zaułkach, a ścisk panował tu taki, że na podłodze nie było wolnej i jednej stopy kwadratowej. Przesycony widokiem strasznej nędzy, poprosiłem rządcy by nas poprowadził do szpitalu mieszczącego się w osobnym drewnianym budynku, obok cerkwi. Na wstępie spotkaliśmy się z Dr. Orzeszko, polakiem, człowiekiem bardzo ludzkim i dobrodusznym.

Szpital tutejszy różnił się od tiumeńskiego więziennego, chyba tem tylko, że zajmował cały budynek i schludniej był utrzymywany. — Pierwotnie przeznaczony był dla 50 chorych, obecnie mieścił 150 łóżek, a prócz tego przynajmniej 50 pacjentów leżało na tapczanach i ławkach. W czasie naszych nawiedzin znajdowało się w szpitalu tomskim 193 chorych, z których tyfusem dotkniętych było 71. Mimo natłoku wszystko utrzymane było schludnie; pościel wszędzie świeża a powietrze nie tak złe jak w Tiumeniu. Tabliczki zawieszane przy łózkach, wykazywały, że najwięcej rozwiniętymi tu chorobami są; tyfus, szkorbut, krwawa biegunka, reumatyzm, anemia i zapalenie oskrzeli. Pomiedzy pacjentkami widziałem wiele osób młodych w wieku od 25 do 35 lat, należących widocznie do lepszego towarzystwa: zdaje się że to były studentki medycyny.

Obszedłszy, w miarę możliwości całe więzienie i podziękowawszy rządcy, panu Iwanence, za grzeczne przyjęcie i jego otwartość, powróciliśmy do hotelu. Długo zasnąć nie mogłem tej nocy, mając wciąż na myśli ową osadę więzienną, a gdy nad rankiem zdrzemałem się trochę, przesuwaly się wciąż przed moimi

*) W czasie mego powrotu dowiedziałem się, że w październiku przewieziono 200 kobiet z dziećmi do jednego z domów, wynajętego w samym mieście, zaś 1000 do 1.500 aresztantów, pomieszczono w dwóch więzieniach miejskich. Do chwycenia się tych środków ostrożności skłonił tamtejsze władze grasujący w więzieniu deportacyjny, tyfus.

oczami widma trupów niemowląt, przepełnione bałagany, i wymowne twarze pacjentek w szpitalu więziennym.

Dla uzupełnienia czytelnikowi obrazu okrutnej, bezprzykładnej nędzy ludzkiej, w którą pogrąża system deportacyjny tak wielką liczbę ludzi, uznaję niezbędnem dorzucić tu jeszcze słów kilka o stanie etapowego więzienia w Tomsku, w jakim je zastałem w dwa miesiące później.

Podczas mego powrotu z wschodniej Syberyi, w miesiącu lutym, miałem długą rozmowę w tym przedmiocie z Dr. Orzeszko. Dowiedziałem się, że po naszym wyjeździe, liczba chorych z każdym dniem rosła, co przyczyniało się znacznie do pogorszenia dotychczasowego stanu więzienia. — Nie podobieństwem jest — mówił on — abyś pan mógł sobie wyrobić należyte pojęcie o tem, co tu się działo w listopadzie. Mielśmy w ciągu roku 2.400 przypadków słabości, jednocześnie zachorowało 450 osób, zaś łóżek wszystkich w szpitalu było tylko 150. Trzystu śmiertelnie chorych mężczyzn i kobiet leżało pokodem na ziemi w tak ściśniętych rzędach, że niepodobna było pomiędzy nimi się przesunąć. Żaden z nich nie mógł kaszlnąć lub pluć, nie dotknąwszy swego sąsiada. Powietrze w szpitalu było tak dalece zepsute, że podczas moich rannych wizyt niejednokrotnie omdlewałem. Ażebym choć trochę oczyścić powietrze, kazałem otwierać okna w początkach nawet zimy, co pociągało za sobą takie obniżenie temperatury, że termometr w izbach zaległych chorymi, pokazywał w dole 5° do 6° R. Z ogólnej liczby więźniów odchorowało 25%, a zmarło 10% (*).

*) Z raportu inspektora traktu okazuje się, że liczba chorych zwiększa się w stosunku do przepełnienia więzienia.

1885	Zachorowało przecięciowo dziennie	Ilość uwięzionych wyrażona w odsetkach
Czerwiec	108	58
Lipiec	170	69
Sierpień	189	71

— Od jak dawna — spytałem, — szpital tutejszy znajduje się w tym okropnym stanie? — Jestem tu już lat 15. — odpowiedział Dr. Orzeszko, — a od tego czasu, prawie nic się nie zmieniło. *)

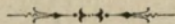
— Czy władze wyższe w Petersburgu są o tem zawiadomione? — Corocznie składamy raporta: ażeby raz już położyć koniec złemu, radziłem, cały ów szpital przesiąkły nawskróś zarazą, spalić ze szczętem. Sporządziliśmy plan nowego szpitalu więziennego, jednakowoż nie zatwierdzono go i dotychczas wszystko zostaje po dawnemu.

Szczerze to oświadczenie Dra Orzeszki nie potrzebuje żadnych komentarzy. Polegając na tych słowach, można w imię cywilizacji i ludzkości wnosić zażalenia przeciw opłakanemu stanowi etapowego więzienia w Tomsku.

Wrzesień	242	96
Październik	356	154
Listopad	406	232

Ilość chorych wzrasta w zimie, a w miesiącu marcu dochodzi do najwyższego punktu t. j. do 40·7% ogółu więźniów. Raport inspektora traktu za r. 1885 str. 30 rękopismu.

*) Podług raportu Oddziału lekarskiego ministeryum spraw wewnętrznych, w ciągu r. 1882 znajdowało się w więzieniu w Tomsku 1268 ludzi, dotkniętych tyfusem, a 1311 dyfteryą.



VII.

Wygnańcy polityczni i zwykli przestępcy w Tomsku.

W jaki sposób uzyskaliśmy wstęp do więzienia? Jak nam udało się wejść w stosunki znajomości z wygnańcami politycznymi, oraz przejrzeć mnóstwo wykazów urzędowych i innych dokumentów? Czy zamiary nasze mogły władzom miejscowym być wiadome, co ich skłoniło do patrzenia zamkniętem okiem na podjęte w tym kierunku nasze zabiegi i czynności? Te i inne podobne zadania, stały się przez czas długi po powrocie moim do kraju, przedmiotem głębszej mojej rozwagi. Po dziś dzień nie jestem w stanie dać na to wszystko wyczerpującej odpowiedzi, gdyż nieznane mi są instrukcje, wydane władzom sybirskim co do naszego przejazdu przez Syberyę, obcym mi również jest sposób zapatrywania się tych władz na naszą ówczesną tam działalność. Wykazując naszą taktykę i środki ostrożności, podjęte w celu odwrócenia z siebie podejrzenia władz miejscowych, nie mogę zarazem przemilczeć powodów skłaniających te władze do zajęcia wobec nas stanowiska bynajmniej nie nieprzyjaznego.

Zdawało mi się najpierw, że wysokie władze w Petersburgu, których prosiłem o udzielenie mi pozwolenia do zwiedzania więzień etapowych i zapoznania się z systemem deportacyjnym, rozważając bliżej tę sprawę zadecydowały, że niewłaściwe a nawet nierozsądnie byłoby ukrywać przed cudzoziemcem to, co

się dzieje w Syberji. — Rozumowano sobie: żaden Amerykanin ani Europejczyk z Zachodu, podejmując tak daleką podróż, nie poprzestanie na pobieżnym przeglądzie więzień i systemu deportacyjnego, lecz rozpatrywać będzie tę sprawę jak najgruntowniej, wszelkie zaś stawiane ze strony naszej przeciw tym badaniom przeszkody, wprowadzą nas w podejrzenie o ukrywanie prawdy. Pan Kennan należy do rzędu badaczy nam przychylnych, czego już dał dowody, występując publicznie w Nowym Jorku w charakterze obrońcy rządu rossyjskiego przeciw napadom nihilistów. Przypuszczać należy, że i obecnie podjął on podróż po Syberji, wyłącznie w celu zebrania faktów utwierdzających go w dobrej opinji o rządzie rossyjskim. W obec takich okoliczności nie należy przesądzać stanu rzeczy, i mieć to jeszcze na uwadze, że z misyi takiej korzystniej się wywiąże cudzoziemiec niżeli krajowiec*). Sprawozdanie pana Lansdella o zakładach karnych w Rosyi wypało na korzyść rządu, przeszłość zaś pana Kennana każe nam mniemać, że on w swej życzliwości dla nas, pójdzie tą samą drogą. Opisy podróży tych panów zaspokoją ciekawość cywilizowanego Zachodu, a rezultaty ich badań zamkną usta pokątnym naszym krytykom i oskarżycielom. Skoro angielski duchowny i amerykański publicysta po zbadaeniu rzeczy na gruncie, nie dopatrzą w systemie de-

*) Zaufanie, jakim obdarzył mnie pan Vlangelli, sekretarz ministra spraw zagranicznych, polegało bezwątpienia na znanym mu moim odczycie o Syberji, wygłoszonym w amerykańskim towarzystwie geograficznem, w obronie rządu rossyjskiego. W rozmowie naszej p. Vlangelli chciał się upewnić o moim sposobie zapatrywania się na tę sprawę. Nie przyrzekałem ja mu wprawdzie, że zajmę stanowisko obrońcy rossyjskiego rządu, zapewniałem go wszakże, że zamiarem moim nie jest bynajmniej opracowanie jakiegoś sensacyjnego traktatu. nadmienając zarazem, że podług mojego zapatrywania system wygnania przedstawiają w złem nadto światło, że wreszcie opis rzetelny istotnego stanu rzeczy zwróciłby na siebie uwagę świata cywilizowanego i prawdopodobnie wypadłby na korzyść rządu rossyjskiego. Takie było ówczesne moje wewnętrzne przekonanie, dla tego też obecnie nie poczuwam się do żadnej winy.

portacyjnym nie tak gorszącego, to z pewnością wyrok ich znajdzie uznanie u szerszej publiczności. Baczając na to, pozwolimy pp. Kennanowi i Frostowi zwiedzić Syberję, opatrzymy ich nawet listami polecającymi, co się tyczy jednak oględzin więzień, to rzecz tę pozostawiamy do uznania władz miejscowych sybirskich.

Należałoby jeszcze mieć na względzie nieprzychylnie usposobienie tych panów dla rządu, jakim natchnąć ich mogą osiedleni w Syberyi przestępcy polityczni, obawy te jednak w obec już złożonych przez tych panów dowodów życzliwości, — zdają się być płonnymi; od należytego jednak zabezpieczenia się od skutków tych nieprzyjaznych wpływów, poszlemy ich do p. Katkowa, który zdolnościami swymi i wymową z pewnością potrafi utrzymać ich na przyszłość w dobrej o rządzie opinii. Gdyby jednak panowie ci zaczęli wchodzić w nadto ścisłe stosunki z przestępcami politycznymi to postaramy się zapobiedz złenau, oddaniem ich pod nadzór policji.

Te moje domysły co do podobnego rozumowania władz w Petersburgu, uzasadnia w części zachowanie się w obec nas organów rządowych w Syberyi. Niemal na każdym kroku wpadało w oczy, że władze sybirskie otrzymały tajemne upoważnienie ułatwiania lub też utrudniania nam wstępu do więzień, a to względnie do własnego ich sposobu zapatrywania się na tę sprawę.

Dla nas było też rzeczą doniosłego znaczenia zjednać sobie zaufanie u tych władz, a natomiast unikać tego wszystkiego, cokolwiek nas mogło wprowadzić w podejrzenie o współnictwo z wygnańcami politycznymi. Z liczby miast, przez które przejeżdżaliśmy, przynajmniej dziewięć dziesiątych łączyła z Petersburgiem komunikacya telegraficzna. Gdyby tylko policji udało się wysledzić, że celem naszych zabiegów jest bliższe zbadanie systemu deportacyjnego i dla dopięcia tego celu nadużywamy położonego w nas zaufania, wykazywania się w różnych miejscowościach jednymi

i temiż samymi listami polecającymi, wtedy niezawodnie telegrafowanoby do ministra spraw wewnętrznych: »Kennan i Frost wszędzie zawiązują stosunki z wygnańcami i przestępcami politycznymi. Czy życzeniem rządu jest im na to pozwolić?« Jaką by dano odpowiedź na podobny telegram? Najprawdopodobniej poleconoby mieć się na baczności, albo też wziąć nas pod ścisły nadzór, co by znów paraliżowało nasze zamiary. Listy polecające, jakimi nas obdarzono w Petersburgu, mogły służyć nam tarczą przeciw samowładnemu występowaniu miejscowych władz sybirskich, nie ulega jednak wątpliwości, że władze te z polecenia wyższego, mogły nas aresztować w każdej chwili. To też linia telegraficzna od roku już ciążyła nad naszymi głowami jakby elektryczny miecz Damoklesa, który nagle miał zniweczyć wszystkie nasze zamiary.

Do samego Uśc-kamienogórska nie doznawaliśmy żadnych przeszkód ze strony policyi, a nasze znajomości z wygnańcami politycznymi nie zwracały jej uwagi. Obecnie, będąc w posiadaniu wcale poważnej liczby listów i różnych dokumentów, których konfiskata pociągnęłaby za sobą kompromitację wielu osób, wzięliśmy sobie za główne zadanie, w rozmowie naszej z osobami urzędowymi wystrzegać się tego wszystkiego, cokolwiek dotyczyło polityki, a natomiast podtrzymywać z nimi jaknajlepsze stosunki. Unikanie policyi, jakby przez obawę, zdawało mi się największym błędem; owszem, śmiałe zachowanie się w obec władz było nie tylko właściwem, ale koniecznem; dla tego też po przybyciu do każdej wioski i miasteczka, na samym wstępie starałem się odszukać »isprawnika« lub którego z starszych urzędników, i zawiązując pierwszy rozmowę o tem, co leżało w obrebie naszej działalności, odrazu nie dopuszczałem go do jakiegokolwiek szkodliwych nam domysłów. Obeznani już poprzed przez wygnańców politycznych, z kolejami życia, usposobieniem a nawet przyzwyczajkami każdego niemal urzędnika, bez trudności mogliśmy być od razu panami sytuacji. — Zachowanie się nasze

w obec urzędników nam obcych, nacechowane było obojętnością, podczas gdy z tymi, z których przeszłością byliśmy obeznani, wchodziliśmy w długie pogawędki, dzielali ich sposób zapatrywania na rzeczy, ukrywając się z tem wszystkim, co nie przypadało im do smaku. Postępując w ten sposób, wyrabialiśmy sobie jaknajlepszą opinię; miano nas za ludzi wytwornych ale zarazem bystrych badaczy, jak to było w istocie. Wzięliśmy sobie za obowiązek nie odwiedzać inaczej urzędników, jak tylko w pełnej gali, co miało być dowodem hołdu i uznania; w wielu razach należało się z nimi raczyć gorzałką; oddawaliśmy ich żonom należyte honory; pan Frost portretował dzieci, jednym słowem, zjednywaliśmy sobie powszechny szacunek i uznanie, dzięki czemu mogliśmy po kilka dni przebywać po wsiach, nie budząc żadnego podejrzenia.

Dalszem naszym zadaniem było podtrzymywanie stosunków ze starszą policyjną; szło tu nie tylko o odwrócenie podejrzenia ze strony prostodusznych strażników, ale także o wyrobienie sobie opinii u mieszkańców, iż jako ludzie nauki interesujemy się przeważnie rozwojem oświaty. W tym celu nie pominęliśmy żadnej prawie szkoły ludowej, wypytując się skwapliwie nauczycieli wiejskich o różne szczegóły, dotyczące oświaty, przemysłu, ruchu handlowego, które to wszystkie relacye wpisywane były w ich oczach do naszych podróżnych notysek. Ta przebiegła manipulacya była moim udziałem, podczas gdy pan Frost zajęty był zwykle zdejmowaniem krajobrazów, zbieraniem ziół, łapaniem motyli, użyl pocztmistrzów i włościan geografii, kosmografii, wykladał początki astronomii pokazując na niebie głównejsze planety i w ogóle różnymi popularnymi gawędami zaprzętał ich uwagę. Missya ta sprawiała p. Frostowi wielką przyjemność a zarazem kładła tamę przeróżnego rodzaju domysłom i podejrzeniom, które budzi w umysłach niezaspokojoną ciekawość. Dzięki podobnemu kierunkowi rzeczy, wszyscy uważali nas za ludzi wiedzy, podejmujących podróż po

Syberyi w celach wyłącznie naukowych, oddanych przeważnie sprawie oświaty ludowej, sztuce i naukom przyrodniczym. Uchylając się tym sposobem od podejrzenia policyi, jako też ludu wiejskiego, mogliśmy już bezpiecznie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, ruszać się swobodnie, poświęcając każdego wieczora po godzin kilka wygnańcom politycznym. A jeżeli kiedy nawet który z włościan zoczył nas przestępujących progi chaty wygnańców, to nawiedzinom tym naszym przypisywano cele wyłącznie naukowe. W miarę posuwania się ku wschodowi, gdzie polityczni pozostają pod baczniejszem okiem policyi, zmuszeni byliśmy, względnie do okoliczności, zmieniać naszą dotychczasową taktykę; wszędzie jednak zachowanie się nasze zaznaczało się stanowczością i pewnością siebie, wszędzie pierwsze nasze kroki zwrócone były ku władzom wyższym. właściwem zachowaniem się jednaliśmy ich sobie, zaś odpowiednim kierunkiem rozmowy utrzymywaliśmy ludzi w tem przekonaniu, że cel podróży naszej po Syberyi jest ściśle naukowy. Rozumie się, że stosunki nasze z wygnańcami politycznymi nie mogły być dla policyi zupełną tajemnicą, jednakowoż o ile mi wiadomo, żaden z urzędników nie przeczuwał nawet, jakiego znaczenia były te stosunki i do jakich dochodziły rozmiarów. W każdym razie czuliśmy się zabezpieczonymi od ciosów owego telegraficznego miecza Damoklesowego, i dopiero w ziemi zabajkalskiej spotkała nas niespodziana nauka.

W badaniach naszych nad systemem deportacyjnym, przysługiwało czynny udział wielu wykształconych urzędników, którzy nie małą przynieśli nam tu pomoc. Niektórzy z nich z prawdziwem zadowoleniem wytykali wadliwe strony systemu deportacyjnego i metody karnej, wykazując w całej nagości szereg praktykowanych nadużyć, oszukaństw i gwałtów. Ta ich śmiałość, otwartość w zwierzaniu się cudzoziemcowi, wprowadzała mnie nieraz w zdumienie.

— Rozpatrywanie systemu wygnania, jest główną

moją rozrywką — odezwał się raz do mnie pewien wysoki urzędnik Oddziału więziennego, — nie mam powodu uskarzania się na moją pensję i stanowisko, podziękowałbym jednakże za pierwsze i drugie, gdyby raz już zniesiono ów cały system wygnania. Jest on nieszczęściem dla Syberyi, zgubą dla przestępców i przyczyną niewysłowionej nędzy; ale cóż robić? Wszyscy zapatrujemy się tak samo na tę kwestję, nie możemy jednak przekonań naszych wyjawiać oficjalnie, bo by nas pociągnięto do surowej odpowiedzialności; doświadczenie nauczyło że najlepiej milczyć.

— Napatrzyłem się do syta nadużyciom i ludzkiej nędzy — mówił inny urzędnik — a zapobiedz złemu nie jestem wcale w stanie, albo tylko bardzo mało. Może pan podając to wszystko do publicznej wiadomości, przyczynisz się choć czemkolwiek do poprawy; pisa nie należałoby trzymać w naszych więzieniach a cóż dopiero człowieka; od roku proszę i dopominam się o wystawienie nowego budynku więziennego, a rezultatem tego wszystkiego, jest chyba zwój zabazgranej bibuły.

Toż samo słyszałem z ust kilku dziesiątek urzędników i oficerów służbowych, z których wielu dostarczyło mi ważnych w tej sprawie dokumentów i wykazów statystycznych. Co się tyczy wygnańców politycznych, to na tem polu moich badań wsparty zostałem dobrą wolą wielu osób sprzyjających liberalnemu ruchowi politycznemu. W pewnem mieście bywałem sam na zebraniach socyalistów, odrywających się w mieszkaniach prywatnych. Na zebraniach tych uczestniczyło wielu członków rady miejskiej, kilku oficerów i wszyscy wygnańcy polityczni; oficerów łączyły stosunki najserdeczniejszej zażyłości z wygnańcami, rozmawiano otwarcie z całą swobodą, śpiewano pieśni zakazane. W wielu innych miejscach w Syberyi spotykałem się również z podobnymi objawami „niebłagonadwoźności“, a po powrocie z Rossyi azyatyckiej, w Petersburgu miałem do czynienia z urzędnikami przychylnymi dla przestępców politycznych; ci pierwsi

dostarczali mi odpisów ważnych papierów i dokumentów. Łatwo pojąć, że gruntowne nawet zapoznanie się z systemem deportacyjnym nie przedstawia wiele trudności, jeżeli usiłowania badacza wsparte są pomocą doświadczonych urzędników i obywateli, a zwłaszcza wtedy, jeżeli dążeniem tych ostatnich jest wyświecenie prawdy w obec całego świata. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, byli roztropni, dobrej woli, zajmujący się sami zbieraniem materiałów od wygnańców politycznych.

W Tomsku spotkałem się po raz pierwszy z politycznymi, zasądzonymi na wygnanie za szerzenie propagandy w latach 1872—1875, a nazywanych mylnie rewolucjonistami. W zasadach swych mało oni różnili się od wygnańców administracyjnych w Ulbińsku, Siemipalatyńsku i Uśc-kamienogórsku. Jeden z nich gorliwy publicysta Czudnowski, człowiek około 35 lat liczący, opowiadał mi, że aresztowano go po raz pierwszy 19-letnim studentem, od którego to czasu po dziś dzień nie rozstawał się z więzieniem i wygnaniem. Trzymano go w charakterze podsądnego przez lat 4, miesiące 3 w fortecy Piotro-pawłowskiej, gdzie za protest przeciw dokonywującym się na nim nadużyciom i gwałtom, wsadzono go do wilgotnej ciemnicy. Wtedy zaczął się moryć głodem. i dopiero opinia lekarza o grożącym mu niebezpieczeństwie. skłoniła komendanta fortecy Bogorodzkiego do wyzwolenia go z podziemnej kazi i zwrócenia zabranych mu materiałów piśmiennych. Wreszcie włączony w r. 1878 do partii »193« oskarżonych »o rozpowszechnianie wzbronionych książek«, p. Czudnowski został skazany na 5 lat ciężkich robót i pozbawienie wszystkich praw stanu. Sąd uwzględniając przeszło czteroletni pobyt p. Czudnowskiego w więzieniu śledczym, uchwalił wnieść prośbę do cara o zamianę rzeczonej kary, dożywotniem wydaleniem go do zachodniej Syberyi*).

*) Uchwała sądowa w procesie »193« par. 5. 11 i 16. Odpis urzędowy tego dokumentu znajduje się u mnie.

Z wyjątkiem Czudnowskiego, który zachował w pełni siły fizyczne i moralne, wszyscy inni wygnańcy zdawali mi się bardzo sponiewierani na zdrowiu wieloletnim więzieniem, a następnie życiem na wygnaniu. Zwyciężając wszelkie przeszkody, Czudnowski niezmordowanie pracował wciąż na polu naukowym, aż wreszcie dobił się odpowiedniego sobie zajęcia i stanowiska. On to jest autorem wybornego i starannie opracowanego dzieła »Historia rozwoju szkolnictwa w Syberii« wydawanego w »urzędowym roczniku« w r. 1885 w gubernii tomskiej; odbył on, z polecenia »cesarskiego towarzystwa geograficznego sybirskiego« dwie wyprawy naukowe w góry altajskie; należy do najgorliwszych współpracowników czasopism rosyjskich, a dzieło jego o gubernii Jenissejskiej, zostało uwieńczone nagrodą przez radę miejską w Krasnojarsku.*) Czudnowski w każdym innym państwie byłby bardzo pożytecznym człowiekiem i przyniósł by zaszczyt swej ojczyźnie; niestety urodził się w Rosyi, gdzie dołą jego było więzienie i wygnanie.

Do wybitniejszych osobistości zamieszkałych czasowo w Tomsku, zaliczyć należy p. Konstantego Stanjukowicza, wydawcę i właściciela czasopisma »Dielo«. Koleje życia tego literata podałem już w krótkości w rozdziale poprzednim »Wygnanie porządkiem administracyjnym«. Pan S. jest ścisłym i bystrym badaczem życia publicznego w Rosyi, uzdolnionym nowelistą, obiecującym dramaturgiem; jednym słowem, człowiekiem wybitnych zdolności i pełnym energii. Małżonka jego, kobieta niezwykle wykształcona i utalentowana, włada wybornie językiem angielskim. Prócz dorosłej już córki, 17 letniej, urodziwej panienki, państwo Stanjukowiczowie mieli wówczas jeszcze kilkoro drobnych dzieci. Najprzyjemniejsze wieczory spędzałyśmy w ich szczupłym, ale wygodnie urządzone mie-

*) »Gubernia Jenissejska, studjum statystyczne i narodowo-ekonomiczne« S. Czudnowski str. 195. W drukarni gazety sybirskiej. Tomsk 1885 r.

szkaniu. Często i śpiewaliśmy z panną Stanjukowicz do samej północy przy akompaniamencie ks. Krapotkina, rozmawialiśmy o rządzie rosyjskim i systemie deportacyjnym, lub przypominaliśmy sobie wrażenia, wyniesione z Londynu, Paryża, Berlina, Nowego-Jorku i San-Francisko. Państwo Stanjukowiczowie przejechali wzdłuż i w szerz całe prawie Stany zjednoczone, mieliśmy tedy wspólnych naszych znajomych i wspólne wspomnienia. Obecnie p. Stanjukowicz usiłował zdobyć sobie pracą literacką środki niezbędne do utrzymania swojej rodziny, a żona jego dla ulżenia mężowi troski o chleb powszedni, udzielała lekcji muzyki. Skazani oni byli na trzyletnie wygnanie, i jeżeli rząd nie przedłuży oznaczonego im terminu wygnania, to kartki niniejsze powinny ich dojść, jako ludzi wolnych.

Najsympatyczniejszym i najbardziej pociągającym z wygnańców osiedlonych ówczesnie w Tomsku, był dla mnie rosyjski pisarz, Feliks Wołchowski, skazany w r. 1878 na dożywotnie osiedlenie w Syberyi, za czynny udział w tajnem stowarzyszeniu, mającem na celu zniweczenie — w bliższej lub dalszej przyszłości — głównych podstaw istniejącego ustroju państwowego. Ówczesnie Wołchowski mógł liczyć około 38 lat. Był to człowiek zdolny, uczuciowy a przytem bardzo czynny; władał językiem angielskim, posiadał dokładną znajomość amerykańskiej historyi i literatury, miał przytem szczególniejsze uznanie dla Longfellowa, którego poematy przełożył na język rosyjski. Życie tego ze wszech miar zacnego człowieka było szeregiem wielkich nieszczęść i cierpień. Wieloletnie więzienie w fortecy Piotro-pawłowskiej zrujnowało ze szczętem jego zdrowie, wyszedł z niego z posiwiąłym włosem, a w ciemnych oczach jego, w godzinach zadumy mieszkiał zawsze smutek. Poznawszy go na wskroś, pokochałem tę złą duszę; żegnając się też z mną po raz ostatni w czasie powrotu mego z wschodniej

Syberyi ucałował mnie i powiedział: Jerzy, nie zapominaj o mnie: zabierasz z sobą część mego życia *).

Od czasu powrotu mego do Ameryki raz tylko doszła mnie wiadomość o p. Wołchowskim. Ostatniej mianowicie zimy otrzymałem niewypowiedziane przykry i wzruszający list, zawiadomwiający o samobójstwie jego żony. Wąłła ta, sterana wieloletniem więzieniem kobieta z oczami tęsknymi, wyrażającymi ból wewnętrzny, resztkami sił pomagała mężowi utrzymywać rodzinę, zwłaszcza gdy rząd, zawieszając wydawnictwo wolnomyślniej »gazety sybirskiej« pozabawił go jako współpracownika, ostatniego kawałka chleba. Ciągłe jednak trudy i troski tak dalece zrujnowały jej zdrowie, że czując się więcej zawadą niż pomocą tym, których tak kochała, wystrzałem z pistoletu odebrała sobie życie. Zgon jej był strasznym ciosem dla kochającego ją serdecznie męża. — W liście swym, wspominając

*) Zimą 1884 r., powracając z wieloletniej mojej poniewierki przez Tomsk, na wstępie zostałem tam aresztowany i uwięziony. Dowiedziawszy się o tem, Wołchowski z kolegą swym Mokiejowskim udali się bezzwłocznie do gubernatora p. Krasowskiego prosząc go usilnie o wyzwolenie mnie. Miara uznania gubernatora dla wspomnianych wygnańców politycznych, może posłużyć fakt, że p. Krasowski czyniąc załość ich życzeniu, o północy zwołał nadzwyczajną radę gubernialną, która uchwaliła wypuścić mnie z więzienia za ich słowną poręką. Przemieszkując w Tomsku około dwóch tygodni, miałem sposobność poznać bliżej Wołchowskiego i jego rodzinę. Wysoko wykształcony ów człowiek, łączył w sobie tyle przymiotów duszy, że nawet wrogiowie jego polityczni — bo osobistych mieć nie mógł, — dawali mu dowody szacunku i uznania. Śmierć jego żony, owej ofiary tyranii rządu, osoby, która swem wykształceniem, słodyczą charakteru, mrówczą pracą i bezprzykładną rezygnacją głęboko się wryła w pamięć każdego, kto choć na krótką chwilę gościł w domu państwa Wołchowskich, — dotknęła mnie do głębi duszy... Przez dni wiele i nocy wiele, miałem wciąż przed oczami tego zacnego człowieka, przeszytego mieczem boleści... Z prawdziwą też radością powitałem wiadomość, że Wołchowski, któremu ułatwiono w tym roku ucieczkę z Tomsku, znajduje się obecnie na wolnej ziemi amerykańskiej, gdzie wspólnie z czcigodnym autorem »Syberyi« głosi publicznie prawdę, czego mu na ojczystej ziemi wzbroniono.

(Przypisek tłumacza).

o nadesłanych mu przezemnie poezjach James Russell Lowella wyraża się, że poemat »po pogrzebie«, tak żywo stawia mu przed oczami duszy tożsamość bólu i smutku we Wszechświecie, że osiero ony amerykański mąż zjednał sobie u swych rosyjskich towarzyszy po muzyce, niezatartą pamięć i najgłębsze współczucie. W liście tym znajdowało się pudełeczko do zapalek, upominek ks. Aleksandra Krapotkina od brata swego Piotra, które Wołchowski odziedziczywszy w spadku, nadesłał mi obecnie. Mniemał on, że owa pamiątka po czterech znanych mi złoczyńcach politycznych, nie będzie dla mnie bez wartości. Ówczas, z czterech braci Krapotkinów jeden był na emigracyi w Londynie, drugi na wygnaniu w Tomsku, dwóch zaś pozostałych wyzwoliło się z pod żelaznej ręki rosyjskiego rządu, — samobójstwem.

Chciałem przeczytać list Wołchowskiego mojej żonie..., gdy mi jednakże stanęła w pamięci szlachetna jego postać, kiedym pomyślał jak straszny cios dotknął znowu tego człowieka, którego życie było dotychczas pasmem samych tylko nieszczęść, — gdym zoczył go tułaczem, z skrwawionem sercem, огоłoczonego z wszelkich nadziei, — wówczas głos mój stłumiły cisnące się do oczu łzy.

Car jest nadto potężny, by nie mógł takich ludzi jak Feliks Wołchowski, katować i zatracać w lochach fortecznych, lub też zgwałconych, z przedwcześnie zbitym włosem, gnać przebranych w aresztanckie chałaty, jak zbrodniarzy, po stepach i puszcach sybirskich. Przyjdzie jednak czas, gdy imiona ich, inaczej niż jego, zapisane będą na kartkach dziejów, bo pamięć tych ludzi będzie źródłem z którego wszyscy kochający wolność i ojczyznę Rosyjanie, natchnienie do czynów bohaterskich, czerpać będą!

W Tomsku doświadczyliśmy po raz pierwszy owego wyteżenia nerwowego, jakie wywołuje widok ogromu nędzy i nieszczęścia człowieczego. Dotychczas podróżując po południowo-zachodniej Syberii pobocznym tylko gościńcem, spotkaliśmy się z wygnań-

cami politycznymi, których dola, o ile zauważyć mogłem, nie była jeszcze tak dalece opłakana. W ogóle wygnańcy w Siemipałatyńsku, Uśc-kamienogórsku, i Ulbińsku prowadzili życie dość znośne. W Tomsku dopiero znaleźliśmy się u samego źródła męczeństw i tragiczności. Potęgujące się wciąż wzruszenia nasze moralne, wyniszczające nie równie więcej organizm niż zimno, głód i wszelkie niewygody podróży, nie odstępowały nas, do samego Petersburga. Któż bo mógłby patrzeć obojętnie na straszną nędzę ludzką, której widownią były »bałagany« i szpital w Tomsku, — albo też nie uczuwać się wzruszonym do głębi duszy opowiadaniem politycznych przestępców w Tomsku, Krasnojarsku i ziemi zabajkalskiej? Przypominam sobie w wschodniej Syberii, pewną wybladłą, wynędzniałą, bliską śmierci wygnankę polityczną. Nalegała ona na mnie bym zechciał przysłuchać się kolejom jej życia; uczyniłem jej życzeniu zadość, chociaż zrzekłbym się chętnie wszystkiego. byle tylko oszczędzić jej strasznej męki i rozpaczliwej gry uczuć, jakimi nabawiały ją wspomnienia z przeszłości. Ja składałem świadectwo prawdziwie; z ust moich powinien świat się dowiedzieć o tych strasznych mękach, które przetrwali Rosсыanie zanim stali się terorystami; jam się przysłuchiwał opowiadaniom przerywanym łkaniem i gorzkimi łzami! Po każdym takim przejściu — a było ich dosyć — nie spotykałem się długo z snem i spoczynkiem. Podobnego rodzaju wstrząśnienia moralne, przy udręczeniach i niewygodach podróży, powaliły mnie w ziemi zabajkalskiej, na łożo boleści.

Jeszcze w czasie pierwszego przejazdu mojego przez Tomsk, dotychczasowe moje mniemanie o rossyjskich nihilistach, ze szczerem zostało zmienionem.

W Tomsku, a następnie w podróży do Irkucka, po raz pierwszy mieliśmy sposobność zapoznania się ze sposobem życia sybirskich wygnańców podczas marszu. Po gościńcu Tomsko-Irkuckim, na długości 1680 km. snują się co tygodnia jak rok długi, 300 do 400 głów liczące, partye aresztantów. Na całej tej linii roz-

łożone są w odległości 40 do 60 km. domy etapowe z komendą, składającą się z jednego oficera i około 40 żołnierzy. Ponieważ okuci na nogi więźniowie nie są w możności przebyć pieszo w ciągu dnia tak znacznej drogi, przeto pomiędzy stacyami etapowymi stoją tak zwane póletapy, przeznaczone na miejsca noclegu dla transportowanych. Partya przebywa w ciągu miesiąca 500 wiorst czyli 530 km., i po dwudniowym marszu odpoczywa całą dobę w głównych etapach. Każdemu aresztantowi dają na rękę dziennie strawnego 10 kopiejek ($12\frac{1}{2}$ centa), za który pieniądz zakupuje on żywność u chłopów ciągnących z niego zyski. Kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie swym ojcom, braciom lub mężom, zaopatrzeni muszą być w swą własną odzież i w takiej tylko ilości, ażeby cały ich bagaż mógł się mieścić w worku. mającym objętości około 70 litrów. Wygnańcy polityczni są zrównani w swych prawach ze zwykłymi aresztantami, z tą tylko różnicą, że uprzywilejowani pobierają dziennie strawnego zamiast 10 kop 15, nadto nie idą pieszo, lecz wloką się za etapem, w jednokonnych kibitkach *).

Do 1883 r. kobiety transportowano wspólnie z mężczyznami, następnie zaczęto oddzielać bezżennych od żonatych, dopełniając tę grupę kobietami niezamężnymi i dziećmi. Z wprowadzeniem tej zmiany zmniejszyła się trochę demoralizacya, owe konieczne następstwo wielomiesięcznego wspólnego pożycia kobiet z mężczyznami, że zaś i w transportach mieszanych nie brak ludzi zepsutych, przeto obyczajność narażona jest na szwank.

Zaproszeni przez komendanta etapu kapitana Gudema, skierowaliśmy się 24 sierpnia o 7 rano ku domowi etapowemu, ażeby przypatrzeć się wymarszowi aresztantów. Ranek był bardzo zimny, zanosiło się je-

*) Był czas, gdy wygnańców politycznych odsyłano na Sybir extra-pocztami pod konwojem żandarmów, z powodu jednak znacznych kosztów podróży, zaniechano extrapoczt, tak, że wszystkich politycznych łączą w jedną partję z aresztantami zwykłymi.

dnak na dzień słoneczny i gorący. Zmiarkowawszy, że partya gotuje się dopiero do wymarszu, a nie chcąc kłopotać kapitana Gudema, postanowiliśmy oczekiwać go na ulicy.

Około godziny 8 rano, zatrzymały się przed bramą kibitki zamówione dla chorych i zbyt osłabionych. Jeden z podoficerów, spoczywający z kilkoma żołnierzami przed więzieniem na ławach, zoczywszy nadjeżdżające kibitki, przeciągnął się parę razy, ziewnął, poczem z miną wielce niezadowoloną podniósłszy się z ławy, wszedł w dziedziniec; żołnierze pospinali swoje pakunki, chwycili za broń, a wzmagający się brzęk kajdan oznajmiał, że kolumna gotuje się do marszu. Wreszcie nadszedł kowal z przenośną kuzienką, młotkami i pękiem kajdan na ramionach, które wszystkie zrzucił na ziemię. Żołnierze wzięwszy broń na ramiona, sformowali półkole; pod bramą stanęli dwaj podoficerowie, z których jeden trzymał w ręku listę imienną aresztantów, drugi, — torbę pełną miedziaków. Oficer odczytywał nazwiska więźniów, kowal opatrywał kajdany, a podoficer dźwigający torbę z miedziakami, wypłacał każdemu aresztantowi na rękę po 20 kop. (25 ct. w. a.) jako dwudniowe strawne, do następnego etapu. Teraz cała partya aresztantów — dla ułatwienia kontroli — wyciągnęła się w dwa równoległe sobie szeregi, z których jeden tworzyli przestępcy, drugi, osiedleńcy. Pierwsi pozdejmowali czapki, a podoficer oglądał, czy należycie mają pogolone głowy. W miarę napływu aresztantów, żołnierze rozstępowali się, tworząc zwiększające się półkole. Wreszcie cała partya, licząca 350 do 400 ludzi, przestąpiła bramę i stanęła na gościńcu. Wszyscy aresztanci mieli przy sobie worki płócienne, w których mieściły się onuczki, szmaty, chleb i różne drobiazgi; wielu niosło czajniki miedziane i żelazne kociołki. a jeden z nich, trzymał na ramieniu burego pieska. Po powtórnem przeliczeniu, więźniowie pokładli swe worki na kibitki, ja zaś korzystając z chwili, zacząłem z nimi rozmawiać. Jeden

z nich, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, przemówił do mnie po angielsku

— Kto jesteście? — spytałem. — Brodiaga — odrzekł on spokojnie i z powagą.

— Jak się nazywacie?

— Iwan »niepomniaszczyj«, — odpowiedział, — a przekonawszy się o nieobecności oficera, szepnął mi na ucho: — Moje właściwe nazwisko jest Jan Anderson, rodziłem się w Rydze.

— Gdzie nauczyliście się po angielsku? — spytałem. — Jestem pochodzenia angielskiego; często też bywałem w przystaniach angielskich jako majtek.

Zbliżenie się kapitana Gudema pożyło koniec naszej rozmowie. Partya ta wygnańców liczyła wielu brodiagów z rodziny Iwanów »niepomniaszczych«, którzy schwytani w wschodniej Syberii, częstokroć podczas zimy oddają się sami w ręce rządu, chroniąc się przed głodową śmiercią.

Kapitan Gudem mniemał, że w tej partyi jest wielu takich, którzy już po raz szósty uciekli z katorgi.

— No zuchy! — zawołał niespodzianie — powiedźcie mi, wielu z was już po raz szósty uciekło z katorgi?

— Bardzo wielu, — zawołało naraz wiele głosów; wreszcie wystąpił z szeregu jakiś siwo-brody aresztant w kajdanach na nogach i oznajmił, że czterokroć zbiegł już z katorgi, obecnie wraca tam po raz piąty. A więc człowiek ten, przeszedł już ośm razy odległość pomiędzy Tomskiem a kopalniami w Karze, wynoszącą 3.220 km.

— Znam włóczęgów, — mówił kapitan Gudem — którzy po razy szesnaście odbywali tę drogę i do tego w kajdanach, przez stepy i lasy. Jak oni to wszystko wytrzymują, Bogu jednemu wiadomo.

Skoro weźmiemy pod uwagę, że trzydzieści dwa razy wzięta odległość dzieląca Karę od granic zachodniej Syberii, przedstawia obwód całej kuli ziemskiej, to można mieć choć pobieżne pojęcie o determinacji tych ludzi i gwałtownem ich przywiązaniu do ziemi

*

rodzinnej. W 1884 r. odtransportowano do ziemi zabajkalskiej 1360 zbiegów schwytanych w wschodniej Syberyi, a całe ich setki giną po lasach z zimna i głodu. Pewien rossyjski oficer, Orfanów, który przez dłuższy czas przebywał w ziemi zabajkalskiej, opowiadał mi, że w jednym tylko więzieniu w Kajdałowie — pomiędzy Czyta i Nerczyńskiem — spotkał aż 200 Iwanów „niepomniaszczych“.

Miedzy włóczęgami spotkałem wielu ludzi rozsądnych i wykształconych. Jeden z nich, widocznie obeznany dobrze z sztuką fotograficzną, obejrzawszy z szczególną uwagą nasz aparacik, spytał mnie, w jaki sposób traktowani są przestępcy w Stanach zjednoczonych, i czy nadobowiązkowe zajęcia przynoszą tam jakiś dochód więźniom? — Prawdopodobnie — odrzekłem — w amerykańskich domach karnych, to się praktykuje.

— U nas inaczej — mówił on — nas pędzą nągich do kopaliń, i nadzy z nich powracamy; zaś na miejscu, każdy nadzorca podług swego widzimisię może nas karcić i ćwiczyc różgami.

— Ależ nie, — ozwał się dobrodusznie kapitan Gudem — teraz już takie rzeczy się nie dzieją.

— Właśnie że się dzieją, proszę Waszej Mości, — mówił włóczęga z uszanowaniem, ale stanowczo — wycieńczeni z sił, a nawet istotnie chorzy, bywają karani dwudziestoma uderzeniami knuta za niewykonanie wyznaczonej im roboty. — Niestety, rozmowę naszą przerwał kapitan Gudem zapytaniem, czy nie życzę sobie przejrzeć się słabym i chorym.

Ekwipaże, przeznaczone dla chorych, były to jednokonne kibitki, podobne do wzdłuż przeciętych beczek, osadzonych wypukłą powierzchnią na osiach. Nędzniejszego i niewygodniejszego ekwipaża, trudno by wymyślić; nie tylko brak im resorów, ale i porządnego siedzenia, które zastępuje szczupła wiączyna trawy lub siana. W każdej kibitce musiało się mieścić po czterech chorych.

— Wszyscy opatrzeni świadectwami lekarza, niech

siadają na kibitki! — zawołał kapitan Gudem, i wnet wystąpiło z szeregu 25 do 30 pretendentów; było tu wielu starców, tudzież ludzi średniego wieku lecz bardzo sponiewieranych, lub też zupełnie schorzałych. Jeden z podoficerów zbierał i przeglądał świadectwa lekarskie, a po sprawdzeniu tożsamości osób, pozwalał im siadać na kibitki. Jeden z tych, zdający się bardzo schorzały, lecz w istocie dość jeszcze zdrów, któremu udawało się okpiwać lekarza, sadowiąc się obecnie na kibitkę, został powitany przez całą partię hucznymi okrzykami i wyciem*). W partyach aresztantów trafia się często bardzo wielu chorych, nie mogących odbywać drogi piechotą. W 1884 r. użyto pod chorych 658 kibitek, a że w każdej mieści się cztery osoby, przeto chorych było zwyż 2000**). Są to naturalnie następstwa ścisku, panującego w więzieniu etapowem w Tomsku.

Gdy wszystkich chorych umieszczono na kibitkach, wtedy kapitan Gudem uchyliwszy czapki, zwrócony twarzą ku cerkwi więziennej, przeżegnał się i zawołał: — Naprzód zuchy! szczęśliwej drogi!

— Wszyscy w prawo! Naprzód marsz! — zakomenderował podoficer i partya aresztantów, osaczona po bokach żołnierzami, ruszyła w długotrważącą, 2575 milową podróż do kopalń karyjskich. Tuż za kolumną aresztantów postępowały kibitki z chorymi, następnie trzy obładowane workami, wreszcie na samym końcu jechał w tarantasie kapitan Gudem. Cała ta karawana, posuwająca się z szybkością 3 kilometrów na godzinę, niknęła w gęstej kurzawie, wykłębiającej się z pod nóg wlokących się w kajdanach aresztantów. W pogodne zwłaszcza dnie, kurz jest istotną plagą dla transportowanych, a szczególnie dla kobiet i dzieci. Ochronić się od niego, jest istotnem niepodobieństwem,

*) Między aresztantami są niektórzy, uposażeni szczególną zdolnością udawania chorych, niejednokrotnie udaje im się wprowadzać w błąd lekarzy.

**) Raport inspektora traktu etapowego zachodniej Syberyi z r. 1884. strona 31. rękopisu.

działa on zabójczo na suchotników, których tak znaczny procent znajduje się pomiędzy więźniami. Wleczenie się na kibitce przez ciąg 6 do 8 godzin, przy pełnym braku swobodnych ruchów, wśród kurzawy wydobywającej się z pod kilkuset par nóg, jest okrutną męczarnią. Śledząc za posuwającą się partią aresztantów, ścigałem ją okiem w odległości $1\frac{1}{2}$ kilometra; wszystko spowite było obłokiem kurzu.

Przy trakcie etapowym w odległości 8 do 9 km. stoi kapliczka a w niej ukrzyżowany Chrystus. Przechodząc około tej kapliczki, większość aresztantów pozdejmowała czapki. Żegnali się, bili w piersi, szeptały krótkie modlitwy. Chłop rosyjski, choćby nawet rozbójnik i morderca, nie przestaje być nabożnym, wciąż on się żegna i modli.

Zrobiwszy mil 10 (15 km), transport zatrzymał się na krótki wypoczynek w jakimś siole, gdzie na błoniach oczekiwały go już przekupki z zapasami mleka i piwa. Zoczywszy to brodiagi, wlokący się na samym końcu partyi, krzyknęli ochoczo; priwał! priwał!*)

Okrzyk ten wywołał objawy radosne w całej kolumnie, nie wyłączając chorych, ciągnących się w kibitkach na samym końcu; wszystko garnęło się do przekupek. Człowiek zdrowy i wolny, z łatwością może w ciągu dnia odbyć pieszo 15 km., inaczej się ma rzecz z więźniem, odwykłym od chodu i obciążonym jeszcze funtowymi kajdanami. Zaledwie też rozkazano zatrzymać się partyi, gdy wszyscy prawie aresztanci legli na ziemię; po chwilowym odpoczynku wzięto się do zakupu przekąski, składającej się z chleba żytnego, pierogów nadziewanych rybą, jaj gotowanych na twardo, mleka i kwasu. Około godziny drugiej partya ruszyła w drogę.

Popołudniowego marszu nie przerywano już żadnym odpoczynkiem. Starsi, wytrawni brodiagi, opowiadali donośnym głosem o swych przygodach i kolejach życia, podczas gdy nowicyusze z wyteżoną uwagą

*) Wypoczynek przedobiedni.

podchwytywali ich słowa, rzucając z kolei opowiadającym, swe własne zapytania. Każdy brodiaga obeznany jest dokładnie z puszczą leśną i pobocznymi drogami, zna on wybornie charakter, usposobienie, przyzwyczki i temperament wszystkich oficerów etapowych, poczynając od Tomsku do samych kopalni w Karze. Jego ciągle wędrówki po dzikich puszczach sybirskich, grożące na każdym niemal kroku niebezpieczeństwem życia, wyrobiły w nim niesłychaną siłę woli i wiarę w samego siebie. Każdy też z nich, gotów jest prowadzić całą partyę wygnańców.

Brodiaga zwykł nazywać więzienie swym ojcem a puszcę matką. Mimo wielkiego doświadczenia rzadko tylko udaje mu się ucieczka z Syberyi; nie po raz jeden dociera on do doliny rzeki Ob, gdzie bywa zwykle schwytanym, lub zagrożony głodową śmiercią tudzież zamarznięciem, oddaje się dobrowolnie w ręce rządu. Znałem pewnego oficera w zachodniej Syberyi, który zwykł był często powtarzać brodiagom: »posiadłości carskie są bardzo obszerne, granic ich jednak nigdy nie przestąpisz; musisz być schwytanym«.

Pół-etap sybirski składa się z 2 do 3 mocno zbudowanych, drewnianych domów parterowych, zwykle żółto malowanych, otoczonych wspólnym ostrokołem. W jednym z tych budynków mieści się oficer, w drugim, żołnierze, w trzecim — aresztanci. Wszystkie domy pół-etapowe pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem, podług raportu inspektora traktu, są nadto szczupłe a przytem na wpół zbutwiałe i jako takie, wymagają gruntownego przebudowania. W ogóle, wszystkie więzienia sybirskie są nadto ciasne, budowa ich sięga kilku dziesiątek lat, gdy transporta liczyły nie więcej nad 150 aresztantów, obecnie zaś dochodzą one od 350 do 450 głów. Z przyczyny takiej to ciasnoty, jak twierdzi w swym raporcie inspektor traktu, w porze letniej, połowa aresztantów zmuszona jest nocować w dziedzińcu na gołej ziemi, zaś podczas snoty i zimy, wszystkie izby i przysionki są nabite ludźmi.

Przy staranniejszem utrzymaniu, też same izby byłyby nawet dość znośne, zwykle jednak czernią się od brudu, a zabite szczelnie okna, niedozwalają przy największym nawet natłoku ludzi, przewietrzać lokalu.

Po 32 km. pieszej podróży, partya aresztantów zatrzymała się na stacyi póletapowej w Siemiluznej, gdzie przed palisadą wszyscy więźniowie stanęli wyciągnięci w szeregi. Podoficerowie sprawdzili z całą ścisłością liczbę aresztantów, poczem przez otwartą bramę całą chmarą sypnęli się w dziedziniec. Trudno wyobrazić sobie panującego tu zgiełku; — poszturkiwano się, pchano, rozbijano łokciami, każdy nosił się z jedną tylko myślą zajęcia w izbie kątką na spoczynek, wiedząc nadto dobrze, że jeżeli go nie znajdzie, to będzie zmuszony, noc przeleżeć w sieni. Niektórzy obojętnie przypatrywali się tym zapasom, wiedząc z góry, że za kilka kopiejek nabędą od współtowarzyszy pierwszorzędne nawet miejsc *

Wreszcie wszyscy aresztanci zajęli leża, i przystapiono do gotowania wieczery. Żołnierze dostarczali pełne kociołki gorącej wody po cenie 2 kopiejek. Doostatniejsi aresztanci przyrządzali sobie herbatę, inni znów warzyli zupę, rozkrawywali czarny chleb, pirogi nadziewane rybą, i mięso zakupione na drodze. Po czątkowo, zarządy etapowe zajmowały się same dostarczaniem więźniom jadła. ten sposób jednak zaopatrywania miał swe wadliwe strony, na co bacząc władze administracyjne, uznały za właściwe wypłacać aresztantom pieniądze w gotówce, za które kupują oni produkta od włościan i żołnierzy. W czasie drożyzny, gdy funt czarnego chleba płaci się po 6 kop., dzienne strawne w ilości 10 kop. nie może pod żadnym pozorem

*) Znany pisarz rossyjski Maksimow opowiadał, że do jednego z domów etapowych Syberyi wepchano raz 512 istot ludzkich (*Syberya i katorga* Tom 1 str. 81; Petersburg 1871), zaś pan M. J. Orfanow, oficer rossyjski, przebywający w Syberyi na służbie przez lat 10, oznajmia, że w domu etapowym w Wierchnim-Udynsku, zbudowanym na 140 aresztantów, mieściło się zwykle 500 a nawet 800.

wystarczyć na wyżywienie. Oficerowie etapowi gorzko uskarżają się na obojętność, z jaką rząd zwykły zachowywać się w obec cierpień i dolegliwości więźniów; ograniczenie dziennej strawy, zmęczonego długotrwałą podróżą i żłiębnietego więźnia, do 1½ funtowej porcyi czarnego chleba, uważają oni nie tylko niesprawiedliwością, ale nawet okrucieństwem*).

Po wieczery zawieszano aresztantów do powtórnej kontroli; rozstawiono szyldwachów w węglach ostrokołu, izby oświetlono świecami łojowymi, powieszono na kurytarz wielkie kubły drewniane na odchody, i zaryglowano drzwi więzienia. Ledwie połowa aresztantów znalazła pomieszczenie na narach, podczas gdy druga zmuszoną była poniewierać się na gołej brudnej podłodze; powietrze okazało się tak zepsute, że niepodobieństwem było wytrzymać w tym zaduchu. Prawdziwie, przechodzi moje pojęcie, jak ludzie mogą wytrzymać czas dłuższy wśród tak zabójczych dla zdrowia warunków. Prosiłem pewnego oficera by mi pozwolił przenocować razem z aresztantami, zawietrzywszy jednak rano powietrza wydobywającego się z celi więziennej, zaniechałem powziętego zamiaru.

Następny marsz dzienny więźniów wyprawionych z Tomsku 24. sierpnia, mało się różnił od poprzedniego. Pośniadawszy dorywczo, więźniowie stanęli do kontroli i wyruszyli dalej. W połowie drogi zrobiono znów krótki wypoczynek, po którym, partya pomaszerowała na nocleg do głównego etapu.

Domy etapowe różnią się od pół etapowych wię-

*) Było to w Wierchnim-Udyńsku, w ziemi zabajkalskiej. Według słów oficera etapowego, funt czarnego chleba najgorszego gatunku kosztował 6—7 kopiejek, zaś strawne dzienne aresztanta wynosiło 11 kopiejek. Tak było w ciągu całej jesieni 1885 roku a z nadchodzącą zimą jeszcze gorzej. Skargi i przedstawienia oficerów nie dostępowaly żadnego uznania, mimo że okólnik Oddziału więziennego głosił o podwyższeniu aresztantom dziennego strawnego. (Okólnik Oddziału więziennego i deportacyjnego Nr. 10887. 15. grudnia 1880 r.)

kszymi rozmiarami; podwórza obszerne, ale budynki stare i w pół zbutwiałe, przytem tak szczupłe, że pomieścić mogą w swych ścianach zaledwie połowę partyi. Powstrzymując się od własnych uwag, przytaczam tu charakterystykę domów etapowych wyjętą z tajnego raportu generał-gubernatora Anuczina do cara, odpis którego to dokumentu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, znajduję się u mnie *).

»W czasie mojej podróży do Irkucka zwiedziłem bardzo wiele zakładów karnych, a w szczególności więzień miejskich i etapowych, i niestety, wyznać muszę, że wszystkie te budynki, a głównie etapowe, znalazłem w bardzo opłakanym stanie. Z małym tylko wyjątkiem, są one zbutwiałe i ze wszech miar nieodpowiadające warunkom sanitarnym, w porze letniej, powietrze w nich zgniłe, w zimie nadto chłodne, a prócz tego nie będąc należycie zaopatrzone na zewnątrz, sprzyjać mogą ucieczce aresztantów.«

Nie gorzej ja odzywałem się o etapach. Skoro zaś zrobiły one takie wrażenie na generał-gubernatorze, który je zwiedzał w szacie świątecznej, to łatwo wyobrazić sobie jak mi wydały się one wtedy, gdy wszystko, jakto bywa zwykle, czerniło się od brudu. Muszę tu zauważyć, że sprawozdanie generał-gubernatora nie może dotyczyć wszystkich domów etapowych; tak np. we wsi Itatskaja zastałem więzienie etapowe w stanie zupełnie dobrym, w wielu jednak razach słusność zostaje po stronie generała Anuczina.

Przyczyną opłakanego stanu więzień etapowych w Syberyi, jest przekupstwo, nieudolna administracya i inne wady nieodłączne biurokratyzmowi rządowemu. Na zbudowanie wielu z tych domów wydano wcale znaczne sumy, które jednakże w przeważnej części uwięzły w kieszeniach nierzetelnych przedsiębiorców i przekupnych urzędników. Pewien inspektor traktu etapowego, obeznany dokładnie z stanem rzeczy

*) Raport ten doręczony został carowi w grudniu 1880 r. przez adjutanta Anuczina p. Koziolę.

zauważył, że sumy wydane różnymi czasy na przekształcenie domów etapowych, wystarczyłyby na postawienie szczerzo-srebrnych budynków. W dalszym ciągu swego raportu do cara, nadmienia generał-gubernator Anuczina, że naprawa budynków etapowych pochłoneła już ogromne sumy, niezadługo potrzeba będzie znów wyłożyć 25.000 rs. na postawienie nowych domów etapowych w ziemi zabajkalskiej. Powątpiewam jednakże, czy w obec niedających się zmienić okoliczności, osiągnąć będzie można żądane rezultaty. Obawiać się należy, ażeby nowe etapy pomiędzy Jenissejskiem i Irkuckiem nie podległy temuż samemu losowi co dotychczasowe.

Obawy generała Anuczina spełniły się.

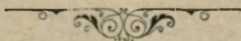
Inspektor traktu wschodniej Syberyi, jako też naczelnik więzień w Petersburgu zmuszeni byli wyznać mi, że budynki etapowe w zabajkalskiej ziemi wcale niedopisały.

Nocleg wygnańców na stacyi etapowej w Kałdyowie, niczem się nie różnił od poprzedniego. Położa aresztantów nie znalazłszy miejsca na narach, spędziła noc na podłodze, w przysionkach i korytarzu. Cały lokal, a w szczególności izby, wypełniała atmosfera przesycona kwasem węglowym i zgnilizną wydzielającą się z kublów, przepełnionych odchodami. W środę wypadła dniówka; aresztanci włączając się od ranka po podwórzu więziennem, zajęci byli żywą rozmową nad sprawami bieżącymi, których obficie dostarczają ściany i nary, będące dla więźniów. rodzajem gazety. Każda partya poprzednia zwykła zostawiać następnej, mnóstwo napisów na ścianach, sufitach, słupach, narach, i wszelkich możliwych zakątkach budynku; mieszczą się tu: pozdrowienia od przyjaciół, ostatnie nowiny, przestrogi, rady wytrawnych brodiagów w sprawie ucieczek, nazwiska zmarłych, zbiegłych, lub też schwytanych podczas ucieczki aresztantów, przeróżne wiadomości z życia etapowego i katorgi, prawidłą zachowania się na wygnaniu, listy otwarte, znaki umówione, i całe okólniki nader doniosłego dla wszyst-

kich znaczenia. Wytrawny aresztant wszedłszy do domu etapowego z całą skwapliwością przystępuje do odczytywania napisów, zapuszczając swe oko w każdy zaułek, gdzie często spotyka się z ważnymi dla siebie i całej partii nowinami. Pan Gaukin-Wrasskoj, dyrektor Oddziału więziennego, któremu ostatnimi czasy udało się rozwiązać niektóre z tych tajemniczych znaków, zapobiegając szkodliwym dla rządu ich skutkom, polecił komendantom etapów, ażeby znaki owe starannie zacierano. Czy rozkaz dopiął zamierzonego celu? Zdaje mi się, że żadne środki ostrożności podjęte przez władze, nie są w stanie zapobiedz porozumiewaniu się aresztantów przy pomocy wiadomych im znaków; wypisywać je będą oni po tak skrytych miejscach, że oko najbystrzejszego komendanta nic nie dostrzeże, podczas gdy wprawny więzień na samym wstępie doszuka się wszystkiego.

W czwartek rano kapitan Gudem wypocząwszy dzień jeden, powrócił do Tomsku, podczas gdy partya aresztantów skierowała się ku wschodowi. Gotów byłem jej towarzyszyć i tydzień cały, by dokładnie zbadać życie etapowe, ale interesa moje wymagały bytności mojej w Tomsku, dokąd też powróciłem.

Życie aresztantów w pochodzie płynie wśród ciągłej jednostajności. Pogoda czy słońce, upał czy chłód, posuwają się oni wciąż ku wschodowi, przeprawiają się przez rzeki, lesiste góry, brodzą po trzęsawiskach, nocują w zapowietrzonych domach etapowych, zbliżając się krok za krokiem z coraz to większym strachem do katorgi zabajkalskiej.



VIII.

Życie przy głównym gościńcu sybirskim.

Dzięki rozległym naszym znajomościom z urzędnikami rządowymi i wygnańcami, rzadko tylko kiedy narażeni byliśmy na nieprzyjemności lub kłopoty. Na samym wyjeździe z Tomska, w czasie obecności w naszym mieszkaniu w »hotelu europejskim« dwóch politycznych wygnańców, pp. Wołchowskiego i Czudnowskiego, służący zastukawszy do drzwi, oznajmił nam wizytę Jego Ekscelencyi, rzeczywistego radcy stanu, vice-gubernatora p. Pietuchowa. Nie będąc wtajemniczonym w stosunki zachodzące pomiędzy wygnanymi rewolucjonistami a vice-gubernatorem p. Pietuchowem, uczułem jak to powiadają duszę na ramieniu. Odwiedzaliśmy już kilkakrotnie p. Pietuchowa, nie nadmieniając mu wszakże nigdy o naszej znajomości z wygnańcami politycznymi; zadaniem naszym było o ile możliwości okazywać w obec osób urzędowych, zupełną obojętność dla wygnańców politycznych. Zapowiedziane też obecnie zetknięcie się w naszym mieszkaniu przedstawiciela rządu z wygnańcami politycznymi, nabiło nas niemałym kłopotem. Zaledwie zdołałem zapytać pp. Wołchowskiego i Czudnowskiego, czy mam ich przedstawić vice-gubernatorowi, gdy tenże, w pełnym uniformie wszedł już do pokoju. Zmiarkowawszy zrazu co się święci, p. Pietuchów. po którego obliczu przebiegł wyraz zdziwienia, opanował się tak szybko, że

zaledwie zdołał zrzucić z siebie płaszcz, już wyciągając obie ręce, witał mnie i p. Frosta bez śladu jakiegolwiek zakłopotania. Uściskawszy następnie serdecznie ręce obudwom przestępcom politycznym, rozpoczął rozmowę w tym kierunku, ażeby wszyscy obecni, przyjmować mogli w niej udział. Wszystko to odbyło się z takim taktem i grzecznością, że niekrępowani niczem, zawiązaliśmy wszyscy tak żywą rozmowę, jakby dawni dobrzy znajomi, zebrani w klubie. W istocie było to niezwykle towarzystwo; amerykański literat, amerykański artysta, dwóch politycznych wygnańców karanych katorgą, i przedstawiciel nieprzyjaznego im rządu. Obecnie całe to grono, wypuszczając chwilowo z pod uwagi stosunki urzędowe, obcowało wspólnie z uprzejmością właściwą ludziom złączonym z sobą stosunkami zażyłości. Nie wiem, czy p. Pietuchów nadmienił ministrowi o naszych znajomościach z wygnańcami politycznymi. tuszę jednak sobie, że tego nie uczynił, Zdawał mi się on być wiernym sługą tronu, ale jednocześnie wykształconym, zdolnym, zdrowo na rzeczy patrzącym człowiekiem, który aczkolwiek potępił ruch rewolucyjny, to wszakże nosił się z przekonaniem, że pomiędzy wygnanymi rewolucjonistami są ludzie, którzy swem wykształceniem i prawością charakteru musieli koniecznie zwrócić na siebie uwagę cudzoziemców.

Podczas naszej bytności w Tomsku, zamieszkiwało tam około 30 wygnańców między którymi 6 do 8 kobiet. Niektórzy wygnańcy administracyjni przybyli tu wprost z Rossyi, inni znów z krańców wschodniej Syberyi, gdzie przebywszy już długie lata za wyrokami sądów uzyskali pozwolenie — ze względu na sterane zdrowie — przeniesienia się do gubernii sybirskich, bliżej Rossyi położonych. Jedni z tutejszych wygnańców, uczestniczący w sławnym procesie 193 po odsiedzeniu wieloletniej kary w fortecy Piotro-pawłowskiej, osiedleni zostali na równiach zachodniej Syberyi.

Zdumiałem prawdziwie, gdy mnie objaśniono, że w liczbie wygnańców osiedlonych obecnie w Tomsku

znajdują się i tacy, którzy przez wiele już lat przetrzymywani byli porządkiem administracyjnym w podbiegunowych pustyniach jakuckich. — Czyżby to było możebnem — spytałem raz pewnego wygnańca — ażeby pana, wydalonego z kraju porządkiem administracyjnym, osiedlono w najgorszej miejscowości wschodniej Syberyi? Ja sądziłem, że do ziemi jakuckiej wydalają tylko niebezpieczniejszych przestępców politycznych i tych, którzy odbyli już swą karę w katordze.

— Ależ nie, — rzekł on, — administracyjnych wygnańców rząd zwykł wysyłać początkowo do zachodniej Syberyi, a stamtąd dopiero po pewnym czasie do ziemi jakuckiej. Tej to procedury ja sam na sobie doświadczyłem, gdyż naprzód osiedlony zostałem w zachodniej Syberyi, skąd w r. 1881, pognano mnie do Jakucka za karę, że nie chciałem złożyć przysięgi na wierność Aleksandrowi III.

— Więc rząd narzucając panu zdradę stanu, żądał od niego wiernopoddanej przysięgi?

— Tak jest, i właśnie za uchylenie się od złożenia tej przysięgi wygnano mnie do jakuckiego ułusu *).

) Ułusem nazywają pewną ilość porozrzucanych po dzikiej głuszy jakuckiej jurt, oddzielonych częstokroć wielomilową odległością od najbliższej wsi rosyjskiej, a wzwyż 8000 km. od Petersburga. Wygnaniec, o którym wspominam, rzucony został do ułusu angijskiego, leżącego o pięć stopni od kręgu biegunowego ku południowi, gdzie przybył zimą w grudniu. Leży przedemną spisk nazwisk 79 „politycznych” osiedlonych w Jakutce w r. 1882. W liczbie ich byli: Włodzimierz Korolenko, rosyjski nowelista, Bohdanowicz docent chemii, i Liniow. Ten ostatni przemieszkawszy wiele lat w Ameryce naturalizował się tam, i jako tamtejszy obywatel osiedlony został w Jakutce. W spisie tym znajduje się prócz innych, nazwiska dziewięciu wykształconych kobiet, także jakiegoś Niemca i Francuza, którzy niejednokrotnie odwoływali się o pomoc do swych rządów, wszelako daremnie).

*) Między innymi byli tu jeszcze: Zubriłow kandydat filozofji, Studziński Edmund, Kostecki Bolesław stud. uniwersyteckiego z Kijowa, Szczepański Józef stud. uniwersyteckiego, Sierakow i Witaszewski obaj studenci uniwersyteckiego, Peterson, Tewtut, Borodin literat z Wiatki (wkrótce wrócony do kraju), Jonow stud. uniwersyteckiego, Kozakiewicz Konstanty porucznik rosyjski, Rewicki stud. uniwersyteckiego z Odessy, Tiutczew, Czarniawski z żoną, Sarandowicz studentka uniwersyteckiego, Sieraszewski młody poeta z Warszawy i inni. (Przypisek tłumacza).

— Ależ, — zawołałem — podobne żądanie było by nie tylko niesprawiedliwe, ale nawet niedorzeczne. Jakżeż można wymagać, ażeby polityczny wygnaniec składał przysięgę na wierność monarsze?

— W istocie nie miało to żadnego sensu — odpowiedział — jednakże tak się dzieje. Rząd, nie tylko wymagał odemnie złożenia przysięgi na wierność carowi, ale nadto chciał mnie zmusić do wykrycia mu wszystkiego, co mi jest wiadomem o ruchu rewolucyjnym; jednym słowem, żądano bym został zdrajcą moich towarzyszy.

W dalszym ciągu rozmowy dowiedziałem się o fakcie, dotąd mi zupełnie obcym, że z wstąpieniem na tron Aleksandra III., minister spraw wewnętrznych zażądał od wszystkich wygnańców politycznych, złożenia przysięgi na wierność nowemu carowi. Żądać przysięgi na wierność Aleksandrowi III. od tych mianowicie ludzi, którzy ukarani zostali za zdradę Aleksandra II. było w istocie przeciw zdrowemu rozsądkowi. Minister, domagający się czegoś podobnego od wygnańców politycznych, zamierzał postawić tych ludzi w sprzeczności z ich własnem przekonaniem, albo też przewidyując z ich strony odmowę, postanowił użyć jej, jako fortelu do wydalenia oponentów na krańce Syberyi.

Jeżeli człowiek raz już ukarany za przestępstwo polityczne, uczuwa się pokrzywdzonym, to zdrowy rozsądek doradza, ażeby człowieka tego poprzestać nadal prześladować, zwłaszcza jeżeli nie ma usprawiedliwionej przyczyny do powiększenia mu kary. Skoro minister uznaje tych ludzi za niewinnych, to po cóż wydała ich z kraju? Jeżeli zaś od wydalonych już z kraju za nieprzychylność dla rządu wymaga złożenia wierноподданцей przysięgi, nie pozostawiając im nic więcej do wyboru prócz krzywoprzysięstwa, albo zatruty życia w pustkowiach jakuckich, to dopuszcza się nie tylko niesprawiedliwości, ale i okrucieństwa.

Mnóstwo osób, bez żadnego usprawiedliwionego powodu, wygnano z zachodniej Syberyi do pustyń azjatyckich za to tylko, że pogardziły krzywoprzysię-

stwem zarówno jak i denuncyacją. W liczbie tych prześladowanych, był po raz już trzeci skazany na wygnanie, zdolny nowelista rosyjski, Włodzimierz Korolenko. Wgnany po raz pierwszy przez »omyłkę« zamiast powrotu do kraju doczekał się w Tomsku powtórnego wygnania do ułusu jakuckiego, za to, że nie chciał być zdrajcą swych towarzyszy, ani też złożyć przysięgi pomazańcowi i zarazem gnębielowi swojemu, Aleksandrowi III

Ażeby porównanie moje, życia wygnańczego w ułusach jakuckich z konaniem za życia, nie wydało się komu przesadnem, przytoczę to, com słyszał w tym przedmiocie z ust pewnego wykształconego Rossyanina, nie kierującego się żadnymi uprzedzeniami. W początkach 1881 roku za czasów Loris-Mielikowa, gdy prasa rosyjska uczuła się nieco swobodniejszą, znany powszechnie pisarz p. S. A. Prikoński, należący w swoim czasie do sztabu gubernatora ołonieckiej guberni, ogłosił w liberalnej, chwilowo tylko tolerowanej przez rząd rosyjski, gazecie »Ziemstwo«, starannie opracowany artykuł o »wygnaniu porządkiem administracyjnym«. Artykuł ów, leżący obecnie na mojem biurku, mieści następujący opis życia wygnańców politycznych w ziemi jakuckiej.

»Publiczność nie przeczuwa nawet, jak okrutną i przykrą jest dola wygnańców administracyjnych w jakuckich »ułusach«. Rozpróśzeni są oni po samotnych jurtach jakuckich, odległych od siebie o mil kilka i więcej. W Nr. 23 »Gazety rosyjskiej« spotykamy następujący wyjątek z listu, opisującego z całą wiernością okrutne położenie pewnego wykształconego człowieka, rzuconego w lodową puszcę:

»Odprowadzony przez kozaków z miasta Jakucka do przeznaczonego mi na mieszkanie ułusu, znalazłem się po ich odjeździe sam jeden pomiędzy Jakutami, nie mając żadnego pojęcia o ich języku. Zagrożeni przez władze rządowe surową odpowiedzialnością w razie mojej ucieczki, nie spuszcza mi z oka. Wyjdę choćby na chwileczkę po za drzwi jurty, by

odetchnąć świeżem powietrzem, a podejrzliwy Jakut tuż przy mnie. Biorę siekierę do ręki. by kij ociosać, a Jakut oznajmia mi na migi, bym pozostawił tę robotę, albowiem nie wolno mi jest wychodzić po za obręb jurty. Siedzę więc i patrzę na grzejących się około kominika i bijących wszy Jakutów. — Co za wzniosły widok! Podczas zimy mieszkają Jakuci pod jedną strzechą z byłym rogatem. Niechlujstwo ich, przechodzi wszelkie pojęcie; w izbach całe kupy gnoju, na łóżach pełno barłogu, szmat, robactwa, powietrze zepsute, duchota, słowa po rosyjsku nie można usłyszeć — co wszystko razem doprowadza człowieka do szaleństwa. Jadło jakuckie jest prawie niemożliwe do spożycia; niedbale przyrządzone, hez soli, z zepsutych materyałów, a żołądek nie przyzwyczajony do takiego jadła, nie jest w stanie go strawić. Zmuszony jestem jadać wspólnie z Jakutami i niejednokrotnie brak mi własnej odzieży. Nie mam możności umyć się porządnie lub wykapać, od ośmiu też miesięcy chodzę brudny, jak prawdziwy Jakut. Od najbliższego miasta dzieli mnie 800 wiorstowa odległość, a więc niepodobienstwem jest do niego się dostać. Co sześć tygodni przenoszą mnie z jednej jurty jakuckiej do drugiej. Książek ni też gazet nie mam żadnych, i nie wiem o niczem, co się dzieje na świecie.*

Pan Priłłowski robiąc swe uwagi nad tym listem, dodaje z swej strony, że sroższej kary nikt nie jest w stanie wymyślić, ta bowiem, równa się przytroczeniu człowieka do ogona stepowego konia lub też przykuciu go do trupa i oddanie na pastwę losu. Uczuwa się jakiś gniot moralny na samo wspomnienie, że człowiek bez żadnego sądu, li tylko z rozporządzenia władz, wystawiony jest na takie męki i katusze, i znosić musi tę barbarzyńską karę, przed którą chroni cywilizacya europejska najstraszniejszych nawet, zawyrokowanych zbrodniarzy. A przecież korespondent rosyjskiej gazety przekonywa nas, że żadnemu z wygnanych do ziemi jakuckiej nie ulżono w niczem okrutnej jego doli: tymi czasy przybyło do Jakutki dziesięciu wy-

ślanych tam z Rossyi wygnańców administracyjnych, a spodziewać się należy nowych jeszcze transportów *).

Wszystko o czem wspomina p. Prikoński w wyżej podanym artykule jest szczerą prawdą, swierdzoną listami prywatnymi wygnańców, opowiadaniemi ustnymi, wreszcie mojem własnem doświadczeniem. Niejednokrotnie przychodziło mi samemu nocować w jurtach jakuckich obok bydła i znosić niewygody nieodłączne od mizerzego życia tamtejszego; wiem też z przekonania, jak jest ciężko ludziom wykształconym, a w szczególności kobietom poniewierać się przez miesiące i długie lata wśród podobnie zabójczych warunków. Ażeby nie ubliżyć prawdzie, nadmienię tu muszę, że niektórzy z wygnańców administracyjnych, otrzymujący zasiłki pieniężne od swych krewnych, kupowali sobie, lub też pobudowali domy, co przyczyniło się do polepszenia ich nędznej egzystencji. Nowelista rosyjski Korolenko, mieszkał w własnym swym

*) Ponieważ wielce utalentowany autor niniejszego artykułu należy już do umarłych, nie pociągnie go tedy do odpowiedzialności przed rosyjskim rządem niniejsze moje wyznanie, że on to sam udzielił mi wiele odpisów i oryginalnych manuskryptów, dotyczących wygnania porządkiem administracyjnym. Był to człowiek szlachetny, wielkich zdolności; jego »Szkice o samorządzie« tudzież »Życie na północy« i wiele innych prac, o samorządzie miejscowym, stosunkach włościańskich i t. d. zamieszczanych w gazetach »Tydzień«, »Ziemstwo« i »Russkaja myśl«, zjednały mu w Rossyi stanowisko uzdolnionego pisarza. P. Prikoński nie był wcale rewolucjonistą, artykuł zaś jego podany tutaj, wyjęty jest nie z żadnej gazety rewolucyjnej, lecz z nieoficjalnego organu rosyjskiego zebrania gubernialnego. »Ziemstwo«, wychodzącego pod kierownictwem dobrze znanego pisarza i publicysty p. W. U. Skalona. Przytaczam tu umyślnie te fakta, w celu wykazania niedającej niczem usprawiedliwić się obojętności rządu względem oplakanej doli wygnańców, osiedlonych w ziemi jakuckiej. Przeciwnie wszystkie jego zabiegi skierowane były ku gnębieniu tych ludzi, dla tego głównie, że trwale obstawali przy swych prawach, że zdolnościami swymi, patriotyzmem i spełnianiem obowiązków obywatelskich musieli by zjednać sobie uznanie we własnym kraju. Ta zawziętość ministra spraw wewnętrznych w wydłanianiu ludzi wykształconych do pustyni jakuckich bez sądu, prowadzi świat cywilizowany do wniosku, że w swoim postępowaniu, kieruje się on wyłącznie osobistą nienawiścią.

*

domu, a wygnańcy ułusowi, z którymi poznałem się w Tomsku, opowiadali mi, że mieszkając w najętych domach lub też zbudowanych przy pomocy swych przyjaciół, unikali brudu i niechłujstwa właściwego jurtom jakuckim. Niektórzy z wygnańców mieli nawet trochę książek, i co pół roku otrzymywali listy z domu, odczytywane poprzednio przez policję. P. Liniow, człowiek wykształcony, bywalec, władający dobrze angielskim językiem, przemieszkujący lat kilka w Stanach zjednoczonych, opowiadał mi, że w ciągu kilkoletniego swego wygnania w Jakutce, nie spotykał się nigdzie z chlebem, rybą lub mięsem. Utracił też zupełnie zdrowie tak, że w parę miesięcy po naszym poznaniu, w roku 1886 zmarł na drodze w jednym z domów etapowych.

O okropnem położeniu wygnańców w ziemi jakuckiej świadczą wymownie tak często powtarzające się samobójstwa. Z 79 osób znajdujących się tam na wygnaniu, w r. 1882, sześciu zakończyło życie samobójstwem; niewiadomo mi wielu później poszło za ich przykładem, jednakowoż nazwiska tych sześciu są u mnie zapisane.

Obojętność, z jaką opowiadali mi wygnańcy w Tomsku o przebytych katuszach i prześladowaniach doznawanych ze strony rządu, wprowadzała mnie istotnie w zdumienie; kobiety zarówno jak mężczyźni, wydaleny na lat kilka do ziemi jakuckiej za uchylenie się od złożenia przysięgi na wierność Aleksandrowi III., wspominali mimochodem tylko o doznawanych tam katuszach. Czasami tylko mężowi, opowiadającemu o zgonie żony, krew zdawała się uderzać do głowy, a ręka kurczowo zaciskała się w pięść; lub też sponiewieranej kobiecie na wspomnienie zmarłego w jej objęciach niemowlęcia, tłoczyły się do oczu łzy; w ogóle wszyscy oni zdawali mi się ludźmi żelaznej woli. Gdym raz w domu pewnego wygnańca pana X, przeglądał zbiór jego fotografii, dopytywałem go się o koleje życia wielu osób wyszczególniających się piękną rysów, lub też wymownym wyrazem twarzy.

— Ta — opowiadał z całym spokojem p. X: — to panna A., była nauczycielka jednej z szkół ludowych, zmarła przed laty trzema w więzieniu kijowskim na suchoty. Mężczyzna z brodą, jest pan B., były sędzia pokoju w H., powieszono go w r. 1879 w Petersburgu. Dziewica o ściągłej twarzy, jest jedną z tak zwanych propagatorek; w więzieniu śledczym wpadła ona w stan obłąkania. Ta piękna dama z krzyżem na ramieniu, to pani D.; uczestniczyła w wojnie tureckiej 1879 r. jako siostra miłosierdzia, a obecnie skazana na 20 lat ciężkich robót w kopalniach w Karze. Ta druga znów, na tej samej kartce albumu jest to panna E.; uczęszczała ona na kursa medycyny w szkole bestużowskiej w Petersburgu, więziona następnie przez lat trzy w fortecy Piotro-pawłowskiej, uwolniła się z niego, przecięciem sobie gardła, kawałkiem szkła.

W ciągu całego swego opowiadania o tych tragicznych wypadkach, pan X., nie zdradzał nawet śladu wzruszenia; zdawało się, że te okrucieństwa, tak dalece spowszedniały, że nie powinny zadziwiać nikogo. W istocie, każdy z tych ludzi zdeterminowany był na wszystko, położenie ich było tego rodzaju, że z równie zimną krwią przychodziło im spotykać się z katorgą, jak kończyć życie w celi więziennej poderżnięciem sobie gardła. Obojętność ta na wszystko, nie była bynajmniej wynikiem braku czucia a tylko żżycia się z podobnie tragicznymi wypadkami. Można przywyknąć do wszystkiego; rosyjscy zaś rewolucyoniści przechodzili tak już straszne koleje, doświadczyli tyle nędzy i niesprawiedliwości, że mogą mówić obojętnie o takich rzeczach, na wspomnienie których czułem się do tego stopnia oburzonym, że w żyłach krew mi kipiała.

— Dwa razy w mojem życiu — mówił mi pewien dobrze znany rosyjski liberał — uczułem i zrozumiałem, co to znaczy być wolnym obywatelem. Po raz pierwszy miało to miejsce, gdy po powrocie moim ze Stanów zjednoczonych w r. 1887, stanąwszy już na granicy rosyjskiej, porównywałem różny

sposób obejścia się jednego i tegoż samego żandarma rosyjskiego ze mną, i z siedzącym w wagonie tuż obok mnie Anglikiem. Po raz zaś wtóry, gdym był świadkiem wrażenia, jakie na panu wywarła historia pana B. Z. oblicza pańskiego wyczytać można było, jak strasznie a nawet niewiarogodnie wydało mu się to opowiadanie. Myśmy tak przywykli do wszystkiego, że nie zdziwi nas wcale, jeżeli kogoś przejadą na równej drodze. Zoczwszy też na pańskiej twarzy niezwykle grę uczuć, uczułem sam do głębi duszy całą przepaść, dzielącą wolnego obywatela od rosyjskiego poddańca.

Położenie wygnańców politycznych w Tomsku nie równie było lepszem niż osiedlonych w różnych innych guberniach sybirskich. Książę Krapotkin żalił się na niezdrowy klimat, aczkolwiek nie zdawał mi się gorszym od Nowo-angielskiego. Wykształceni obywatele, byli ludźmi wolnomyślnymi i przedsiębiorczymi; miasto ma dobrą bibliotekę, teatr, liberalną gazetę i wyborne szkoły. Ucisk i okrucieństwa rządu mniej się dawały we znaki, niż w gubernii tobolskiej; polityczni wygnańcy tutejsi mogli podtrzymywać stosunki ze światem, prowadzić korespondencję bez kontroli policyjnej; jednym słowem, życie ich w Tomsku, było jeszcze dość znośnem. Wypada szczerze żałować, że Tomsk przestaje być na przyszłość miejscem osiedlenia politycznych wygnańców. Projekt rządu utworzenia przy uniwersytecie tamecznym — zbudowanym ze składowych funduszy — fakultetu medycznego, skłania rząd do zaprowadzenia możebnych środków ostrożności, przeciw przejmowaniu się młodzieży uniwersyteckiej ideałami »szkodliwymi dla porządku państwowego«. Jakżeż można ową młodzież narażać na szkodliwe wpływy, jakimi zagraża jej obcowanie z wykształconą częścią miejskich obywateli, podejrzanych o »niebłagonadiożność«; wszak niebezpieczne owe żywioły należy poprzednio przerzucić do innych miejscowości. Zdolniejsi studenci, mając sposobność stykania się z podobnymi ludźmi, jak Czudnowski, lub

też książę Krapotkin, mogliby się nie tylko zachwiać w swej lojalności, ale nadto wzgardziwszy nią, stanąć w zupełnej sprzeczności z rządem w kwestyi wychowania publicznego.

Pożegnawszy naszych znajomych, politycznych wygnańców, pułkownika Jagodka i kilku szczerze życzących nam oficerów, ruszyliśmy z Tomsku 28. sierpnia w drogę do Irkucka. Spodziewaliśmy się, że p. Pietuchow dotrzymując przyrzeczenia zaopatrzy nas w listy polecające do oficerów etapowych o dozwolenie wstępu do więzień; zapomniał on może o swem przyrzeczeniu, a może też, odwołał je z przyczyny spotkania się w naszym mieszkaniu z wygnańcami politycznymi. Podróż nasza z Tomsku do Aczyńska nie przedstawiała wiele interesu. Okolice wzgórkowate, często lesiste, niekiedy urodzajne, poprzerzynane pasmami, niskich gór.

Niekiedy przez całe godziny osłaniały nas gęste liściaste i iglaste lasy, tak że nie widzieliśmy nic prócz obłoków, zawieszonych nad naszymi głowami i czerniącego się przed nami grzązkiego gościnnca; czasami znów jechaliśmy przez szerokie błonia, zabudowane domami mieszkalnymi, albo przez równiny, okolone szmatami uprawnej ziemi. Powietrze było dość chłodne, chociaż nie zbywało nigdzie na kwiatach i owadach. Najżyźniejsza i najpowabniejsza okolica, wydała mi się pomiędzy stacyami Itackaja i Bogotowskaja, na zachód od Aczyńska; zajmuje ona przestrzeń około 50 mil (80 kil.) Spotyka tu się bardzo malownicze krajobrazy, zwłaszcza w porze jesiennej, gdy drzewa grupujące się po wzgórzach przyjmują różnorodne barwy, a na falujących łąkach złotokłosych zbóż, krzątają się żniwiarze i żniwiarki w jaskrawych swych ubiorach.

Osady wieśniacze w tej części Syberyi mniej powabne; składają się one zwykle z domów drewnianych, dwoma rzędami obejmujących gościniec na długość wiorst kilku. Nie mogłem tu nigdzie dostrzedz ni śladu roślinności, chyba tylko drzewka malowane na sztyldach szynków. Szynki te, noszące przeróżne nazwy,

są istotną plagą dla miast a ruiną dla włościan; tu to, należy szukać przyczyny nędznego stanu wsi, ciągnących się wzdłuż gościńca sybirskiego. W zachodniej Syberyi, na każde 30 szynków przypada jedna szkoła; w wschodniej zaś, jedna szkoła na 35 szynków. W kraju, gdzie okazywa do pijaństwa stoi w tym stosunku do nauczania się, trudno jest liczyć na porządek, czystość i dobrobyt.

Godniejszymi częstokroć uwagi wydawały mi się cmentarze niż wsie. Przypominam sobie, że przeważna część grobów ogrodzona była sztachetami o różnobarwnie malowanych szpicach. Na niektórych grobach stały krzyże z napisem J. H. S., na innych znów biało malowane kościotrupy z niesłychanie długimi piśzczelami. Trudno sobie wyobrazić potężniejsze straszdyła nad owe długie, bielejące na czarnem tle postacie, okolone różnobarwnie malowanymi sztachetami; widocznie zamiłowanie Rossyan do jaskrawych kolorów jest tak wielkie, że mniemają nimi odstraszyć śmierć samą. W żadnej stronie świata, u żadnego narodu nie zdarzyło mi się widzieć na cmentarzach tak rażących kolorów.

Na całej przestrzeni pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem żniwa były w pełnym biegu, wszystko co tylko żyło we wsiach, z wyjątkiem urzędników pocztowych, spieszyło w pole. Obserwowaliśmy pewnego razu, z jakim przejęciem się i zadowoleniem, jakiś pięcioletni, jasnowłosy dzieciak w brudnej, grubej koszuli z krowim dzwonkiem na szyi, babrał się około porzuconego na błotnistym gościńcu buraka.

W pobliżu innej znów wsi zoczyliśmy pasącego się spokojnie na błoniach konia spętanego w ręczne kajdanki, co naprowadzało na myśl, że wieś jest siedzibą wyzwolonych aresztantów. Przypomniawszy sobie znaną historię pewnego dzwonu*) cerkiewnego

*) W Tobolsku naprzeciw więzienia wymurowana jest wystawka, w której mieszczą się dwa przestępne dwony. Jednym z nich jest dzwon z Uglicza, drugi zaś z Moskwy, przy odgłosie

stawiającego opór przy naciąganiu sznuru, który za tę krnąbrność z rozkazu rządu rossyjskiego został osma-gany, a następnie wysłany na Syberyę, — chciałem koniecznie dopatrzeć się pewnej wspólności pomiędzy dolą owego dzwonu i spętanego konia. Mimo wszelkich moich kombinacyi, wydalenie konia za zarzut o »nie-błagonadiożność« wydawało mi się trochę dziwnem; i w istocie, dowiedziałem się od pocztmistrza, że za-rzut wspomniany nie dotyczył tego konia, nie okazał on się wcale szkodliwym dla »porządku publicznego« albowiem zachowanie się jego w czasie wstąpienia na tron Aleksandra III. było zupełnie spokojne; utraciwszy jednakże chęć do jadła, oddalał się samowolnie z pa-stwiska, za co też, skazany został przez swego chlebo-dawcę na dźwiganie kajdanek.

Pomiędzy stacyami Krasną-rieczką i Białojarskiem w odległości około 30 km. od Aczyńska przekroczyliśmy granicę pomiędzy gubernią tomską i jénissejską; zaznacza ją słup kamienny z odpowiednimi herbami. Poczynając od granicy, dotychczasowa taksa pocztowa wynosząca od każdego konia na jedną wiorstę $1\frac{1}{2}$ kop. podnosi się do 3 kop. Podwajają się więc koszta podróży, a różnicy w prędkości jazdy ani też w wy-godach zupełnie żadnej. Rząd usprawiedliwiając tę podwyżkę taryfy pocztowej drożyzną paszy i produk-tów spożywczych w wschodniej Syberyi, nie chce mieć na uwadze, że drożyzna ta dotyczy także transportowa-nych aresztantów, którychienne strawne, bez względu na miejscowość, ogranicza się do 10 kopiejek. A że funt chleba w wschodniej Syberyi kosztuje 8 kop., zgłodzo-ny przeto i sponiewierany marszami aresztant, zmuszo-ny jest w ciągu całej doby zadawałniać się $1\frac{1}{2}$ fun-tową porcją chleba.

W czwartek 1. września, zmieniwszy konie pocz-towe w Aczyńsku, rozpoczęliśmy mozolną, uciążliwą

którego, strzelcy wzywali lud do buntu przeciw Piotrowi Wiel-kiemu. Dzwon ten zawyrokovany został przez rząd na 50 ude-rzeń pletni, zdjęcie konsakracji i wygnanie na Sybir.

(Przypisek tłumacza).

naszą podróż po wschodniej Syberii. Kraj tu wszędzie górzysty; gościniec wspinał się wciąż po wysokich, lesistych grzbietach, poprzedzielanych błotnistymi, grzęskimi wąwozami; deszcz nie ustawał na chwilę, a droga tak dalece rozgrzęzła, że pięć koni nie mogło podolać naszemu, ciężkiemu tarantasowi. Nawet na twardszym gościńcu było mnóstwo wyboi, wygniecionych kołami tysięcy obładowanych kibitek, zaś niedorzeczne próby mostowania bagnistych wąwozów kłocami, sprzyjały tylko podrzucaniu tarantasu. W ciągu tej pierwszej nocy zsuwałem się po kilkaset razy z siedzenia na spód tarantasu, to też w środę rano, dobiwszy po ciągłej, 20 godzinnej jeździe do Ibrulsk, uczulem się tak dalece wycieńczonym na siłach, że pan Frost, obawiając się o moje zdrowie, otoczył mnie szczególniejszem staraniem. Na stacyach pocztowych wszędzie panował taki ścisk i nieład, że niepodobieństwem było szukać w nich wypoczynku; posiliwszy się herbatą ruszyliśmy do Krasnojarska. Przez całe dni cztery z braku mięsa na stacyach pocztowych, ograniczyć musieliśmy się na chlebie suchym i herbacie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się podróżować po tak szkaradnej drodze, jaką jest Aczyńsko-Krasnojarska, z prawdziwem też zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość na stacyi w Ostanowsku, że przejeżdżający tędy, przed parą dniami, nowo mianowany generał-gubernator wschodniej Syberii, hrabia Ignatiew, rozgniewany do żywego złym stanem gościńca pocztowego, nie dbałego przedsiębiorcę natychmiast kazał zamknąć do aresztu. Przynajmniej raz jeden moc władzy despotycznej, użytą została na dobre.

Przebywszy w ciągu pięciu dni bez żadnych odpoczynków 370 mil (595 km), we środę 2. września po południu dojechaliśmy do Krasnojarska. Po spożyciu dobrej wieczerzy w jakimś hoteliku obok poczty położyliśmy się, a nazajutrz poszliśmy w odwiedziny do p. Kuźniecowa, właściciela kopalni złotych, do którego mieliśmy list polecający z Petersburga. Na samym wstępie uderzył nas przepych i zbytek, z jakim

nie spotkalіśmy się nawet w pierwszorzędnym domach stolicy Rosyi. Służący wprowadził nas do salonu tak wykwintnie umeblowanego, że w obec niego bladły najwytwornejsze petersburskie. Ów obszerny salon, z wyświeconą jak szkło podłogą zasłany był w części wschodnimi kobiercami; wysokie, bogatymi firankami ozdobione okna zastawione były palmami, paprociami i pysznymi kwiatami; szczególne złudzenie sprawiały stojące pośród salonu zwierciadłowe obeliski; w czarująco pięknym, marmurowym kominku płonął ogień; na ścianach wisiały obrazy olejne pędzla sławnych artystów rosyjskich, francuskich i angielskich; tuż przy fortepianie stała rzeźbiona etażerka pełna książek i różnych utworów muzycznych; szykowne meble, mebelki, stara porcelana, rozmaite rzeźby z kości słoniowej i kosztowne bagatelki, dopełniały reszty. Nie stało nam jeszcze czasu na rozpatrzenie się w tem przepysznym otoczeniu, gdy w otwierających się drzwiach ukazał się gospodarz domu, pan Inocenty Kuźniecowa. Powitawszy nas jak najgrzeczniej, rozpoczął rozmowę poprawnym angielskim językiem. Po chwili poznaliśmy całą rodzinę państwa Kuźniecowa, składającą się z trzech braci kawalerów, i trzech niezamężnych siostr, zajmujących wspólnie to wspaniałe pomieszkowanie. Panny Kuźniecowa, zarówno jak pan Inocenty władały wybornie angielskim językiem; odbyli oni podróże po całej Ameryce, zatrzymując się w Nowym-Jorku, Filadelfii, Waszyngtonie, Saratodze, Chicago i St. Francisco. Pan Inocenty obznajomiony był lepiej odemnie ze Stanami zjednoczonymi, objechał dwukrotnie cały Kontynent, odbywał polowanie na bawoły, spotykał się z generałem Scheridanem. Buffalo Billem, kapitanem Jackem i innymi znakomitościami, i zwiedził najodleglejsze okolice Jellwstone-Park i Staked Plains.

Nie wyobrazi sobie czytelnik jaką przyjemność sprawiło nam — po wielomiesięcznej nużącej poniewierce — spotkanie się z wytwornym pomieszkowaniem państwa Kuźniecowa i tak doborowym towarzystwem. W ciągu też kikodniowego pobytu naszego w Krasno-

jarsku byliśmy nieodstępnymi gośćmi tych państwa. bawiąc się z paniami, słuchając gry na fortepianie i rozmawiając swobodnie o rzeczach nie dotyczących przykrych scen więziennych. Z ciekawością i zajęciem przyglądałem się szkicom szczątków roślinnych, napotkanych w pokładach »skał malowanych«, które to szkice, właśnie podczas mojej obecności u pana Kuźniecowa, przywiózł mu był pan Sawczukow, dyrektor szkoły normalnej w Krasnojarsku. Pan K., z całym zajęciem rozprawiał o archeologii i posiadał szacowne zbiory wykopalisk kamiennych i bronzowych z różnych okolic gubarii.

W czwartek, zrobiliśmy wycieczkę do klasztoru leżącego po lewym brzegu Jenisseju, w odległości 6 km. od Krasnojarska. Droga owa, arcydzieło sztuki budowlanej mnichów, prowadzi wąwozami wykutymi w stromych nadbrzeżnych skałach, to znów wspina się po mostach rzuconych wysoko po nad rzeką. Z każdego zakrętu rozciąga się uroczy widok na olbrzymią rzekę, która krocząc majestatycznie pomiędzy wysokimi skałami, półtora kilometrowej szerokości wstęgą, niesie w dalszym ciągu swe wody, do oceanu Lodowatego.

Nasi przwajaciele starali się obmyśleniem przeróżnych przyjemności zatrzymać nas jak najdłużej w Krasnojarsku, spóźniona jednak pora roku nagięła nas w drogę. Nie łatwo jednak przychodziło wzięść rozbrat z tyloma projektowanymi zabawami i z tak przyjemnem towarzystwem, i oddać się znów na pastwę niewygód, udręczeń i bezsenności, nieodłącznych towarzyszy oczekującej nas 1930 kilometrowej podróży. Nie można było zwlekać; postanowiliśmy też jechać.

Wyładowawszy nasz zabłocony tarantas — widok którego straszył nas podobnie, jako zbrodniarza przebyte już katusze — zapasami pieczywa, herbaty i zdawkowej monety, ruszyliśmy trójką pocztową do Irkucka. Dzień był przyjemny, słoneczny, chociaż pożółkłe, opadające z drzew liście oznajmiały późną jesień, topole i osiki przystroiły się czerwienią, a pożół-

kłe brzozy, malowniczymi grupy występowały pośród otaczających je, ciemnozielonych jodeł i świerków. Na dolinach przyrzecznych i stokach gór, zwijali się żniwarze, inni robotnicy wiązali w snopy pszenicę i żyto, lub też składali w kopy. W sobotę, niedzielę i poniedziałek jechaliśmy dnem i nocą, zatrzymując się na stacyach tylko dla zmiany koni. w środę jednak tarantas wypowiedział posłuszeństwo, co zmusiło nas do zatrzymania się w Kamyszecku, wsi odległej od Irkucka o 500 km. W pobliżu stacyi pocztowej odszukaliśmy kowala, który przy pomocy swej córki, tegiej dziewuchy, zabierał się do przybicia koniowi podkowy. Nie łatwa to była sprawa, zastraszone zwierzę drżąc ze strachu, wierzgało tylnymi nogami, to znów stawało dęba. podniesiono więc je na pasach i w ten sposób okuto. Zauważyłem że konie sybirskie w ogóle bronią się przed kuciem, przyczyną czego jest zapewne częste ich zagważdżanie przez niezręcznych kowali.

W czasie naprawy naszego tarantasu nadjechała na stację, poczta przesyłkowa moskiewska. Wszystkie przesyłki pocztowe w Rosyi przewożą się w wielkich worach skórzanych, zamykanych na kłódki, wozy zaś pocztowe eskortowane są przez uzbrojonych pistoletami pocztylionów. — O ile mi wiadomo, rossyjskie poczty przyjmują pakunki bez ograniczenia wagi — sam nawet wysyłałem pocztą skrzynkę 40 funtową — stąd też pociągi konne pocztowe liczą nieraz do kilkunastu furgonów.

Do Irkucka przychodzi codziennie poczta moskiewska, odchodzi zaś, trzy razy tygodniowo. Ponieważ w państwie rossyjskiem pierwszeństwo użytkowania ekwipażów pocztowych służy rządowi, zmuszeni przeto byliśmy czekać do godziny 2 z południa na konie, które wszystkie zajęte zostały pod pocztę urzędową. Stąd podążaliśmy do Irkucka bez żadnych noclegów, zatrzymując się chwilowo na drodze dla zwiedzenia domów etapowych, lub przypatrzenia się brodzącym po błotnistym gościńcu wśród ulewnych deszczów, transportom aresztantów, skazanych do ciężkich robót

Posuwały się one żółwim krokiem, zużywając dwa miesiące czasu na przebycie tej samej odległości, którą końmi odbyliśmy w ciągu niespełna ośmiu dni. O bezprzykładowym udręczeniu tych ludzi świadczyły najwymowniej wynędzniałe ich twarze.

Trudno jest przedstawić sobie tę straszną nędzę i poniewierkę, na jaką narażeni są wygnańcy w ciągu całej, długotrwałej swej pielgrzymki. Niejednokrotnie zdarzało mi się spotykać transport, brodzący po błotnistym gościńcu wśród deszczów i wichru; lub też po domach etapowych, gdzie ludzie leżeli na barłogu jak istotne bydłota; zwiedzałem lazarety, w których przebywali chorzy, pozbawieni w ciągu całych tygodni pomocy lekarskiej i wszelkiej opieki. Nieraz też, rozmawiałem o sprawach więziennych z wykształconymi urzędnikami, obeznanymi dokładnie z całym systemem wygnania. Wszystko doprowadziło mnie do niezbitego wniosku, że ów system, będący źródłem tylu mąk i cierpień człowieczych, nie znalazłby uznania w całym cywilizowanym świecie, z wyjątkiem państwa rosyjskiego. Do nędzy wygnańców przyczynia się w części nieczułość, niedbalstwo i przekupność wielu urzędników, przeważnie jednak jest ona koniecznem następstwem ohydneho i okrutnego systemu, czemu zaradzić by można jedynie zamianą wygnania na Sybir jakimi innymi karami. Wszakże i powrót pieszo z wschodniej Syberyi 6 do 8.000 ludzi różnej płci i wieku, nawet przy sprzyjających warunkach, połączony jest z wielkimi trudnościami. Samo już wycieńczenie cięlesne pociąga za sobą ruinę zdrowia, a cóż dopiero, gdy przyłączy się do niego zła strawa, zepsute powietrze i wiele innych warunków nieodstępnych życiu etapowemu; nie powinny też dziwić nikogo tak częste wypadki śmierci między transportowanymi; podziwiać raczej należy, że tyle ich jeszcze zostaje przy życiu.

Transporta aresztantów, wyprawiane z Tomsku w czerwcu i sierpniu, nadszły do Irkucka w jesieni wśród ślót i przymrozków. Aresztantom zbywa na cie-

plejszej odzieży, a jedyną ich ochroną przeciw deszczom, gradom i przenikliwym wiatrom są rzadkie, sukienne chałaty. Przedstawmy sobie transport wygnańców, podążający ku Krasnojarsku podczas północno-wschodniej burzy. Deszcz leje jak z cebra; wszyscy, nie wyjmując chorych i niemowląt, przemoczeni do ostatniej nitki. W niektórych miejscach lepkie błoto tak dalece lgnie do nóg, że na przebycie jednej mili potrzeba dwóch godzin czasu. Aresztanci obciążeni kajdanami, nawet wśród zimna pocą się ze znoju, brodzą też oni — w braku obuwia — bosy po zimnem błocie. Rząd, powołując się oszczędnością, nawet w porze jesiennej odmawia aresztantom butów z cholewami dając im natomiast łapcie «koty» sporządzone po fuszarsku z najlichszego materiału.

Jeden z wyższych urzędników bióra transportowego mówił mi, że aresztanci wyprawiani z Tomsku lub z Krasnojarska w nowych trzewikach, zdzierają je w ciągu dwóch tygodni, przychodząc na miejsce częstokroć bosy. Dobrze nawet obuwiu wystarczyłoby wtedy tylko na czas oznaczony, gdyby dopasowane było do nogi lub też do niej przytroczone; tymczasem to, które zwykle otrzymują aresztanci, jako zbyt obszerne, utrudnia chód, przydeptuje się i spadając z nóg pozostaje w grzązkich kałużach. W każdym transporcie można widzieć mnóstwo aresztantów, którzy gubią trzewiki na drodze, lub też dla ułatwienia sobie chodu niosąc je w rękach, brodzą na bosaka całymi dniami po zimnem, rozmazanem błocie.

Skoro ci przemoczeni, zziębnięci i zgłodniaли ludzie zatrzymają się w jakiej przydrożnej wioszczynie wówczas wysyłają swego starostę czyli przedstawiciela do oficera etapowego z prośbą o pozwolenie śpiewania pieśni jałmużniczej. Otrzymawszy pożądaną odpowiedź wybierają z pomiędzy siebie jałmużników, którzy obnażywszy głowy, wloką się po ulicy chwiejnym krokiem, zdradzającym ostateczne wycieńczenie, i odwołują się do litościwych serc z prośbą o jałmużnę.

Do końca życia mego nie zapomnę wrażenia, ja-

kie wywarł na mnie ów śpiew. Pewnego posępnego, ostrego poranku jesiennego, gdy w brudnej pocztowej izbie oczekiwaliśmy koni, nagle obłyły się o uszy nasze jakieś dźwięki, sięgające do głębi samej duszy; zdawały się one niby wychodzić z piersi ludzkich, ale zupełnie odmienne od tych, jakie kiedykolwiek bądź słyszałem. Była to szczególnie jakaś mieszanina zwykłego śpiewu. kościelnego, i głębokiej, bezgranicznej skargi. Wyszliśmy przed dom i zoczyli około stu wygnańców z odkrytymi głowami, otoczonych łańcuchem żołnierzy, śpiewających »pieśń jałmużniczą«. Szli oni w nieładzie, nie kusili się bynajmniej brać jednocześnie pojedyncze słowa pieśni; na końcach wierszy nie robili żadnych przystanków, tak że nie mogłem doszukać się w tym śpiewie żadnego rytmu. Śpiewacy zdawali się nieustanną, lekką modulacją zwrotek przerywać tę długą, smętną melodyę. Śpiew ten robił wrażenie kanonu, lub też kolejnego wtóru, stu skargą i bólem odzywających się piersi człowieczych.

Słowa głosiły:

Mieście litość nad nami!
 Nie zapominajcie o ginących ze znużenia!
 Nie zapominajcie o więźniach!
 Dajcie nam chleba, wesprzyjcie nas!
 Pomóżcie opuszczonym biedakom!
 Mieście litość tatulu!
 Mieście litość mamulu!
 Na miłość Chrystusa zlitujcie się
 Nad uwięzionymi!
 Po za murem, po za kratą,
 Pod kluczami, wrzeciągami
 Umieramy biedni!
 Oderwani od ojców i matek,
 Od krewnych i przyjaciół,
 Nieszczęśliwi więźniowie!
 Mieście litość nad nami!

Mimo braku harmonji i pominięcia prawideł sztuki, błagalna ta odezwa do serc ludzkich o miłosierdzie, oddziaływa tak silnie na organizm człowieczy, że w ży-

ciu mojem nie słyzałem nie podobnie przygnębiającego i niewypowiedzianie smutnego; wszystek ból, troska, nęcza, smutek, jakie przebyły i przetrwały w sobie całe pokolenia istot człowieczych w etapowej poniewierce, w więzieniach i kopalniach, znalazły tu swój wyraz.

Podczas gdy więźniowie posuwali się naprzód wolnym krokiem po błotnistej wiejskiej ulicy, w rozwierających się drzwiach domów pokazywały się dzieci i wieśniaczki, z chlebem, mięsem i jajami, co wszystko składali w worki czterech wygolonych arezstantów jałmużników. Brzęczenie kajdan i żałośnie głosy wygnańców słabły stopniowo, wreszcie znikwały w dali. Wróciliśmy do budynku pocztowego, ale na sercu mojem osiadła taka troska, że brzemień życia wydało mi się wielekroś cięższem niż dotychczas.

Na pierwszym przystanku, areztanci pokrzepiwszy się nieco zakąską, ruszali w dalszą drogę, i dopiero późnym wieczorem spożywali wieczerzę w więzieniu etapowem. Większość z nich, przemoczeni do ostatniej nitki, drżąc z zimna, przesuszywszy trochę odzież skupili się na narach i podłodze. Niektórzy sięgnęli do swych worków po zapasową bieliznę, ale ta, okazała się na wskroś przemoczoną. Gdyby rządowi niezupełnie obojętne było zdrowie wygnańców, to postarałby się przynajmniej o zaopatrzenie ich derkami. Bagatelny ten wydatek zabezpieczyłby wiele set ludzi wśród całodziennych trzydziestokilko - kilometrowych marszów od przemoczenia, a każdy z nich mając po kilka sztuk zapasowej bielizny, mógłby ją zmieniać na etapach. Małeńki ten wydatek pokryłby kosztą ponoszone na pogrzeby tych nieszczęśliwych, których taka mnogość umiera przedwcześnie na zapalenie płuc i suchoty, a czemu można by zapobiedz pokrywając wozy skórą lub wreszcie smolonem płótnem.

Wielu z niższych urzędników radziłby zapobiedz złemu, lecz nie są w stanie zadość uczynić najlepszym swym chęciom: wpływowi zaś, którym z łatwością przyszyłoby polepszyć oplakaną dolę arezstantów, trzy-

mają się zupełnie na uboczu. W ciągu całego mojego pobytu w Syberji zapytanie — dla czego tak się dzieje? — nie schodziło z ust moich. — Wiele to razy przedkładałem rządowi — rzekł do mnie pewien wyższy urzędnik bióra transportowego — ażeby aresztantów nie odstawiane pieszo, lecz furmankami. Uodwodniłem cyframi, że ten sposób transportowania więźniów w porze letniej z Aczyńska do Irkucka wypadnie nawet taniej niż piechotą, w takim razie zyskuje się na czasie, odzieży i kosztach utrzymania, co wszystko razem, zmniejszy dotychczasowy wydatek o 14 rs. od głowy. — Dla czego — spytałem owego urzędnika, — rząd nie posłuchał pańskiej rady?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył tylko ramionami.

— Protestowałem po dwakroć — mówił znów inny urzędnik — przeciw przyjmowaniu od przedsiębiorców dostaw, jeżeli nie odpowiadają pierwowzorom, ale daremnie. Zamiast dobrego obuwia, dostarczają tak liche, że po dwóch niespełna tygodniach odpadają podeszwy tak, że transportowani są zmuszeni iść boso. Niestety, sam nic zdziałać nie mogę, nie mając poparcia u zwierzchności.

Podczas mojego pobytu w Irkucku, szedłem się raz w mieszkaniu radcy Piotrowa, zastępującego wtedy gubernatora, z inspektorem traktu wschodniej Syberji, pułkownikiem Zagarinem. Otóż ten ostatni prosił pana Piotrowa, ażeby dostawione przez przedsiębiorcę liche obuwie, zechciał porównać z pierwowzorem. Oszukaństwo było widoczne, a skutki jego odezwały się szkodliwie na zdrowiu tysięcy wygnańców, dla których obuwie to było przeznaczonem.

W pięć miesięcy później spotkawszy się z panem Zagarinem, spytałem go, czy protest jego w sprawie obuwia osiągnął jaki skutek?

— Żadnego zupełnie — odrzekł.

— Czy w istocie, obuwie to rozdano do użytku aresztantom? — spytałem.

— Tak jest — odpowiedział i zamilkł. Mógłbym przytoczyć tu wiele przykładów, potwierdzających

oszukaństwo urzędowe, odzywające się na zdrowiu wygnańców w sposób istotnie zabójczy. Ale co to pomoże; najwymowniejszymi świadkami tego co się dzieje, są wykazy szpitalowe i statystyka zmarłych. Setki aresztantów płci obojej i różnego wieku dotkniętych w podróży chorobą, wiozą na trzęsących kibitkach przez dni czternaście do Aczyńska lub Irkucka, gdzie w lazaretach spotykają się częściej ze śmiercią, niż odzyskują zdrowie.

Jestto prawdziwem barbarzyństwem biednego chorego na tyfus, lub zapalenie płuc wlec wśród mrozów w niektórych kibitkach; ale cóż tu pomoże nawet dobra wola oficera? Prowadząc transport z całą swoją załogą, nie może on pozostawić chorego bez żadnej pieczy w pustym domu etapowym, chcąc nie chcąc ciągnie tych nieszczęśliwych do odległego lazaretu.

Jeżeli udęczenia, jakich doznawaliśmy w podróży po sybirskim gościncu, nam samym niejednokrotnie odbierały odwagę, to jakież okrutne cierpienia muszą być owych śmiertelnie chorych ludzi, znajdujących się w nierównie gorszych warunkach, których jedyną i ostatnią nadzieją jest spotkanie się z zarażonym lazaretem. Pan Gałkin Wrasskoj, główny naczelnik wszystkich więzień w Cesarstwie rossyjskiem, w urzędowym swym raporcie do ministra spraw wewnętrznych, w ten sposób przedstawia stan lazaretów pomiędzy Aczyńskim i Irkuckiem.

•Do r. 1885 nie pomyślano nawet o lazaretach dla chorych, transportowanych etapem: nie starano się też o lekarzy i felczerów. Według §§. 5, roz. I ziału 363 •ustawy względem wydalonych•, lekarze cywilni i wojskowi obowiązani są badać chorych w kwaterach oficerów etapowych. Na cywilnych lekarzach zbywa zupełnie: zaś we wsiach etapowych w Szaragulach, Bierusińsku i Tiretsku, są wyłącznie lekarze wojskowi. W tych miejscowościach znajduje się tylko po sześć łóżek dla chorych żołnierzy. Od roku 1885, wszystkich aresztantów, dotkniętych w drodze chorobą pozosta-

wiają w jednym z trzech wzmiankowanych etapów*). Leczenie wszakże odbywa się nie w lazaretach wojskowych lecz w celach więziennych. Lokale, w których mieszczą się wszyscy chorzy aresztanci płci obojej i różnego wieku, jaknajmniej odpowiadają swojemu przeznaczeniu. Przedewszystkiem zbywa tu chorym na łózkach, pościeli i pielęgnowaniu**).

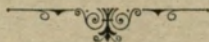
W takich warunkach, chory mało może liczyć na odzyskanie zdrowia; to też pomiędzy Tomskiem a Irkuckiem wymiera aresztantów 12—15 % ***),

Położenie tych nieszczęśliwych ludzi jest istotnie rozpaczliwe; nie należy się też dziwić, że wielu z nich stawiając życie na kartę, ratują się ucieczką. Doświadczeni włóczędzy lub recydywiści, otwierają sobie drogę do wolności zamianą nazwisk z osiedleńcami. Zdarza się też czasem, że kilku odważniejszych, zmówiwszy się z sobą, przy okrzyku hurra! rzucają się na przebój; żołnierze zwykle strzelają do zbiegów i kilku kładą trupem. Czasami też udaje się ucieczka a zwłaszcza, jeżeli dom etapowy stoi pod lasem a żołnierze strzelają na chybił trafił. Zbiegi ukryci w lesie rozkuwają się z kajdan i skoro tylko transport, do którego należeli, ruszy ze stacyi, uchodzą spiesźnie włóczęgowskimi manowcami na zachód ku Uralowi.

*) Odległości pomiędzy tymi domami etapowymi wynoszą od Aczyńska do Bierusińska 566 km.; od Szaragulu do Tyreńska 223 km. Transportowani robią tygodniowo w przecięciu 128 km.

**) Raport p. Gałkina-Wrasskiego dyrektora oddziału więziennego (r. 1885).

***) W 1883 r. pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem zmarło w 21 dniach. 70 transportowanych wygnańców (Raport inspektora traktu zachodniej Syberyi 1884. str. 32 i 33).



IX.

Życie wygnańców administracyjnych.

Mówiąc o »wyznaniu porządkiem administracyjnym« zestawilem szereg faktów, rzucających światło na sposób postępowania rządu rosyjskiego z osobami podjęzycznymi politycznie. Obecnie moim zadaniem, będzie naszkicowanie sposobu życia wygnańców politycznych na osiedleniu.

Doraźne wydalenie »podejrzanych« obywateli rosyjskich bez poprzedniego sądu lub też badań, datuje się od ostatnich lat panowania Aleksandra II. *) jednakże w latach 1878 i 1879, gdy gorąca walka pomiędzy policją i terrorystami przybrała niezwykle rozmiary, wydalało na Syberyę całymi dziesiątkami wszystkich wolnomyślnych ludzi, lub też współczujących rewolucjonistom. Pochwyliła policja u jakiego młodzieńca zakazaną książkę lub egzemplarz »Gońca woli narodu«, a bezwzględnie wygnano go z kraju.

*) Podając powyższe daty wygnania, autor miał na oku ruchy polityczne w samej Rosyi. Co się tyczy Polski, to poczynając od czasów Katarzyny II., Syberya stała się Golgotą i cmentarzem dla najwierniejszych synów Ojczyzny. Zdaje się, że unosząca się z tych lodowych mogił magiczna mgła, zaciążywszy złowrogą chmurą nad grodami carów, przypomina dotykalnie, że po wymordowanych rycerzach i męczennikach wolności pozostaje jakaś moc święta, przed którą — jak mówi Lilla Weneda do króla zwycięzcy — ty drżeć musisz i próżno swe lica krwią cudzą rumienić.
(*Przypisek łomacza*).

Podobnyż los oczekiwał każdego studenta, który poważił się na wieczornych zebraniach pouczać robotników o rzeczach ich obchodzących i pożytecznych. Udało się policyi podpatrzyć w jakim mieszkaniu prywatnem zebranych kilka osób, wnet nazwiska ich wpisywano na listę »podejrzanych«, a w razie ponownej schadzki, ludzie ci, jedynie za czytanie dzieł takich, jak Herberta Spencera lub Johna Stuarta Milla, uznawani przez rząd za niebezpiecznych dla »porządku publicznego«, wydalani byli na Syberyę. Przyjaciele, krewni i inne osoby utrzymujące stosunki znajomości z rewolucjonistami, wszystko to podlegało doraźnemu wydaleniu, i na długo jeszcze przed zabójstwem Aleksandra II, aresztowano około ośmiu tysięcy młodzieży, należącej do różnych kółek towarzyskich i bez żadnego sądu, li tylko z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych wygnano z kraju. W końcu roku 1880, w całej prawie Syberyi nie było jednej wsi nawet, gdzieby nie znajdowało się choć kilka osób, wygnanych porządkiem administracyjnym, zaś w Tarze, Tiukalińsku, Iżymie, Jałutorowsku, Siemipałatyńsku, Kokczetowie, Akmolińsku, Kurhanie, Surgucie, Uść-kamienogórsku, Omsku, Tomsku i Berezowie, zamieszkują całe rodziny podobnych złoczyńców.

Nie było jeszcze wówczas żadnych przepisów, ani też prawideł urzędowych, określających stosunek władz rządowych do wygnańców administracyjnych. Wygnanie porządkiem administracyjnym uważane było przez rząd jedynie jako środek ostrożności, skierowany ku osobom »podejrzanym politycznie«, ten wszakże środek jako nadzwyczajny, mógł być zastosowanym z całą dowolnością. Wygnanie porządkiem administracyjnym mogło trwać rok jeden, lat kilka lub też całe życie; władzom służyło prawo osiedlania wygnańców na wypalonych żarem słonecznym stepach irtyszkich, lub też w lodowej pustyni jakuckiej, mogły go traktować jako małoletniego młodziana, jak zawyrokanego osiedleńca, wreszcie jako istotnego przestępcę, a że nie było jeszcze wówczas dla

wygnańców politycznych żadnej ustawy sankcjonowanej przez władze prawodawcze, którą to ustawę zastępowała wola ministra spraw wewnętrznych, położenie ich tedy było gorszem, niż istotnych przestępców, którzy wiedzieli przynajmniej o przyczynie swej kary i czasie jej trwania. Powtórę, stosunek przestępcy do rządu był określony ustawą, zasłaniającą go od nadużyć władz sybirskich, wygnańca zaś administracyjnego wyzuto z wszelkiej opieki, dla niego nie istniały żadne prawa, oddano go na pastwę samowoli władz, które względnie do własnego uznania mogły go przetrzymać na wygnaniu lat dziesiątki; nie czując się wolnym obywatelem kraju, ani też przestępcą, wygnaniec nie mógł być świadomym granic, do jakich sięga względem jego osoby upoważnienie władz miejscowych. Wszystko, cokolwiek określać mogło stanowisko wygnańca do władz, mieściło się wyłącznie w »tajnych« okólnikach, wydawanych od czasu do czasu przez ministra spraw wewnętrznych; wszelkie jednakże tego rodzaju ograniczenia samowoli władz, jeżeli mogły mieć jakie znaczenie, to chyba słowne, nadto, stawały one ze sobą w zupełnej sprzeczności, władze zaś, mało zwracając uwagi na przepisy dodatkowe, czyniły wszystko podług swego własnego widzimisie. W jednych miejscach wygnańcy zmuszeni byli udawać się codziennie do bióra policyi i meldować się osobiście isprawnikowi, w innych znów, władze policyjne dręczyły ich nieustannymi upokarzającymi nawiedzinami, plądrowano po mieszkaniach, nie szczędząc sypialni kobiecych nawet w porze nocnej. Jeden isprawnik pozwalał wygnańcom leczyć chorych, dawać leky dzieciom mieszkańców miast lub wsi, inny znów za nauczanie dzieci, lub też dany choremu proszek chininy zamykał ich do więzienia. W Uś-kamienogórsku isprawnik pozwalał wygnańcom wydalać się po mil kilka za granice miasta i to bez żadnego opowiedzenia się, podczas gdy w Iszymie pewnego wygnańca politycznego za samowolną wycieczkę do pobliskiego lasu na jagody, wydano aż do ziemi jakuckiej. Wszędzie

i na każdym kroku mnóstwo wątpliwości i nieporozumień, prowadzących do nieustannych starć pomiędzy władzami i wygnańcami. Taki stan rzeczy trwał do r. 1882, w którym car wydał urzędowe rozporządzenia, dotyczące wszystkich osób oddanych pod nadzór policyjny*). Zatrzymam się umyślnie nad owymi rozporządzeniami, i wykażę przykładami wpływ ich na życie wygnańców politycznych w Syberyi. Rozporządzenia te, obejmujące 40 rozdziałów, zajmują 5 stronnic druku in octavo. Rzecz szczególna, że w rozporządzeniach tych, wydanych dla osób wygnanych porządkiem administracyjnym, nie ma najmniejszej wzmianki o »wygnaniu« i »Syberyi«. Widocznie, autora tych rozporządzeń nabawiała wstydem myśl, że stosują się one do osób, wygnanych z kraju bez żadnego sądu. Całe rozumowanie tego dokumentu streszczone jest w następujących słowach.

»Osoby wydalone do miejsc im przeznaczonych, podlegają w ciągu całego swego tam pobytu nadzorowi policyjnemu.« (Rozdz. 2.).

W niewinnem tem orzeczeniu nie ma wzmianki, że owem »miejscem naznaczonem« dla osób wydalonych, jest o 5.000 mil odległa, kręgu biegunowego sięgająca, ziemia jakucka. Czytelnik, nie umiejący się połapać na słówkach, może wielokrotnie przewertować ów dokument od deski do deski, i nie przejdzie mu przez myśl, że tu mowa o kobietach i mężczyznach deportowanych bez żadnego sądu do granicy mongolskiej lub do jurt jakuckich, porozrzucanych po bezmiernem, lodowem pustkowiu. Autor owego regulaminu kładzie szczególny nacisk na nadzór policyjny, pozostawiając na uboczu z całą naiwnością wszystko to, co dotyczy »naznaczonego miejsca pobytu«.

Sami nawet Rossyanie mieli by się więcej na baczności wobec tych przepisów, gdyby one nosiły wła-

*) »Rozporządzenie o policyjskom nadzorze«. (Rozporządzenie o nadzorze policyjnym). Zatwierdzone przez cara 12 marca 1882.

ściwy sobie, następujący nagłówek: »rozporządzenia dotyczące sposobu postępowania władz z osobami wydalonymi na Syberyę bez sądu, li tylko z rozkazu ministra spraw wewnętrznych«. Głosłowne jednak orzeczenie, »wydalony na Syberyę bez żadnego sądu« brzmi niekoniecznie dobrze; mogło by ono obrazić najdelikatniejsze uczucia, dla tego też pominięto je ogólnikiem: »osoby szkodliwe dla porządku publicznego, mogą być wydalone do miejsc imznaczonych«.

Jeżeli obywatel rossyjski, który nie popełnił żadnego czynu karygodnego, może być aresztowany i wydany z kraju na długie lata aż na krańce Syberyi, to mimowoli nastrecza się tu następujące zapytanie: Do jakiego to życia zmuszają tego człowieka? W jaki sposób prawo zabezpiecza mu utrzymanie? Co mu dozwalają czynić, a czego wzbraniają? W jaki sposób będą się tam z nimi obchodzić? Na każde z tych pytań, »rozporządzenia o nadzorze policyjnym« mają gotową odpowiedź: a że wszystkie urzędowe odpowiedzi muszą być, rozumie się, wiarogodniejsze niż stron przeciwnych, wypada mi przeto przytoczyć tu owe rozporządzenia, nazywane czasami żartobliwie przez wygnańców, ich »konstytucją« albo też »uzupełnieniem praw«. Rozporządzenia te opiewają:

«Wydalenie pod nadzór policyjny nie może trwać nad lat pięć». (Rozdz. 3).

«Każdemu wygnańcowi po przybyciu na naznaczone miejsce, winien być wydany paszport i dokument dodatkowy, mieszczący jego nazwisko, powołanie i miejsce poprzedniego zamieszkania; prócz tego władze winne są zawiadomić rzeczoną osobę o dozwolonym jej pobycie w mieście lub na wsi. (Roz. 5).

«W razach koniecznych, policya stosownie do swego uznania, może udzielić wydalonej osobie pozwolenia na czasowe oddalenie się po za granice wsi lub miasta, wyjazd wszakże po za granice okręgu wymaga pozwolenia gubernatora, zaś z jednej gubernii do drugiej, ministra spraw wewnętrznych. (Rozdz. 8).

«Wygnaniec administracyjny po uzyskaniu pozwo-

lenia na wyjazd, powinien być zaopatrzony paszportem i marszrutą; nie wolno mu jest nigdzie zatrzymywać się; w razie choroby, obowiązany jest zawiadomić o tem najbliższe władze urzędowe; w przejeździe przez wsie i miasteczka winien się meldować osobiście władzom urzędowym; jeżeliby podróżujący wygnaniec niewłaściwem swem zachowaniem się, zwrócił na siebie uwagę władz, to są one upoważnione aresztować go w każdej chwili i odstawić do miejsca osiedlenia, bez względu na jego paszport i dokument podróży«. (Rozdz. 9—16).

»Wygnaniec administracyjny powinien stawiać się osobiście na każde wezwanie policyi«. (Rozd. 17).

»Władze policyjne są upoważnione wchodzić w każdej porze do mieszkania wygnańca, zarówno dniem jak i nocą odbywać rewizyę, zabierać i wszystko, cokolwiek uznają za właściwe. (Rozdz. 19).

»Administracyjny wygnaniec nie może zajmować żadnej posady rządowej, nie wolno mu wstępować w służbę do żadnych towarzystw, ani też jakichkolwiek bądź instytucji gminnych bez szczególnego pozwolenia ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 21).

»Administracyjny wygnaniec nie może być założycielem żadnego towarzystwa prywatnego, przewodniczącym, ani też jego członkiem, bez uzyskania na to pozwolenia ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 32 i 33).

»Administracyjny wygnaniec nie może pod żadnym warunkiem rozwijać swej działalności w kierunku pedagogicznym, nie wolno mu jest utrzymywać terminatorów rzemieślniczych, ani też zajmować się nauczaniem, nie wyjmując sztuk wyzwolonych: nie wolno mu jest mieścić żadnych odczytów publicznych. Nie może on być właścicielem zakładu fotograficznego, litograficznego, drukarni i wypożyczalni książek, nadto w żadnym z wyżej wymienionych zakładów, nie wolno mu jest pełnić obowiązków nadzorca, pisarza, lub też współpracownika. Nie wolno mu jest trudnić się wydawnictwem, sprzedażą książek, czasopism, ogłoszeń

ani też druków; nie może utrzymywać szynków, kawiarni, piwiarni, ani też zajmować się sprzedażą trunków spirytualnych«. (Rozdz. 24.).

»Administracyjnym wygnańcom nie wolno jest bez uzyskania szczególnego pozwolenia ministra spraw wewnętrznych zajmować posady nauczycieli w szkołkach państwowych, prywatnych i wszelkich innych zakładach naukowych«. (Rozdz. 25.).

»Administracyjnym wygnańcom wzbroniony jest wstęp do sądów, nie mogą oni występować w roli obrońców, choćby nawet w sprawie własnych swoich rodziców, żon i dzieci. Wygnańcom z powołania lekarzom, chirurgom, akuszerkom, aptekarzom i chemikom dozwolona jest praktyka tylko za szczególnem pozwoleniem ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 26. i 27.).

»Wszystkie inne zajęcia pominięte niniejszym regulaminem, dozwolone są politycznym wygnańcom, gubernator wszakże jest w prawie wzbronienia każdemu wygnańcowi prowadzenia nadal rozpoczętego przez niego interesu, jeżeli ten oddziaływałby niekorzystnie na miejscowe stosunki lub też zagrażał naruszeniu porządku publicznego«. (Rozdz. 28.).

»Ministrowi spraw wewnętrznych przysługuje prawo oddawania pod cenzurę policyjną telegramów i listów. adresowanych do wygnańców politycznych, albo wreszcie całkowitej korespondencji«. (Rozdz. 29.).

»Przekroczenie prawideł, objętych rozdziałem 1—29, karane będzie więzieniem od dni trzech do jednego miesiąca. Administracyjni wygnańcy. wydalający się samowolnie po za granicę miejsc naznaczonych, będą sądzeni i karani podług rozdziału 63 zbioru praw, o czym rozstrzyga sędzia pokoju«. (Rozdz. 32.).

»Administracyjni wygnańcy pozbawieni środków pieniężnych na utrzymanie siebie lub też swoich rodzin, towarzyszących im dobrowolnie do miejsc naznaczonych, uzyskują fundusze od rządu. Wygnańcy, nie mogący sobie znaleźć żadnego zajęcia z przyczyny złego prowadzenia się, lub też niedbalstwa, nie będą otrzymywać od rządu, żadnej- zapomogi«. Roz. 33—37).

»Administracyjni wygnańcy tudzież ich rodziny w razie choroby leczenia będą w szpitalach kosztem rządu«. (Rozdz. 38).

»Administracyjni wygnańcy, nie mający własnych funduszków na koszt powrotu do kraju, otrzymają je z kas rządowych, w myśl cesarskiego reskryptu z dnia 10. stycznia 1881 roku, zgodnie z uznaniem ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 40).

Tak opiewa w streszczeniu owa wygnańcza »konstytucya«. Powypuszczając tu rozmyślnie dwuznaczne i w błąd wprowadzające wyrażenia: »osoby zostające pod nadzorem policyjnym«, »wydalenie do miejscznaczonych«, »wydalenie« »miejsca wydalenia« zastępując je właściwymi. Omówienia te nie mają żadnej racji bytu. Czyż bowiem złagodzi cierpienia nieszczęśliwej matki wiadomość, że syn jej nie został »wgnany«, lecz »wydalony do naznaczonego mu miejsca«, tam, gdzie kapitan De Long z częścią załogi zginął z głodu i zimna!

(Gdy wygnaniec administracyjny, po wielotygodniowej a nawet wielomiesięcznej podróży, dowlecze się wreszcie do jakiegoś miasteczka lub też wioski sybirskiej, naznaczonej mu na »miejsce zamieszkania«, wówczas prowadzą go do urzędu policyjnego, gdzie zaopatrzony zostaje kartą wolnego pobytu, dodatkowym do niej dokumentem, i jednym egzemplarzem drukowanych »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego«. Jednocześnie ostrzega go władza miejscowa, że wzbroniono mu przestępować granic wsi, że korespondencya jego znajduje się pod kontrolą policyi, i że w oznaczonych terminach ma meldować się osobiście naczelnikowi policyi, lub też stawiać się na każde wezwanie urzędnika, mającego nad nim nadzór. Pierwszem rozumie się zadaniem wygnańca, jest znalezienie sobie jakiego poddasza; szuka go też, niewypuszczając z ręki paszportu wygnańczego i »rozporządzeń«. W dokumencie wolnego pobytu nie ma wprawdzie żadnej wzmianki, że właściciel jego jest wygnańcem politycznym, — w całej wsi jednak wiadomo jest

każdemu, że go przyprowadzono pod strażą, — a jako takiemu, żaden gospodarz nie rad wynająć mieszkania. Polityczny wygnaniec, — rozumuje sobie każdy wieśniak — jest człowiekiem wcale niebezpiecznym; policya ma prawo nachodzić jego mieszkanie dniem i nocą; wszak widok policyanta w każdej niemal godzinie nie jest nikomu miłym, zresztą może on włożyć obowiązek na gospodarza, ażeby baczył na swego lokatora, donosił o jego sposobie życia i sprawowaniu się, a w danym razie każe mu za niego odpowiadać. Zważywszy to wszystko, dochodzi do wniosku, że lepiej jest nie mieć nic wspólnego z osobą, o której wie się tyle tylko, że zostaje pod nadzorem policyjnym. Błąkając się tak od domu do domu, i witany wszędzie podejrzeniem a nawet obawą, przekonywa się coraz lepiej, że osiedleńcy słusznie nazywać zwykli kartę wolnego pobytu »wilczym paszportem«.

Wreszcie, udało się wędrującemu wygnańcowi przy pomocy którego z swych towarzyszy wynająć jaką stancjękę z niezbędnymi sprzętami; wprowadza się tedy do niej, i stara zapoznać z otoczeniem. Z czego się tu utrzymać? pyta sam siebie. Nękany troską o los pozostałych w kraju bez środków do życia, żony i dzieci, obecnie sam nie wie, co z sobą począć. Przewertowawszy od deski do deski rozporządzenia, dotyczące nadzoru policyjnego, spotyka się w rozdziale 33, z następującem orzeczeniem: »wygnańcy administracyjni, pozbawieni swych własnych funduszków, pobierają od rządu miesięczne wsparcie w ilości 6 rs.« Zastanowiwszy się bliżej, widzi, że kwota ta nie wystarcza na zaspokojenie koniecznych nawet potrzeb życia. Należy zatem szukać sobie zarobku. W odległej o mil tysiące od kraju włości sybirskiej, trudno jest znaleźć zajęcie odpowiednie jego powołaniu i wykształceniu. Zrzeka on się też z góry wszelkich korzyści, jakie by przyniosła praca w właściwym mu zawodzie, gotów wziąć się do każdej innej, byle tylko utrzymać się przy życiu. Ukończył studia uniwersyteckie, posiada znajomość kilku języków europejskich, może jest na-

wet uzdolnionym lekarzem podobnie jak Dr. Biełoj w Wierchojańsku, albo też fotografem, jak Karelin w Uść-kamienogórsku. albo wreszcie dziennikarzem w rodzaju p. Biełkońskiego w Minusińsku. Przy swych zdolnościach i wiedzy, powinien zarobić i w Syberji, przynajmniej jaki zł, w. a. dziennie.

Odczytuje ponownie »przepisy« i niestety, dowiaduje się z nich, że wzbroniono mu pod karą więzienia zajmować się tem, do czego czuje się uzdolnionym. Nie wolno mu być chemikiem, fotografem, literatem, bibliotekarzem, pisarzem, przedsiębiorcą, kompozytorem, dziennikarzem, mówcą, aktorem, adwokatem, księgarzem, jednym słowem. pozbawiony jest prawa przyjmowania jakiegokolwiek bądź udziału w życiu publicznem. Cóż ma czynić w tem położeniu człowiek wykształcony? Wszystko, co odpowiada jego powołaniu jest przed nim zamknięte. Nie znając rzemiosła, trudno mu jest wziąć się do szewstwa lub mularstwa, zostać kowalem, kołodziejem i w ogóle zajmować się ręczną pracą; nie może też być kupcem, bo nie posiada żadnych kapitałów; nie mając nic lepszego do wyboru, gotów zostać woźnicą, ale daremnie! przepisy nie pozwalają mu się wydalać po za granice włości. Pozostaje jedno, jedyne tylko zajęcie t. j. rolnictwo; prawodawca mając na względzie, że ziemia nie da się zakazić ideami rewolucyjnymi, pozwala wygnańcowi uprawiać na niej rzepę, buraki i zboże. Chwyta się tedy tej ostatniej deski ratunku, ale i tu kłopot! Grunta położone w pobliżu wsi są w rękach włościan. Gmina wprawdzie może mu wydzielić kawałek ziemi w odległości kilku wiorst od wsi, mając jednak na oku grożący mu areszt za przestąpienie granic wsi, zrzeka się tego dobrodziejstwa. Nie wypuszczając z ręki »rozporządzeń, dotyczących nadzoru policyjnego«, myśli wciąż co robić dalej? Ostatecznie widzi się zmuszonym wystosować prośbę do gubernatora lub generał-gubernatora, by ci panowie raczyli mu zezwolić na zdobycie sobie pracą kawałka powszedniego chleba.

W r. 1883, wygnańcy polityczni w Akmolińsku, wnieśli prośbę do tamecznego gubernatora generała Kołpakowskiego o pozwolenie udzielania lekcyi muzyki; szczupła zapomoga, jaką otrzymywali od rządu, w obec ograniczonego »rozporządzeniami« pola zarobku, nie wystarczała na najskromniejsze nawet życie. Zdawało się, że prośba ta, zasługiwała na uwzględnienie. Wszak w grze na fortepianie nie można się dopatrzeć niczego takiego, coby mogło zagrażać »naruszeniu porządku publicznego«; nie przekształciła by ona dzieci sybirskich obywateli w »nihilistów«. Gubernator Kołpakowski wszakże nie uwzględnił tej prośby, dopatrując w niej zamachu skierowanego ku osłabieniu w dzieciach akmolińskich, wiernopoddanych uczuć. Odpowiedź gubernatorska opiewała: »przepisy dotyczące nadzoru policyjnego«, wzbraniają osiedleńcom udzielenia lekcyi muzyki dzieciom mieszkańców Syberyi. Skoro zaś wygnańcy polityczni nie posiadają należytych środków do utrzymania, to niech szukają zarobku u Kirgizów, którzy płacą dziennie robotnikowi 20 do 30 fenigów.

Podonczas wygnańcy w Uśc-kamienogórsku zwracali się także z prośbą do generała Kołpakowskiego, o pozwolenie użytkowania kawałka gruntu należącego do rządu. Obowiązywali się oni płacić czynsz roczny i po upływie lat kilku, grunt w stanie uprawnym zwrócić rządowi bez żadnych zupełnie pretensyi. Propozycja ta podobnie jak prośba wygnańców akmolińskich, nie dostała gubernatorskiego uznania *).

Nie w całej Syberyi, przestrzegają z taką scisło-

*) Podane wyżej fakta, stwierdzające złą wolę władz względem wygnańców i zupełną obojętność na ich niedostatek, doszły do mojej wiadomości w Siemipalatyńsku; czerpałem je ze źródeł bardzo wiarogodnych. Nie stykając się nigdzie z generałem Kołpakowskim, nie mogę wydawać o nim żadnego wyroku, z tego jednak co o nim słyszałem, uważam go za człowieka tegoż samego autoramentu, co ów gubernator akmoliński, który najśluszniesze nawet prośby wygnańców zbywa odmowną odpowiedzią. W wschodniej Syberyi zdarzyło mi się spotkać wielu gorszych jeszcze wyższych urzędników.

ścią »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego« a zwolnienie lub też zaostrezenie ich, zależy w znacznej części od dobrej lub złej woli władz miejscowych. Gubernator akmolińskiej ziemi ś. p. generał Ciekliński, obchodził się z wygnańcami prawdziwie po ludzku, a czynił to nie dla tego żeby miał dzielić ich dążenia, lecz z poczucia istotnie obywatelskiego. Na dobrą też pamięć zasługuje vice-gubernator tomski p. Pietuchów. Natomiast urzędnicy w gubernii tobolskiej, wyszczególniają się brutalnem postępowaniem z wygnańcami politycznymi. W kwietniu 1888 r., 19 politycznych wygnańców z Surgutu *), zmuszeni koniecznością, wnieśli skargę do ministra, przeciw okrucieństwom gubernatora tobolskiego p. Troinickiego. W prośbie tej petenci wykazując cały szereg dokonanych na nich nadużyć, oświadczyli wręcz, że dłużej w tym ucisku nie są w stanie wytrzymać. Musiano w istocie, dojeść im już do żywego, skoro w liczbie protestantów — a było ich dziewiętnastu — znajdowali się tacy także wygnańcy, którym lada dzień kończył się termin osiedlenia; jeszcze dni kilka a byłiby wolni. Ale i cierpliwość ludzka ma swoje granice! — Gazeta sybiraska zamieściła w swoim czasie krótki opis opłakanej doli tych wygnańców, oraz treść odpowiedzi ministra. Otóż głosi ona, że dziewiętnastu »bezczelnych wygnańców politycznych« wydano z miasta Surguta do odleglejszych części guberni, i że równocześnie gubernator, p. Troinicki, złożył »urzędowe podziękowanie«, isprawnikowi w Tinkalińsku i policmajstrowi w Tobolsku, za okazaną »gorliwość« w wydaleniu rzeczonych wygnańców. Nie wiem, gdzie wyrzucono owych nieszczęśliwych dziewiętnastu ludzi, którzy w imię ludzkości odwoływali się o sprawiedliwość do ministra Tołstoja, każdemu jednak sybirakowi wiadomo, że na całej tej olbrzymiej przestrzeni, jaką zajmuje Syberya, kilka

*) Surgut, miasteczko położone na prawym brzegu rzeki Ob, w gubernii tobolskiej, wysunięte na 5° ku południowi od kręgu biegunowego. Miasteczko to liczy około 15000 mieszkańców; odległość od Tobolska 925 klm., — od Petersburga 4025 km.

tylko jest miejscowości gorszych od Surgutu, a tymi są: Berezów nad rzeką Ob, odległy od Petersburga o 4345 klm., Turhańsk miścina położona w kręgu biegunowym, licząca 42 domów i 181 mieszkańców*), wreszcie, owe odstrasające ulusy w ziemi jakuckiej.

Każdy pojmie, że tylko ostatnia konieczność skłonić może wygnańca politycznego, oddanego na pastwę gwałtu takiego gubernatora jak p Troinicki, do szukania sobie ulgi w prośbie do ministra spraw wewnętrznych. Istotnie. rozpacz porywa człowieka rzuconego w odludne kraje, pozbawionego prawa zarobkowania, z sześciorublową miesięczną zapomogą, mającą mu starczyć na utrzymanie życia, a do tego prześladowanego i krępowanego nieustannie owymi »rozporządzeniami dotyczącymi nadzoru policyjnego«. W takich to okolicznościach, niejeden z wygnańców, czując się nawet uzdolnionym lekarzem, nie może nieść pomocy chorym, bez poprzedniego uzyskania pozwolenia od Jego Ekscelencyi ministra spraw wewnętrznych. A wszakże okręg, w którym zamieszkuje ów wygnaniec, liczy co najmniej 20000 ludności, której zbywa na pomocy lekarskiej**) Należałoby się spodziewać, że rząd mając na oku podobny stan rzeczy, przychyli się najchętniej do prośby wygnańca ofiarującego

*) Do tych miejscowości, podług przyjętej reguły, wysyłani są osiedleni w Syberyi polityczni wygnańcy podnoszący bunt przeciw swej zwierchności, a właściwie ci, co ośmielają się trudzić ministra zażaleniami na bezprawia władz, co w języku urzędowym nosi nazwę »bezczelnego« lub »zuchwałego« podania.

**) Generał-gubernator wschodniej Syberyi donosi carowi w tajnym swym raporcie z r. 1881 (odpis którego to dokumentu jest w moim posiadaniu), że w kraju zbywa na koniecznych lekarzach. Tylko w miastach spotkać się można z lekarzami. wszęć, zupełnie są pozbawione pomocy lekarskiej, tymczasem pomiędzy ludnością rozwija się wciąż dyfterya i inne zaraźliwe choroby. Nie znane tu są także żadne przepisy dotyczące środków ostrożności przeciw zarazie bydłowej, następstwem czego jest pomór bydła, narażający mieszkańców na wielkie straty. (»Tajemny« dotąd jeszcze nie ogłoszony raport generał-gubernatora Anuczina do cara w sprawach lekarskich).

swą pomoc cierpiącej ludzkości! Minister jednak spraw wewnętrznych, zwykł się inaczej zapatrywać na podobnego rodzaju prośby.

W r. 1883, towarzystwo lekarskie w Twerze stosowało memoriał do ministra spraw wewnętrznych, w którym, powołując się na nagłą potrzebę lekarskiej pomocy w Syberyi, pozwala sobie zwrócić uwagę Jego Ekscelencyi na lekarzy i medyków osiedlonych w tym kraju, w charakterze wygnańców. Proszono uniżenie rządu, ażeby raczył uwolnić rzeczonych lekarzy i studentów medycyny z pod rozdz. 27 »rozporządzeń, dotyczących nadzoru policyjnego«, i dozwolił im, zajmować się leczeniem chorych. Czyż podobna propozycja nie zasługiwała na uwzględnienie? Rząd rosyjski jednakże, odpowiedział na tę petycję doraźnem rozwiązaniem towarzystwa medycznego w Twerze, i usunięciem od służby państwowej dwóch jego członków.

Jeżeli tak ostra kara spadła z ręki ministra na członków towarzystwa medycznego za samą propozycję dozwoleń wygnańcom praktyki lekarskiej, to jakaż odpowiedzialność oczekiwać mogła tych wygnańców — medyków, którzy by się sami ośmielili zwrócić na to uwagę rządu!

W r. 1880 przemieszkiwał w Charkowie młody medyk Nifon Dołhopolow. Ukończywszy studia medyczne, przystępował do złożenia egzaminu, gdy właśnie podówczas wybuchały, tak często zdarzające się w Rosyi, rozruchy uniwersyteckiej młodzieży. Zaburzenia przybrały tak groźny charakter, że władze uczuły się w konieczności przyzwać w pomoc żołnierzy i kozaków. P. Dołhopolow nie należał do rewolucjonistów, ani też do liczby »podejrzanych«, i nie przyjmował żadnego udziału w rozruchach. Niestety chciało, że przypatrując się na ulicy harcom kozackim i znęcaniom się ich nad publicznością, zauważył obok siebie stojącemu urzędnikowi, że »bańbą jest i wstydem rozbijać ludzi nahajkami«. Urzędnik ów, zwrócił uwagę policyi na zachowanie się p. Dołhopo-

lowa, która go też bezwzględnie aresztowała i uwięziła, jako jednego z główniejszych wichrzycieli. Przetrzy-mawszy pana D. kilka miesięcy w więzieniu, wydano go podług reguły bez żadnego sądu do zachodniej Syberyi, i osiedlono w miasteczku Kurhanie. W r. 1881 wydano Dr. Dołhopolowa za uchylenie się od złożenia przysięgi Aleksandrowi III. z Kurhanu do Tiukalińska, w którym to miasteczku, posadę isprawnika zajmował człowiek, znany z swego brutalskiego obcho-dzenia się z wygnańcami politycznymi. Isprawnik, któ-remu solą w oku była pomoc niesiona przez Dra Dołhopolowa chorym włościanom i mieszkańcom mia-sta, — której on jako zdolny lekarz i człowiek wy-soko szlachetny nie był w stanie nikomu odmówić — zawezwał go do siebie, napominając w sposób obraź-liwy, że w myśl rozdz. 27. »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego«, nie wolno mu jest pod karą więzienia, zajmować się leczeniem chorych, zarówno za wynagrodzeniem jak i bezpłatnie. Dr. Dołhopolow stosując się do przestróg isprawnika, zmuszony był zaniechać praktyki lekarskiej, ale stosunek jego do tegoż, odtąd był napięty. W jesieni w roku 1883, młody Bałakin syn burmistrza miasta Tiukalińska, czło-wieka bardzo zamożnego, nieszczęśliwym trafem po-strzelił swą rodzoną matkę. Rana była śmiertelną i wy-magała dorażnej operacji. Przyzwany na ratunek miej-ski lekarz Hull, człowiek nader wrażliwy, nie czując w sobie dość odwagi do wykonania operacji, radził p. Bałakinowi, by przyzwał w pomoc dzielnego chirurga Dra Dołhopolowa. Idąc za tą radą, pan B. spieszy sam z prośbą do Doktora.

— Wzbronioną mi jest praktyka lekarska. — Od-powiada młody człowiek.

— Na miłość Boga, rozchodzi się tu o śmierć lub życie. — Błagalnie mówił p. B.

— Bardzo mi przykro — rzekł z kolei Dr. Doł-hopolow — ale pozostając z isprawnikiem w najgor-szych stosunkach, nie mogę nieść nikomu pomocy le-karskiej, bo odpowiadać będę za nią więzieniem.

*

— Wszak pan, za szlachetny swój sposób myślenia, dostałeś się na Syberyę, — mówił zrozpaczony p. Bałakin. — Czyż groźba więzienia mogła by Cię powstrzymać od niesienia pomocy nieszczęśliwej kobiecie?

— Skoro pan w ten sposób stawia sprawę, to spieszę wykonać operację, bez względu na oczekującą mnie, za przestąpienie przepisów, odpowiedzialność.

Opatrzywszy chorą, Dr. Dołhopolow orzekł, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo; zatelegrafował bezwzględnie do gubernatora Lisogórskiego o pozwolenie wykonania operacji, której lekarz miejscowy nie przyjmuje na siebie. W pół godziny nadeszła odpowiedź, w której gubernator wykazując swą niekompetencją w rozstrzyganiu podobnych kwestyi, radzi burmistrzowi by odniósł się z swą prośbą do Oddziału medycznego, ministerstwa spraw wewnętrznych.

— Widzisz pan, — odezwał się Dr. Dołhopolow — jaką wartość przywiązują pańscy zwierzchnicy do ludzkiego życia.

Zabrał się do operacji, wyciągnął kulę i przewiązawszy arterję, uchylił groźące chorej niebezpieczeństwo. Nazajutrz, isprawnik Ilin kazał aresztować młodego lekarza. wtrącił go do więzienia i spisawszy protokół, wdroył śledztwo w sprawie, którą w archiwum Tobolsku zaciągnięto pod rubrykę: »samowolne wydobyte kuli z nogi pani Bałakinowej, przez wygnańca politycznego Nifona Dołhopolowa«. W ciągu całego śledztwa Dr. Dołhopolow przesiadywał w brudnem więzieniu tiukalińskiem, gdzie nabawił się tyfusu*).

Wszyscy mieszkańcy Tiukalińska gorąco przyjęli udział w losie uwięzionego młodego lekarza; dopytywano się troskliwie o jego zdrowie, okazywano mu dowody współczucia znoszeniem kwiatów i jadła. Ta

*) Stan zdrowotności więzienia w Tiukalińsku w r. 1884. był taki, że 30% więzionych musiano przenieść do szpitala. (Raport Oddziału więziennego za r. 1885).

ogólna sympatya dla Dra Dołhopolowa wywarła pewne wrażenie na isprawniku: ulegając zewsząd dochodzącym go prośbom i żądaniom, pozwolił więźniowi na czas śledztwa przemieszkiwać w swym domu. Równocześnie nie zaniedbał urzędownie zawiadomić gubernatora Lisogórskiego o zgubnym i niebezpiecznym wpływie wygnańca administracyjnego Dołhopolowa na mieszkańców miasta, i przytaczając dowody świadczonej mu sympatii i współczucia, wyraził swe obawy względem ułatwienia mu ucieczki. Ze zaś w tym razie cała odpowiedzialność spadałaby na isprawnika, przeto uprasza Jego Excelencyę aby raczył przesiedlić Dra Dołhopolowa z Tiukalińska do Surgutu. Chytry isprawnik uznał za stosowne przemilczeć w swym raporcie urzędowym o chorobie lekarza, wyłudziwszy tym sposobem od gubernatora pozwolenie na bezwzględne przetranslokowanie chorego do Surguta. Naczelnik etapu, któremu polecił isprawnik na mocy gubernatorskiego rozporządzenia odtransportować Dra Dołhopolowa do Surguta, wymawiał się od spełnienia danego mu rozkazu, odwołując się na ustawę wzbraniającą transportowania chorych; gdyby dotknięty tyfusem Dr. Dołhopolów zmarł w drodze, to cała odpowiedzialność spadałaby na niego, jako komendanta etapu. Postanowiwszy jakimkolwiekbydź kosztem pozbyć się znieawidzonego człowieka, isprawnik kazał zająć kibitce, i wybrawszy kilku zaufańszych strażników policyjnych, udał się z nimi do domu lekarza. Tu odbyła się istotnie oburzająca scena; żonie Dra Dołhopolowa, występującej w obronie obłożnie chorego męża, związano ręce i nogi, samego zaś doktora, porwano z łóżka w nocnej tylko koszuli i posadzono na kibitkę. Działo się to 24. października 1883 roku; dzień był mroźny i Dr. Dołhopolow byłby z pewnością wysłany w odległą drogę w jednej tylko koszuli, gdyby któryś z litościwych widzów nie był go przyodziął swym własnym kożuchem. Chorego wygnańca wleczono 200 wiorst drogi do miasta okręgowego Iszyma, gdzie podówczas przemieszkiwało 11 politycznych wygnańców,

w liczbie których, nowelista rosyjski Michtet. Wszyscy ci wygnańcy, między którymi było kilku dobrych znajomych Dra Dołhopolowa, zoczywszy go obecnie w tym stanie, udali się bezwzględnie do isprawnika, oświadczając mu stanowczo, że użyją przemocy przeciw dalszemu transportowaniu chorego. Zawezwano jednocześnie urzędowego lekarza i po spisaniu protokołu, odwołano się telegraficznie do gubernatora Lisogórskiego z zapytaniem: czy isprawnik w Tiukalińsku otrzymał upoważnienie do transportowania na kibitce umierającego człowieka, pod zimną noc i w jednej tylko koszuli? Odpowiedź gubernatorska opiewała, ażeby isprawnik powstrzymał dalszą ekspedycję młodego lekarza i pomieścił go czasowo w szpitalu. Mówiono mi w Iszymie, że Jego Excelencya nie omieszkiał skorzystać z nastęrczającej się gradki i wydusił z isprawnika 500 rs. tytułem uwolnienia go z pod odpowiedzialności grożącej mu za transportowanie ciężko chorego człowieka. Być może zarzut ten nie jest usprawiedliwionym, wiadomo wszakże było wszystkim, że gubernator ów, zwykł był nadawać urzędowe posady tym ludziom, którzy się poczuwali w obowiązku najsowiciej go opłacać, zaś przy kartach chciwie zagarniał pieniądze pozostawiane mu rozmyślnie na pastwę przez kandydatów do urzędów *).

Odzyskawszy w szpitalu zdrowie, Dr. Dołhopolow odesłany został do ziemi siemipałatyńskiej, gdzie znalazł się w przychylnych warunkach, a w czasie mojego tam pobytu oddawał się studjom antropologicznym nad Kirgizami. Zatrzymałem się trochę dłużej na tem typowym wydarzeniu, a nie tylko dla wykazania sposobu postępowania rządu rosyjskiego z osobami »podejrzanymi«, ale także dla rzucenia należytego światła na istotę oskarżenia, jakim obciążył minister spraw we-

*) W czasie mojej obecności w Syberyi, wytoczono śledztwo kryminalne aż dziesięciu tamecznym isprawnikom. Wszyscy jednak oni ujmowali sobie do tego stopnia swych zwierzchników sowitymi łapówkami, że śledztwo odkładano z roku na rok, i niewątpliwie, że ci sami isprawnicy po dziś dzień pozostają na swych urzędach.

wewnętrznych wygnańców w Surgucie, za wniesione przez nich zażalenia. — Wygnaniec polityczny p. Leo Iwanów, padł ofiarą okrutnego postępowania rządu, dwaj zaś inni są blizcy śmierci; przetransportowano ich do lazaretu w Berezowie, gdzie prawdopodobnie zakończyli swe męczeńskie życie.

Skoro wygnaniec pokonawszy pierwsze przeszkody, zdołał sobie znaleźć jakiś sposób do życia, wtedy spotyka się z kolei z drugą plagą, jaką go darzy nadzór policyjny. Narzuconymi jego opiekunami są urzędnicy, których przeszłość częstokroć skalana jest zbrodniami. Naczelnicy okręgów, a w szczególności komisarze policyjni, z nader małymi wyjątkami rekrutują się w Syberyi z tłumu złoczyńców, nasyłanych z Rosyi za roboje, kradzieże i możebne oszustwa. Nazwiska kilku dziesiątek tych zbrodniarzy, zaznaczyła początkowymi literami wolnomysłna gazeta tomska I takim to zbiorom i wyrzutom, rząd powierza zdrowie, honor i życie wysoko wykształconych wygnanek i wygnańców politycznych! Znany mi osobiście naczelnik policyi w Minusińsku należy do liczby tych bandytów, z którymi nie życzyłbym sobie spotkać się w nocy, bez rewolwera w kieszeni. Nawet w stosunkowo dobrze administrowanem mieście Tomsku, przeszłość personalu policyjnego plamią gwałty i nadużycia. — I tutaj, aresztują i więżą bezprawnie całe setki niewinnych obywateli; tu także kryminaliści i krzywoprzysięzcy wzywani są do przybytku sprawiedliwości dla dawania świadectwa prawdzie, tu jak gdzieindziej, można się przyrzyć katowaniu ludzi i sieczeniu różgami na śmierć, ciężarnych kobiet.

W czasie przeglądu więzień tomskich przez nowo mianowanego gubernatora, 300 więźniów zwróciło się do niego ze skargami; 200 z tych skarg zostało uwzględnionych, a petentów bezwzględnie wypuszczono na wolność. *)

*) »Prawo policyjne w Syberyi« — przegląd zachodni (Petersburg 13. paźdz. 1883) Nr. 41 str. 1.

Potęga isprawników w miastach i miasteczkach jest niemal bezgraniczną, stąd też powstało przysłowie powtarzane często przez włościan: »Bóg w niebie, w Ochocku Koch«. Wielu takich Kochów piastuje urzędy policyjne w różnych krajach sybirskich, Bogu tylko wiadomo. Każdy z urzędników policyjnych ma swój odrębny sposób postępowania z poręczonymi mu pod nadzór wygnańcami, a o samowoli ich świadczy poniekąd wyjątek z listu pewnego wygnańca zamieszczony w »Goncu prawniczym«, organie prawników w Moskwie.

»Nadzór policyjny, pod którym tu zostajemy nie zna żadnych granic. Policja w swej czujności idzie na wyścigi; nachodzi nasze mieszkanie po kilkakroć dziennie, wciska się w każdy zakątek, by dotykalnie upewnić się czy którego z nas niebrak, lub czy nie przychwyci w naszych mieszkaniach kogoś obcego. Ciągłe ją mamy pod oknami i drzwiami. Z węglów ulic przy których mieszkamy nieschodzą strażnicy; policja nie przestaje trapić naszych gospodarzy i sąsiadów dopytywaniem się o każdy niemal nasz ruch, zmuszają ich do śledzenia nas, i donoszenia o wszystkich naszych czynnościach *).

Pewna młoda wygnanka polityczna w Tuncie, wsi położonej na pograniczu wschodniej Syberyi i Mongolii, opowiadała mi, że wracając często ze spaceru lub też od swej sąsiadki, zastawała w swym pokoju rozwalonego na łożku policyanta w zabłoconych butach z ostrogami. Obawa sromu i hańby skłania wiele kobiet, wygnanych na Sybir, do zamieszkiwania pod jednym dachem z mężczyznami. Pani Dicheskula w Siemipalatyńsku zajmowała jedną połowę domu zamieszkałego przez p. Łobonowskiego; pani Brzeszkowska sąsiadowała w Sielengijsku z p. Samarinem, toż samo zdarza się spotykać i w innych częściach Syberyi. Kobiety zagrożone w każdej dobie napadem

*) Rozprawa o przepisach dotyczących nadzoru policyjnego. Goniec prawniczy (Moskwa, grudzień 1882). Tom 14 Nr. 12. str. 561.

pierwszego lepszego włóczęgi lub policyjnego zбира, zmuszone są szukać opieki u ludzi honoru.

Do główniejszych plag, nieodłącznych doli wygnańczej, zaliczyć należy kontrolę nad ich korespondencją. Kontrola ta, dotyczy wszystkich listów nie wyłączając od najbliższych osób. Poczta odsyła wszystkie korespondencje wygnańców wprost do isprawnika, który je otwiera, odczytuje i wykreśla — podług swego widzimisie — słowa, wiersze i całe ustępy niszczy zupełnie, lub poobcinane szczątki listu odsyła adresatowi. Powodowany nienawiścią lub urazą do wygnańca, dręczy go rozmyślnem przetrzymywaniem tak pożądanym mu listów od pozostałej w Rossyi żony lub rodziny.

W Tarze, miasteczku położonem w guberni tobołskiej, isprawnik zwykł był wszystkie listy wygnańców przynosić do miejskiego klubu, odczytywać je w obec swych przyjaciół i znajomych, radząc się, co ma z nimi czynić. Nie jeden też z wygnańców dowiadywał się na ulicy o treści swego listu, zanim go otrzymał. Może sobie wyobrazić czytelnik co się działo w duszy biednego wygnańca na samą myśl, że słowa droższej mu nad życie żony, pełne serdecznych zwierzeń i zroszone gorączyimi łzami, odczytywano w klubie w obec rozmaitych zbirów, obrzucano szyderstwem i dowcipkami właściwymi podobnym towarzystwom. Jeżeli nawet wygnaniec uwiadomiony przez kogoś o nadeszłym do niego liście, zgłosił się po odbiór do isprawnika, to i w tym razie trud jego był daremnym; isprawnik tłumacząc się, że listów niecenzurowanych przez władze oddawać wygnańcom nie wolno, przetrzymywał go długie tygodnie, albo też konfiskował. Widziałem ja niejednokrotnie w jakim stanie listy dochodziły rąk wygnańców; były to pokreślone, wymięte ćwiartki papieru, noszące ślady przeróżnych prób chemicznych i ogniowych. Zdarzało się wielokrotnie, że wygnaniec zgłaszający się po odbiór listu, dręczony był różnymi zapytaniami. Otóż to jest sposób postępowania w Syberyi z listami człowieka wol-

nego od zarzutu, nie badanego ni też sązonego, lecz drogą gwałtu pozbawionego praw obywatelskich.

Niemniej udręczającym od wzmiankowanych już plag, jest owo nieokreślone położenie administracyjnego wygnańca, wydalonego bez żadnego sądu i oddanego pod nadzór policyjny. Nie figurując on jako obywatel kraju pozostający pod opieką prawa, ani też jako pozbawiony praw stanu przestępca, staje się przedmiotem samowoli władz miejscowych. Niżej podany dokument wykazuje ze stanowiska prawniczego położenie osób, wydanych porządkiem administracyjnym. Rzeczone podanie wystosowane zostało w r. 1882 przez jednego z wygnańców do rosyjskiego Senatu. Petent., nie powodował się bynajmniej myślą polepszenia swego położenia, przeciwnie, wiedział że »bezczelne« to wystąpienie sprowadzi na niego nowe tylko prześladowania, nagabywany jednak przez władze o złożenie przysięgi Aleksandrowi III. uczuł się w konieczności wyjawienia tego, co mu ciążyło na sercu, w sposób wpół-satyryczny. Autor niniejszego memoriału znany mi jest osobiście; w jaki zaś sposób przyszedłem w posiadania go, o tem uważam za stosowne, — przemilczeć! Za wiarogodność tego dokumentu ręczę honorem.

Kurhan, gubernia tobolska. Zachodnia Syberya
31 marca 1881 r.

Do Senatu Państwa rosyjskiego!

Dnia 28. marca 1881 r. zawezwany zostałem (jako wygnaniec administracyjny) przez władze policyjne miasta Kurhanu, które, zażądały odemnie złożenia przysięgi na wierność »cesarzowi Rossyi« Aleksandrowi Aleksandrowiczowi. Żądanie to zdaje mi się być w sprzeczności z manifestem cesarskim z dnia 1. marca 1881 r., gdzie powiedziano: że powoływanie włościan do składania wiernopoddańczej przysięgi opiera się na tej podstawie, że dzięki wielkiemu dziełu wyzwolenia, włościanie ci, oswobodzeni od pańszczyzny, przypuszczeni zostali do korzystania z wszystkich tych praw, jakie rząd przyznaje wolnym obywatelom państwa. Dla słów

tych przejęty jestem najzupełniejszym uznaniem, przyznając rację bytu, nie tylko wypływającym stąd wnioskom, lecz i logicznym wynikom. Jednym z tych jest; że ci rossyjscy włościanie i w ogóle Rossyanie, którzy nie są wolnymi obywatelami i nie mogą korzystać z praw przysługujących wszystkim, nie powinni być wzywani do składania wiernopoddanej przysięgi. Na wstępie, następczą się mi następujące zapytania: Czem ja jestem; czy jestem wolnym obywatelem? Mój ojciec jest dziedzicznym szlachcicem państwa rossyjskiego, a matka moja jest jego prawowitą małżonką. Podług praw istniejących w Rosyi, powinienem odziedziczyć przywileje mego ojca, a następnie być wolnym obywatelem. Pierwszym przywilejem, jaki gwarantuje rossyjskie prawo wolnemu obywatelowi, jest wolność osobista (dopóki ten, nie dopuścił się czynu karygodnego), drugim zaś, opieka nad jego rodziną i mieniem. Mnie pozbawiono wolności, oderwano od rodziny, mienie moje zabrane zostało przez Oddział wyższej policyi *), wreszcie w imieniu prawa zabroniono mi pracować w kierunku, w jakim się kształciłem. Nie wolno mi jest wydalić się po za granice miasta Kurhanu; oddalony jestem o 3.000 mil (4.800 km.) od mojej rodziny, a korespondencja moja z żoną podlega kontroli władz. Fakta te dowodzą, że nie jestem szlachcicem, ani też wolnym obywatelem kraju.

Czyż pozbawiono mnie praw stanu i osiedlono w Syberyi jako przestępcę? Przejrzawszy przepisy dotyczące osiedleńców zawyrokowanych, pozbawionych wszystkich praw stanu, widzę się w tem samym co oni położeniu, z tą tylko różnicą, że ci na mocy przysługujących im praw, mogą z czasem żądać pozwolenia przejazdu z jednej guberni do drugiej, podczas gdy ja pozbawiony jestem i tej nawet nadziei. Zamknięto mnie w mieście Kurhanie na czas nieograni-

*) Poprzednio cała policja carska należała do trzeciego Oddziału, obecnie zostaje ona pod bezpośrednim zwierzchnictwem ministra spraw wewnętrznych.

czony. Nie będąc sądzonym, a tem samem pozbawiony praw stanu, nie mogę się uznawać za osiedleńca wydalonego do Syberyi, z wyroku sądowego.

Nie będąc człowiekiem wolnym, ani też przestępcą, a mimo tego widząc się wyjętym z pod praw obywatelskich, muszą być koniecznie nie kim innym, jak tylko cudzoziemcem. Jestemże nim istotnie? Nie, bo nie należę do wolnych. Gdybym był wolnym cudzoziemcem, bezwzględnie opuściłbym Rosyję i bezwątpienia przyjęto by mnie w każdym innym kraju jako uczciwego i lojalnego obywatela. Odebrano mi jednakże to prawo; muszę być tedy jeńcem wojennym. Do jakiejż wreszcie narodowości mam się zaliczyć? Gdzie jest moja ojczyzna? W jakiej to wojnie zabrano mnie do niewoli? Czy zawarto pokój ze stroną wojującą; a w takim razie i dla czegoż nie zwrócono mnie z innymi jeńcami? Daremnie szukam odpowiedzi na te zapytania. Położenie jeńca jest rozpaczliwe, ja zaś pozostaję w niem od lat pięciu.

Upraszam uniżenie Wysokiego Senatu objaśnić mnie, czy mam się uważać za rosyjskiego poddanego i wolnego obywatela zostającego pod opieką prawa. Skoro przyznane mi są prawa obywatelskie, to chętnie spełniać będę wszystkie, ciężące na mnie obowiązki. Jeżeli jednak Wysoki Senat nie uznaje mnie za poddanego rosyjskiego, to proszę o udzielenie mi pozwolenia na wyjazd z państwa rosyjskiego i szukania sobie innej ojczyzny.

Mnie się zdaje, że przysięga wiernopoddańcza nie tylko obarcza obowiązkami, ale zarazem nadaje pewne prawa. Żądanie złożenia tej przysięgi będzie oznaką przyznania mi praw obywatelskich. Czyż nie tak? Oczekuję odpowiedzi. Jeżeli Senat, jako najwyższy trybunał sprawiedliwości w państwie rosyjskiem, przekona mnie — jakobym błędził utrzymując — że spełniać muszę obowiązki rosyjskiego poddanego nie korzystając z praw obywatela, w takim razie proszę mnie uważać za jeńca.

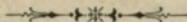
Wasil Sidoracki.

(Odpowiedź Senatu).

»po rozpatrzeniu niniejszego podania, Senat zdecydował 4. czerwca 1881 co następuje:

Ponieważ na podaniu nie zamieszczono najwyższego tytułu (to znaczy, że nie adresowano go do cara), i nie ma formy prawem przepisanej (Art. 205 Część 2. tom X. zbioru praw. wydanie 1876 r.), zwraca się przeto petentowi bez uwzględnienia (zgodnie z art. 225 tejże części tom X.). Ukaz dotyczący tej uchwały zostanie odesłany rządowi gubernialnemu w Tobolsku. Sekretarz N. Brud... (dopełnienie nieczytelne w oryginale). Podsekretarz baron Bukchevden«.

Nie wiadomo jakie następstwa pociągnął za sobą zwrot petycji p. Sidorackiego i czy on sam należy jeszcze do żyjących; spodziewam się wszakże, że dotychczas znaleźć musiał jakąś ojczyznę, bodaj nawet na tamtym świecie.



X.

Wygnańcy w Irkucku.

Podróż nasza z Tomska do stolicy wschodniej Syberyi, okazała się z wielu względów uciążliwszą i żmudniejszą, niż z Tiumenia do kopalń altajskich. Długotrwałe deszcze popsuły drogę, tak, że przejazd w niektórych miejscach połączony był z ledwie dającymi pokonać się trudnościami. Nieustanny ból głowy, jakim nabawiało nas trzęsienie tarantasu, odganiał sen, a brak posilnej strawy, wycieńczał nas do ostatka; niedostawało nam także cieplejszej odzieży. najgorszą zaś plagą, były roje prześladowającego nas robactwa. Z cierpliwością znosiłem zimno, głód i bezsenność, pchły wszakże, wszy i pluskwy tak dalece mi dokuczały, że niejednokrotnie ogarniała mnie rozpacz.

Podczas przeglądu starych więzień etapowych, mimo całej przezorności oblażyło nas mnóstwo robactwa: wkradało się ono w nasze kołdry, poduszki, załaziło we wszystkie zakątki tarantasu, a nie było sposobu pozbycia się tego plugastwa. W nadziei zapobieżenia złemu, wyrzuciliśmy nawet część naszej odzieży, ale i to daremnie. Przez pięć prawie miesięcy prześladowała nas ta plaga, a gdy w Krasnojarsku, gotując się do dwudziestodniowej podróży, zmieniałem bieliznę, to ciało moje było tak pokąsane, jakbym dostał wysypki.

Czytelnik zechce mi wybaczyć te nieestetyczne słowa, których użyć zmuszony jestem, ażeby mu dać

poznać przykrości poniżające jestestwo człowiecze, a nieodłączne doli każdego wygnańca.

Przy największem nawet ochędóstwie niepodobienstwem jest ustrzedz się robactwa, zwłaszcza w starych domach etapowych, w których przebywają tysiące zwykłych przestępców. Jedynym środkiem zaradczym, byłoby urządzenie kąpieli dla transportowanych i częsta zmiana bielizny. O ile rząd stara się o to, nadmienię poniżej.

Pod koniec drugiego tygodnia pogoda zaczęła się ustalać a wierzchołki gór w Tuncie, wsi położonej przy granicy mongolskiej w pobliżu jeziora bajkalskiego, pokryte były śniegiem. W niedzielę, 13 września rano, mknęliśmy chyżo po twardym gościńcu, snującym się brzegiem bystrej Angary, zatrzymując się około godziny 2 z południa na ostatniej stacyi pocztowej przed Irkuckiem. Z niewystowioną niecierpliwością wyglądaliśmy miasta, gdzie oczekiwał nas dłuższy wygodny odpoczynek i tak upragnione listy z kraju. W sali pasażerskiej wisiała tablica z napisem: stacya pocztowa Bokowskaja; odległość od Irkucka wiorst 13; od Petersburga 5601. Doniosłość tych cyfr dystansowych, ten tylko w stanie ocenić, kto po długotrwałej 5601 wiorstowej podróży widzi się oddzielnym od mety, tylko 13 wiorstową odległością.

Nie tracąc chwili czasu, siedliśmy do ledwie co zaprzęzonego tarantasu, mając wkrótce przed oczami bielejące się mury i złożone kopuły cerkwi katedralnej. Wiedząc o klęskach pożarowych, jakie dotknęły Irkuck w czasie mojej 18-letniej tam nieobecności, obawiałem się czy nowo odbudowane miasto nie utraciło na dawnym swym uroku. Mijając klasztor wozniesieński odległy o 5 wiorst od miasta, spotkaliśmy ciągnące tu tłumy, długowłosych pielgrzymów. Tuż za nimi, wlokły się znów po błotnistym gościńcu liczne zastępy bezbronnych żołnierzy, kramarzy i przeróżnych włóczęgów, podążających na nocleg do poblizkiej wsi. Większość z nich, była już dobrze podchmieloną, do czego nastęrczały okazywać liczne szynki.

Przeprawiwszy się promem przez Angarę, na samym wjeździe do Irkucka doznałem wielkiego rozczarowania. Miasto, wydające się zdala wcale powabnem i malowniczem, nie różniło się niczem innym od zwykłych gubernialnych rossyjskich, jak tylko więcej ożywionym ruchem handlowym. Ponieważ w pierwszorzędnym hotelach tutejszych »sybirskim« i »moskiewskim« wszystkie pokoje były już zajęte, przeto zamieszkaliśmy w hotelu »Deko«, gdzie w r. 1882 gościli, przejeżdżający przez Irkuck nasi ziomkowie, porucznicy Herber i Scheutze. Strudzeni wzwyż 1000 milową podróżą daliśmy pierwszeństwo spoczynkowi nad projektowaną wycieczką po mieście; wykąpowawszy się tedy i posiliwszy zgłodniałe żołądki, położyliśmy się spać. W poniedziałek odesłaliśmy do policyi nasze paszporta i wyszli na miasto. P. Frost zajął się zdejmowaniem widoków, ja zaś włócząc się po ulicach poszukiwałem wygnańców, do których miałem listy rekomendacyjne.

Irkuck, stolica wschodniej Syberyi leży na prawym brzegu Angary, biorącej swój początek w odległym stąd o wiorst 40 jeziorze bajkalskiem. Ówczesnie miasto liczyło 36.000 mieszkańców. Ma ono swą bibliotekę, dobry teatr, towarzystwo geograficzne, gazetę tygodniową *). przytem jest ważnym punktem handlowym. W r. 1879 Irkuck został zupełnie zniszczony przez pożar tak, że 15.000 mieszkańców znalazło się bez dachu, zaś szkody wynosiły do 20 milionów rs. W wielu częściach miasta widać było niezatarte dotąd ślady zniszczenia, a nowe budynki zdawały mi się z wielu względów gorszymi od dawniejszych. W ogóle Irkuck nie miał wyglądu starego grodu, założonego przed dwoma wzwyż wiekami, lecz raczej zdawał się jakąś doraznie zbudowaną nadgraniczną lub górniczą, wielką osadą. Z licznych budynków miastowych, zwracał na siebie uwagę, ocalony z klęski ogniowej, stary maga-

*) Wydawcą tej gazety był p. M. W. Zagoskin; borykał się on długo z cenzurą, aż wreszcie rząd zakazał dalszego wydawnictwa jej,

zyn prochowy. Cały ten budynek z dachem porośłym zielskiem, otoczony był przybudowanymi do ścian sklepami, które oblegała tłuszcza kupujących różne drobiazgi Buryatów, Mongołów, kozaków i włościan.

Przewędrowawszy wzdłuż i wszersz całe miasto, i załatwiwszy się z doręczeniem listów polecających, wróciłem do hotelu. Tu w bramie spotkał mnie służący i oznajmił z wielce zakłopotaną miną, że nawiedzający nas w czasie nieobecności naszej policmajster, wydał mu ustny rozkaz, byśmy bezzwłocznie udali się do niego osobiście. Nasz Iwan, nauczony widocznie doświadczeniem, że pojawienie się policmajstra w mieszkaniu podróżnego, podobnie jak rybitwy na morzu, zwiastuje nieuniknioną burzę, patrzył wciąż na mnie jakimś dziwnem okiem, nie ośmielając się wszakże robić żadnych zapytań. W pokoju zastałem na stoliku dwa bilety wizytowe z napisem: Krzysztof Makowski, oberpolicmajster w Irkucku. Widocznie, nie zupełnie obcymi byliśmy owemu panu, którego osobistość w tak ścisłym stała związku z pełnym tragiczności protestem głodowym, podjętym przez więzionych tu przestępców politycznych. O ile sobie mogłem przypomnieć, to dotychczasowy nasz sposób zachowania się w Irkucku, nie dawał żadnego powodu policyi do czepiania się naszych osób; bezzwłocznie też udaliśmy się do bióra policyi, w tej nadziei, że wyjdziemy stamtąd cało. Niezastawszy kapitana Makowskiego w miejscu jego urzędowania, skierowaliśmy się do innego, wskazanego nam bióra policyjnego, że jednak i tu okazał się nieobecnym, przeto pozostawiwszy mu bilety wizytowe, powróciliśmy do hotelu. P. Frost poszedł ponownie szkicować miasto. W jakie pół godziny pojawił się znów Iwan, lecz mocno zbity z tropu, wręczył mi bilet oberpolicmajstra. Niemało zdziwiony tą powtórnią wizytą p. Makowskiego kazałem go poprosić. Wnet usłyszałem kroki i brzęk ostróg, a w ślad zatem stanął przedemną p. M. w pełnym swym uniformie. W oczekiwaniu niemiłego zajścia sięgnąłem po paszport; ze zdumieniem jednak zoczyłem wchodzącego przystoj-

nego mężczyznę, przyjemnych rysów twarzy, z ciemnym zarostem i krótko ostrzyżonymi włosami; witając mnie serdecznem uściśnieniem ręki oznajmił: jestem oberpolicmajstrem Makowskim. Mam już zaszczyt znać pana z jego prac; poczuwam się w obowiązku złożyć moje uszanowanie znakomitym podróżnikom i być gotowym na ich usługi.

Niespodziane to wystąpienie p. Makowskiego tak mnie zdziwiło, że na razie zapomniałem w ustach języka. Rozmawialiśmy z jakie minut 10 o drodze, pogodzie, przygodach podróży, o zmianach, jakim podległ Irkuck; poczem rzekł pan Makowski: — wiadomo mi, że panu nie są obojętne więzienia i system wygnania. Spodziewam się, że pan znajdziesz nasze więzienia w dobrym stanie, jeśli zaś jego życzeniem jest je obejrzeć, to dam mu przewodnika, nieuprzedzając władz więziennych o tej wizycie. Człowiek ten spodobał mi się: takiego naczelnika policyi, powinno mieć każde miasto w Syberyi; — rzekłem sam do siebie.

W czasie następnej naszej rozmowy, zauważył p. Makowski, że system deportacyjny jest wielkiem złem dla kraju, na usunięcie którego nie ma żadnych widoków. Wszelkim zamiarom, dotyczącym przemiany tego systemu, stoi na przeszkodzie kwestya finansowa. Projekt urządzenia w Rossyi więzień centralnych jest już na porządku dziennym, jednakowoż na wystawienie dwudziestu nowych domów karnych potrzeba jest co najmniej 10.000.000 rs.; państwo zaś takich funduszów nie posiada.

Rozmowę naszą przerwało pojawienie się p. Frosta; wkrótce też pożegnał nas p. Makowski zapowiadając następną swą wizytę z pominięciem już prawideł etykiety. W pierwszej chwili nie mogłem nic sobie stanowczego powiedzieć o charakterze i przekonaniach p. Makowskiego. Zdawał mi się on człowiekiem bardzo przyjemnym, ów jego jednak śmiech serdeczny, podobnie jak też owo szczególne ugrzecznienie

zdawały mi się wymuszonymi. Wszystko to wskazywało, że dyplomacya górowała nad szczerością *).

W środe oddaliśmy wizytę p. Makowskiemu, na-
zajutrz zaś. pojawił on się w naszym mieszkaniu, skąd
razem udaliśmy się do więzienia. Oba więzienia w Ir-
kucku, miejskie i etapowe blisko siebie stojące, od-
dziela rzeczka Uszałówka. Zgodnie z życzeniem p. Ma-
kowskiego, zaszliśmy najpierw do więzienia etapow-
ego. Był to dom drewniany, współzbutwiały, różniący
się od zwykłych etapowych jedynie większymi rozmia-
rami. Zewnętrzność świadczyła o złem utrzymaniu bu-
dynku; fundamenta były przegniłe. wysoka palisada
otaczająca budynek także na wpeł zbutwiała, powy-
bijane szyby w oknach pozatykane gałganami lub też
pozastłaniane zużytymi matami. P. Makowski zmiarko-
wawszy, że zły stan rzeczy nie uszedł mojej uwagi,
oznajmiał, że powstrzymuje się umyślnie z naprawą
starego więzienia, gdyż wkrótce będzie się budować
nowe. Oficer służbowy zoczywszy nas wchodzących,
podażył spieszenie ku kapitanowi Makowskiemu i salu-
tując mu, wygłosił jednym tchem: — mam zaszczyt
zameldować Waszej Mości, że więzienie etapowe mie-
szczące w sobie na dniu dzisiejszym 5 września 1885
r., 271 aresztantów, znajduje się w stanie zadowalnia-
jącym.

Policmajster skinąwszy głową rzekł — dobrze —
i rozpoczęliśmy przegląd więzienia. Podług mego zda-
nia znajdowało się ono w bardzo opłakanym stanie. Cele
więzienne też same co w Tomsku, mniej jednak nabite
ludźmi a przytem dość widne, w każdej z nich stał piec

*) Krzysztof Makowski jest synem b. oficera polskiego, za-
ślanego na Sybir w r. 1882 za czynny udział w rewolucyi listo-
padowej. Kilku z wybitniejszych wygnańców polskich z r. 1868
zamieszkałych w Irkucku, przedstawiali mi p. Makowskiego z jak-
najlepszej strony. jednakowoż postępowanie jego z przestępcami
stanu, którego skutków poniekąd doświadczyłem sam na sobie
w czasie pobytu mego w więzieniu irkuckiem, nie pozwala mi
dzielić nic o osobie jego opinij.

(Przyp. tłumacza).

i drewniane nary; nie dostrzegłem też nigdzie pościeli, gdziekolwiek tylko leżała sponiewierana, stara sukienka derka, zszyta z łachmanów. W każdej celi mieściło się 20—40 osób, zepsute zaś powietrze świadczyło o braku wszelkiej wentylacji. Podłoga w cześć naszego przybycia wysypana piaskiem, względnie do innych więziennych, wydała się dość czystą. Żdaje się mężczyzn odłączono od kobiet, których mieszkania odznaczały się schludnością.

Po tym przeglądzie skierowaliśmy się ku więzieniu miejskiemu, zajmującemu wielki dwupiętrowy muryrowany budynek. Było to największe ze znanych mi dotychczas więzień, zamykające w swych murach dość obszerny dziedziniec w rodzaju ogródka, ozdobionego kwiatowymi kłębami. Więzienie to zbudowane w r. 1861 sumą 62.000 rs. miało mieścić 773 aresztantów, podług zaś słów policmajstra, znajdowało się ich tu 1500. Podług raportu S. S. Pagowa zamieszczonego w gazecie „Sybir“, w celach tych mieściło się już niejednokrotnie po 2000 ludzi, czyli cztery razy więcej nad liczbę przepisaną*).

O skutkach podobnego natłoku ludzi, mówiłem już poprzednio. Powietrze nie było tu tak zepsute jak w więzieniu tiumeńskim, ale zawsze bardzo niezdrowe, i wielu więźniów zwracało się ze skargą do p. Makowskiego i do mnie. Trudno jest wyrazić słowa, szkodliwego wpływu, jaki wywiera na organizm człowieczy powietrze lokalu, przepełnionego ludźmi; niezadługo doświadczyłem sam na sobie trujących skutków tego powietrza, osłabłem i uczułem zawrót głowy**).

Panowały tu też same choroby co w innych sybirskich więzieniach, mianowicie: tyfus, szkorbut, reumatyzm i bronchitis, co wszystko świadczyło o złym stanie więzienia.

*) „Więźniowie w Irkucku i sposób ich utrzymania“. S. S. Pagów. Zbiornik gazety „Sybir“ Str. 210 Irkuck 1876.

**) W rocznikach lekarskich oddziału medycznego ministerstwa spraw wewnętrznych za r. 1884 mieści się następujący opis szpitali więziennych w Tomsku, Jenissejsku i Irkucku; podług

Zwiedziwszy szpital, skierowaliśmy się przez mały ogródek, okolony murami więziennymi do cel »sekretnych«, gdzie trzymano więźniów w zupełnem odosobnieniu. Poliemajster uprzedzając mnie, że to są przestępcy polityczni, udzielił pozwolenia pomówienia z jednym z nich. Dotychczas słyszałem tylko o rossyjskich rewolucjonistach, nie mając nigdy sposobności spotkania się z nimi w więzieniu. Z podwórza weszliśmy do jakiejś sieni, skąd zostaliśmy wprowadzeni przez klucznika na długi korytarz opatrzone szeregiem drzwi prowadzących do cel i strzeżonych przez uzbrojonego sztyldwacha. W każdych drzwiach był okrągowany otwór, służący do obserwowania więźniów i podawania im jadła. W pierwszej z tych cel siedział p. Ferdynand Lustig b. oficer rossyjski, aresztowany w Petersburgu w r. 1881, wkrótce po zabójstwie Ale-

raportu zarządu lekarskiego stan zdrowotności wielu więźniów gubernialnych i okręgowych, pozostawia wiele do życzenia. Są one przedewszystkiem nadto szczupłe względnie do liczby mieszczących się w nich aresztantów. Znacznej ich liczbie brak wentylacji i wychodków, przytem zbudowane są one w miejscach zbyt nisko położonych i wilgotnych. Najmniej odpowiadają warunkom zdrowotnym więzienia w guberniach, Jenissejskiej, Irkuckiej, Tomskiej i w ziemi zabajkalskiej. Wielu więźniom zbywa na rzeczach koniecznych, przytem są one nadto szczupłe, ażeby mogły pomieścić chorych. Uczuwać się także daje brak lekarzy, lazaretów, środków leczniczych i opieki nad chorymi.«

Dalej podaje raport zestawienie dat statystycznych stanów szpitali czterech gubernii sybirskich łącznie z miastem Irkuckiem.

Gubernie	Szpitala więzienia	Łóżka	Chorzy	Zmarli	Śmiertelność w odsetkach
Jenissejska	3	145	5176	168	3,2
Irkucka	2	115	1620	99	6,1
Tobolska	10	242	4648	303	6,5
Tomaska	3	230	1514	259	16,4

ksandra II. Obecnie po odsiedzeniu kary swej w kator-dze transportowano go na osiedlenie.

Klucznik otworzył drzwi Nr. 6, gdzie w długiej, wąskiej, ponurej celi zoczyłem młodego przystojnego człowieka z ciemnym zarostem i krótko ostrzyżonymi włosami. Pogrążony w głębokiej zadumie, powstał szybko z drewnianego tapczanu, zdając się upatrywać w nas zwiastunów zmiany swej doli. — Dzień dobry panie Lustig! Przyszliśmy pana trochę rozweselić. — Zawołał z życzliwością kapitan Makowski. — Panowie ci, są Amerykańscy podróżni zwiedzający tutejsze więzienie. spodziewam się, że pan mile widzisz u siebie tak dostojnych gości. — Wyraz nadziei, rozjaśniający pierwotnie chmurne oblicze wygnańca, ustępował stopniowo; podał on nam rękę, ale tak rozdrażniony i skłopotany, jakby długotrwałe odosobnienie i brak towarzystwa przekształciły go w odludka, niewiedzącego co ma powiedzieć. I moje też położenie okazało się wcale kłopotliwe zwłaszcza w obec kapitana, klucznika i żołnierzy. Bez świadków łatwo mogliśmy się porozumieć, lecz w takich okolicznościach, musiałem tłumić moje współczucie i życzliwość, i jako turysta wiedziony tu ciekawością patrzeć na więzionego nihilistę, jak na nowy rodzaj zwierzęcia trzymanego w ogrodzie zoologicznym. Cella, w której przesiadywał pan Lustig, mogła mieć około 20 stóp długości, 6 szerokości i tyleż wysokości; światło dzienne dostawało się przez małe, wgłębione w ścianę i tak wysoko umieszczone okienko, że chcąc spojrzeć przez szybę należało wspinać się po ścianie. Przed okienkiem tem, wznosiła się wysoka palisada, zakrywająca widok nie tylko na zewnątrz ale i na niebiosa, tak, że więzień przy wyteżonym nawet wzroku nie mógł wiedzieć, czy na dworze pogoda lub burza, zima czy lato. Mimo tynkowanych i białych ścian, cela wydała mi się ponurą a przytem zimną. Umeblowanie składało się z drewnianego łóżka z szarym płóciennym siennikiem i skrzynki mieszczącej w sobie naczynie na odchody. Więźniowi nie wolno było mieć żad-

ne go stołka, stolika, książki, materyałów piśmiennych; nie dochodził go nigdy promień światła słonecznego i oddany był na pastwę swych własnych, ponurych myśli. Spytałem p. Lustiga, jak długo tu siedzi, i dowiedziałem się, że cztery miesiące. P. Makowski objaśnił mnie, że p. L. powinien być zdawna na osiedleniu, ale władze nie naznaczyły mu jeszcze miejsca zamieszkania; kiedy zaś ta kwestya będzie roztrzygnięta, o tem nic nie wiadomo. Tymczasem położenie biednego więźnia okazało się tu rozpaczliwszem niż w katordze, z której go niby uwolniono. Z prawdziwą przyjemnością byłbym rozmawiał z p. Lustigiem o jego sposobie życia w kopalniach karyjskich, widząc jednak tuż stojącego kapitana Makowskiego, uściśnałem rękę biednemu więźniowi i życząc mu spiesznego wyzwolenia, wyszedłem. — Nie mogłem już podzielać zdania policmajstra o „dobrym stanie więzienia”: nie pytały wszakże o moje własne, — zatrzymałem je dla siebie.

Przez wiele dni nie schodziłem się nigdzie z p. Makowskim. W czasie tym, wizytował więzienia irkuckie, nowo mianowany generał-gubernator wschodniej Syberyi, hr. Ignatiew. Następnego tygodnia w czwartek, nawiedził nas znów p. Makowski i wymieniwszy kilka zwykłych frazesów odezwał się z pewnem wzburzeniem: — panie Kennan, proszę mi powiedzieć otwarcie, jakie wrażenie sprawiło na panu nasze więzienie? — Odpowiedziałem mu, że sybirskie więzienia w ogóle robią złe wrażenie; co się tyczy tutejszego, to znalazłem je w nieco lepszym stanie, a raczej w mniej złym niż w Tomsku i Tiumeniu.

— Pytam pana dla tego, że hr. Ignatiew zwiedzający więzienie ze swą małżonką, oboje okazali swe wielkie niezadowolenie. Hrabia zauważył, że w więzieniu nieporządek, ścisk, zepsute powietrze; bielizna aresztantów wydała mu się brudną i nadto grubą i w ogóle wszystko znalazł w jaknajgorszym stanie. Wiem aż nadto dobrze, że powietrze w więzieniu jest niezdrowe, ale czyż może być inaczej, jeżeli w celi

rozmiarów tego pokoju mieścić się musi 30 ludzi. Przyznaje także, że bielizna aresztantów jest nadto gruba i licha, ale cóż robić, jeśli rząd nie daje pieniędzy na sprawienie lepszej. Kto płaci w hotelu dwa rs. za obiad, ten może oczekiwać dobrego jadła; cóż mczną żądać za 8 kopijek? Powiadają, że bielizna brudna; koniecznie musi być taką, jeżeli rząd przeznaczą dla aresztanta jedną koszulę na sześć miesięcy a chałat na rok cały. W tej jednej koszuli chodzi on całe długie miesiące, nie zdejmując jej nigdy, zarówno dniem jak nocą, chyba tylko w łaźni!

— W jakim sposobie odbywa się pranie bielizny więźniów, skoro nie mają żadnej zapasowej? --- spytałem. — Czy wcale jej nie piorą, czy też przez pewien przeciąg czasu chodzą nago?

— Każdy z aresztantów zwykł sobie sam prać bieliznę w łaźni, suszy ją tam i znów obleka — odpowiedział kap. Makowski.

Nadmieniłem z kolei o przykrem położeniu aresztantów w marszu, którzy przemoczeni nieraz do ostatniej nitki, zmuszeni są w tem samym odzieniu nocować, co koniecznie przyczyniać się musi do zwiększenia liczby chorych.

Zgodził się na to w zupełności kapitan Makowski mówiąc, że życie więźniów — zwłaszcza w pochodzie — jest nader opłakane, w więzieniu jednak, staramy się, o ile warunki na to pozwalają, położenie ich polepszyć. Nikt też w więzieniu nie spotka się z niechlujstwem, a budynek utrzymany jest w lepszych warunkach sanitarnych niżeli nie jeden lokal prywatny, w środku miasta.

Zdziwiły mnie istotnie słowa p. Makowskiego, zdradzające zupełną nieświadomość stanu rzeczy. Żył się on widocznie z nim tak dalece, że uznając go za prawidłowy, nie mógł tem samem zrozumieć objawów niezadowolenia gubernatora w czasie przeglądu więzienia. Niezadowolnienie to, przypisywał p. Makowski częściowo małżonce hr. Ignatiewa, którą uznawał za kobietę dobrą, wrażliwą, ale przytem nie-

pojmującą ogromu trudności, jakie na każdym kroku napotykałoby przeinaczenie systemu wygnania podług jej sposobu widzenia. — Hrabina — odezwałem się — zdaje mi się być osobą bystrą i niezmiernie rozsądną. Jeden z urzędników opowiadał mi wczoraj przy wieczerzy, że podczas wizytacyi więzienia zażądała skosztować aresztanckiego jadła. Inspektor podał jej zupełną na czystym talerzu; podejrzewając, że ta, umyślnie dla niej przyrządzona, spytała, czy w kotle nie pozostało trochę jadła aresztanckiego. Przyniesiono jej te resztki, które skosztowawszy, oznajmiła: »cieszy mnie bardzo, że pan wypróżniłeś kocioł; należało to dawniej uczynić«. — Taka kobieta, musi się znać na rzeczy i być bystrą obserwatką.

— Bystrą obserwatką! — zawołał kap. Makowski, — może być; jest ona osobą dobroduszną, najlepszych chęci ale niepraktyczną. Zdaje się jej, że więzienie dla przestępców powinno być w ten sposób urządzone jak paniński pensjonat. Pan dobrze rozumiesz, że tak być nie może.

Zauważyłem, że więzienie irkuckie bardzo znacznych wymaga przekształceń i ulepszeń, ażeby mogło dorównać pensjonatowi damskiemu.

Rozmowę naszą przerwał ktoś z wchodzących, wnet też pożegnał nas p. Makowski, wciąż rozżalony na nowego generał-gubernatora.

W kilka dni potem, udaliśmy się do mieszkania hr. Ignatiewa w celu złożenia mu urzędownie naszego hołdu i uszanowania, jako też dla pomówienia z nim przy stosownej okazji o systemie deportacyjnym i domach karnych. Był to mężczyzna około 45 letni, dobrej tuszy, prawie zupełnie łysy i ospałej twarzy. Przyjął nas bardzo grzecznie ale etykietalnie, rozmawiał poprawnym językiem angielskim, wszelako ociągał się w wymowie. Korzystając z stosownej chwili zwróciłem rozmowę na system wygnania, robiąc moje uwagi nad więzieniem w Tomsku i Tiumeniu. Hrabia oznajmił bez wszelkiej ogródki że uważa system deportacyjny jako bardzo szkodliwy dla inte-

resów Syberyi i że należałoby go znacznie ulepszyć. Podług jego zdania, przestępcy kryminalni byłiby nierównie pożyteczniejszymi krajowi, gdyby używano ich do pracy, zwłaszcza że w Syberyi zbywa na robotniku ręcznym, dziwił się, że dotąd tego nie uczyniono. Roboty przymusowe, okazały by się korzystniejszymi dla samych nawet aresztantów, aniżeli przesadywanie bezczynne w więzieniach. Sam on nawet zamierzał na próbę użyć 100 aresztantów do robienia porządku na ulicach Irkucka, i zgadzał się ze mną, że więzienia etapowe są nadto ciasne i źle utrzymane. Przy sposobności nie omieszkał oznajmić, że zamiarem jego jest, ażeby wygnańców transportowano z Tomśka do Irkucka tylko w porze letniej i nie pieszo lecz wozami. Oszczędziłoby to rządowi wydatków na odzież zimową, a zarazem przyniosłoby pewną ulgę dla nieszczęśliwych *).

Podczas tej rozmowy weszła hrabina Ignatiew i wręczyła swemu małżonkowi jakiś list. Była to około 30 lat licząca kobieta, średniego wzrostu, z ciemnymi włosami, szarymi oczyma; wyraz twarzy zdradzał chłód wewnętrzny. Pojawienie się hrabiny, której zostaliśmy przedstawieni, zwróciło rozmowę naszą na inny przedmiot; niezadługo też pożegnaliśmy państwa Ignatiewów, nie poruszając więcej sprawy więziennej.

W ciągu 14 dniowej naszej bytności w Irkucku zawiązaliśmy stosunki znajomości z wieloma zacnymi i przyjemnymi osobami, w liczbie których byli: p. Adam Bukowski, znany właściciel kopalni złota

*) O wprowadzenie tej reformy dopominał się gorliwie inspektor traktu pułkownik Zagarin, jeszcze w r. 1882 i 3. Od czasu tej naszej rozmowy z hr. Ignatiewem upłynęło już lat trzy, a sprawa nie postąpiła ni kroku naprzód. Partye wygnańców z Tomśka do Irkucka maszerują wciąż piechotą nie bacząc na słoty, deszcze, mrozy i upały. Zapewne projektowana droga żelazna sybirską służy za powód usprawiedliwiający tę zwłokę. Minie z pewnością cały lat dziesiątek, zanim linia kolei żelaznej będzie gotową, gdy tymczasem tysiące ludzi, a między nimi niewinne kobiety i dzieci narażone są na srogie udręczenia nieodłączne 1500 klm. podróży etapem.

w wschodniej Syberyi, człowiek nader gościnny i władający dobrze językiem angielskim; Dr. Pisarow i p. Buteń dawniejszy mieszkaniec miasta Nerczyńska. Ten ostatni, odbywszy podróż po Stanach zjednoczonych, duszą i sercem był prawdziwym Amerykaninem. Do grona naszych znajomych należał także p. Zagoskin, czcigodny wydawca gazety »Sibir«.

W Irkucku, spotkaliśmy się z naszym ziomkiem porucznikiem Scheutzem, który z polecenia rządu amerykańskiego odwoził różne podarki dla włościan, niosących pomoc rozbitkom naszej podbiegunowej ekspedycji »Jeanetta«. Spotkanie się z Scheutzem, w tej zaświatowej krainie, sprawiło nam niewysłowioną radość; wyjechawszy nie dawno z Ameryki, udzielił on nam ciekawych nowin, przyczem opowiadaliśmy sobie wzajemnie o przygodach z podróży po Syberyi.

W kilka dni po rozmowie naszej z p. Makowskim o więzieniach irkuckich, odwiedziłem go w własnym jego domu. Tą razą chciałem wysłuchać jego opinii o wygnańcach politycznych. Wyrażał on się nader cierpko o wszystkich rewolucjonistach i »nihilistach« upatrując w nich dzikich fanatyków, stojących w wiecznej opozycji nie tylko z rządem rosyjskim, ale z wszystkimi, całego świata. Podług zdania p. Makowskiego, ludzie ci, powinni być trzymani w żelaznej ręce.

— Między politycznymi wygnańcami — mówił on — są także tacy, dla których żywie szacunek i serdeczne współczucie; młodzi ci ludzie nie dopuścili się żadnego przestępstwa, ściągnęli na siebie podejrzenie rządu za to, że pozostawali w stosunkach znajomości z rewolucjonistami lub też prowadzili z nimi korespondencją; całą winą ich jest chyba to, że wpadli w złe towarzystwo. Między wygnańcami są znów tacy, których wydano z kraju wyłącznie za przechowywanie pism i druków zakazanych, co czynili oni nie w złej myśli a tylko z życzliwości dla swych dobrych znajomych i przyjaciół. Policja, znalazłszy u kogoś, jakąś rzecz wzbronioną, nie zwykła

brać pod rozwagę okoliczności, pod jakimi rzecz ta do niego się dostała, lecz jako podejrzanego, wydała go z kraju. Ten sam los jest udziałem tych wszystkich, którzy bezwiednie pożyczają pieniądze rossyjskim rewolucjonistom. Wreszcie jest pewna klasa młodych ludzi 19--21 letnich. noszących się z najlepszymi chęciami dla kraju. Ludzie ci, widząc pewne wady w obecnym systemie rządowym, wierzą w możliwość poprawy bieżącego stanu rzeczy, ale nie na drodze rewolucyjnej, lecz pokojowej. Są to ludzie jaknajlepszych chęci, gotowi zawsze do czynu, dostawszy się jednak do kółek rewolucyjnych padają ofiarą złej woli innych. Serdecznie ich też żałuję.

Przytoczone tu słowa kap. Makowskiego świadczą wymownie, że rząd rossyjski wydała na Syberyę nie tylko kwiat rossyjskiej młodzieży, ale mnóstwo innych ludzi, którzy nie tylko nie popełnili nigdy żadnego przestępstwa, ale nadto nie byli nigdy w zamiarze spełnienia go. Fakt ten, zdawna był mi już dobrze znanym, żaden jednak z urzędników nie wypowiedział go tak dobitnie, jak naczelnik policyi w Irkucku.

W czasie naszej bytności w Irkucku zamieszkiwało tam wcale niewielu wygnańców politycznych, a i tych, nie łatwo było odszukać. Dotarłem do nich bez pomocy kapitana Makowskiego, który — aczkolwiek wszystko wiedzący szef policyi, — nie przeczuwał pewnie, że częstokroć wprost z jego domu udawałem się na schadzki wygnańców politycznych, spędzając tam połowę nocy.

Z wszystkich tutejszych wygnańców najgłębiej utkwili mi w pamięci państwo Czerniawscy wydaleni na Sybir w r. 1878, porządkiem administracyjnym. Żywie prawdziwy szacunek i współczucie dla tych obojga ludzi a w szczególności dla pani Czerniawskiej, owej prawdziwej męczennicy, mało bowiem jest kobiet, które doszedłszy do 38 r. życia miałyby po za sobą tyle strasznych i nieszczęśliwych kolei a przytem zachowały w sobie tyle jeszcze odwagi i swobody myśli. Uwięziona w 25 roku życia w Odessie

w 1878 r. następnie wygnana na Syberję p. Czerniawska w przejeździe przez Kijów była w tamecznym więzieniu świadkiem morderstwa dokonanego na najlepszym swym przyjacielu i towarzyszu lat dziecinnych. Młody ów człowiek, pochodzący z rodziny angielskiej, nazwiskiem Berbeley, przetrzymywany ówczasie w więzieniu kijowskim w charakterze przestępcy politycznego, postanowił razem z swym towarzyszem Władysławem Izbiickim ratować się ucieczką. Władze uwiadomione o wszystkim podwoiły swą czujność, w okoł więzienia porozstawiano gęsto szyldwachów, którzy zoczywszy uciekających, dali ognia. Berbeley padł na miejscu przeszyty kulą, zaś towarzysz jego Izbiicki pochwycony przez żołnierzy, odprowadzony został powrotnie do więzienia. Katastrofa ta zaszła w sam raz w czasie pobytu pani Czerniawskiej w więzieniu kijowskim, tak, że nazajutrz wyprawiona z transportem aresztantów, patrzeć ona musiała na ledwie co zastygłe zwłoki swego przyjaciela poprzeshywane kulą i bagnetami *).

*) Władysław Izbiicki, o którym mowa, - był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie. Zdolny, pracowity, czystych obyczajów, nieskazitelnego charakteru i ogromnej siły woli. duszą i ciałem oddany był sprawie wyzwolenia ludu. Uwięzienie Izbiickiego okazało się niepowetowaną klęską dla organizacji kijowskiej, o czem wiedząc, postanowił ratować się z więzienia ucieczką. Ucieczka ta, w swoim rodzaju arcydzieło, stała się podziwem dla architektów i urzędników, prowadzących później śledztwo. Cęła Izbiickiego, z której nastąpiło wyjście, znajdowała się na pierwszym pięttrze skrzydła więziennego, obok celi Beberleya, Nirskiego, mojej i dwóch innych. Po ukończeniu robót przygotowawczych, prowadzonych przez wielu więźniów i w różnych miejscach budynku więziennego, 29. lipca (star. st.), około północy, Berbeley, najbliższy sąsiad Izbiickiego, przelazł przez otwór wyrobiony w murowanym piecu do jego celi, skąd obadwa dziurą wypilowaną w otynkowanym suficie dostali się do celi dwupiętrowej, z tej na korytarz, a następnie po schodach na poddasze. Weisnąwszy się oba w komin, spuścili się — przy pomocy linek pokręconych z prześcieradeł — z czteropiętrowej wysokości do suferen, skąd przez otwór wyrabany w dwumetrowej grubości fundamencie, dostali się do podziemnego kanału odprowadzającego nieczystości. Przepelnzawszy rakiem ów zabójczymi wyziewami wypełniony kanał, znaleźli się za murem obwodowym i linią

— Własne męczarnie mogę znosić — rzekła z westchnieniem p. Czerniawska, opowiadając nam o owym tragicznym wypadku — podobne jednak rzeczy, rozdzierają mi serce.

Nie będę tu wspominał o cierpieniach moralnych i udręczeniach cielesnych, na jakie narażona była ta delikatna i starannie wychowana osoba w czasie długotrwałej swej poniewierki po domach etapowych i więzieniach. Złamana na zdrowiu, doszła wreszcie z swym mężem do jednego miasteczka w gub. tobolskiej, przeznaczonego im na miejsce pobytu. Tu powiła dziecko i oboje małżonkowie żyli dość znośnie po dzień fatalny 1881 r. wstąpienia na tron Aleksandra III. Zażądano od p. Czerniawskiego złożenia wiernopoddańczej przysięgi, a skoro żądaniu temu nie chciał zadość uczynić, wydano obojga małżonków z 13-miesięcznym dzieckiem wśród trzaskających mrozów do Irkucka. P. Czerniawska tuliła dziecko do łona, okrywała je czem mogła, ale niestety, mróz zwyciężył troskliwość czułej matki; na ostatniej stacyi przed Irkuckiem, dziecko skostniało na wieki. Przeszyta straszonym ciosem pani C. wpadła w stan obłędu; wzięwszy martwe dziecko na ręce, kołysała je, nucąc piosnki. Łkała, modliła się, lub w szale najstraszniejszej rozpacz czy bluźniła Bogu. Dojechawszy do Irkucka p. Czerniawski zmuszony był przez całe pół godziny wśród 30° mrozu z obłąkaną swą żoną i trupem zmarłego dziecka stać pod gołem niebem na dziedzińcu domu eta-

szyldwachów. Wygrzebawszy następnie rękami jamę, wydobyli się na powierzchnię ziemi i odetchnęli pełną piersią. gdy atoli rozstawione tej nocy w różnych punktach nadwyzwyczajne stráže, zoczywszy wychodzących, puścili się za nimi w pogoń. Żołnierze dali ognia, kładąc na miejscu trupem Beberleja w odległości pół km. od więzienia, schwytany zaś żywcem Władysław Izbiński, stał się ponownie jeńcem. Osądzony na 14 lat katorgi, Izbiński, zbiegł z drogi ze stacyi etapowej Rybno (pomiędzy Krasnojarskiem i Kańskiem); ukrywał się przez kilka miesięcy w różnych miejscach Syberyi, skąd puścił się pieszo do Rossyi przez puszcze leśne, gdzie w drodze został zamordowanym przez brodiagów.

(Pzzyp. tłumacza).

powego, zanim go wpuszczono do wnętrza. Nazajutrz żonę jego umieszczono w szpitalu a gdy odzyskała zdrowie, wysłano z mężem pod straż żandarmów do odległego od Irkucka o 3.000 km. ulusu baturuskiego. Tam to żyli oboje wśród niewysłowionych dolegliwości niedoli i niedostatku do r. 1884, w którym, za przyzwoleniem ministra przeniesieni zostali do więcej zaludnionej części Syberyi.

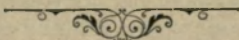
Gdym poznał panią Czerniawską, była ona wtedy nikłą, wynędzniałą, steraną na zdrowiu kobietą, zgnębioną moralnie więzieniem i wygnaniem. Straciła ona w tej poniewierce dwoje dzieci wśród okoliczności, które tę stratę uwieczniły w jej sercu i pamięci. Oddalanej od lat siedmiu o tysiące mil od krewnych i przyjaciół, całą pociechą życia był mąż, który jednakże mimo najszczerzych chęci, mało mógł zapobiedz jej cierpieniom. Od dwóch już miesięcy nie przestępowała progu swego domu, a przy pożegnaniu, uściskawszy mi rękę oznajmiła o bliskim końcu męczeńskiego swego żywota. Smutna historia życia tej nieszczęśliwej kobiety, tak dalece mnie wzruszyła, że po raz pierwszy od dzieciństwa, stanęły mi w oczach łzy. W znak prawdziwego szacunku i współczucia ołiarowałem jej moją fotografię. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu uchyliła się od przyjęcia tego upominku i to stanowczo, mówiąc: — przez lat wiele chowałam fotografię mojego zmarłego dziecięcia; była to jedyna pamiątka po moim ulubieńcu. Pewnego razu wchodzi do naszego domu policya na rewizyę i z listami zabiera mi tę fotografię. Powiedziałam, że to jedyny wizerunek mojego zmarłego dziecięcia. Przewodniczący tej rewizyi oficer żandarmeryi, przyrzekł mi zwrócić fotografię, jednakże nie widziałam jej już nigdy. Postanowiłam sobie uroczyście nie nastęrczać więcej powodu rządowi do obrażania mnie w ten sposób i od tego czasu wyrzekłam się posiadania wszelkich fotografii.

*) W połowie grudnia 1884 r. odwiedzałem kilkakrotnie państwa Czarniawskich przeniesionych ówczesnie z ulusu jakuc-

Nie wiem, czy pani Czerniawska należy jeszcze do żyjących; jeżeli jednak jest żywą, to życzyłbym sobie, ażeby te kartki doszedłszy jej rąk, upewniły ją, że i po drugiej stronie oceanu pozostaje dla niej z szczerem uznaniem i przychylnością.

kiego do Tomska. Pani C. mimo dotkliwych śladów wieloletniej poniewierki i przebytych wielkich cierpień moralnych, była jeszcze osobą dość żywą i pełną entuzjazmu. Ta jej siła ducha, stała się solą w oku władzom rządowym, które dla ostatecznego zniszczenia jej zdrowia, cisnęły ją wraz z mężem powtórnie na wygnanie do Irkucka oddalonego o 1650 wiorst od Tomska, wśród której to podróży na każdym kroku musiała się przejmować zabójczymi dla niej wspomnieniami, zmarzniętego przy jej piersi dziecięcia.

(Przyp. tłumacza).



42439